

Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA



Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA

Przełożyli

Zbigniew A. Królicki, Andrzej Sawicki



Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału: *Childhood's End*

CHILDHOOD'S END © Rocket Publishing Company Ltd, 1954, 1990

To discover more about how the legacy of Sir Arthur is being honoured today, please visit

<http://www.clarkefoundation.org>

Copyright © for the Polish e-book edition by

REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation

(<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor serii: Sławomir Folkman

Redaktor tego wydania: Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Koniec dzieciństwa, wyd. I kompletne, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-703-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Nowa seria klasycznych powieści science fiction WEHIKUŁ CZASU

Przedmowa

CZĘŚĆ PIERWSZA ZIEMIA I ZWIERZCHNICY

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

CZĘŚĆ DRUGA ZŁOTY WIEK

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

CZĘŚĆ TRZECIA OSTATNIE POKOLENIE

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Nowa seria klasycznych powieści science fiction WEHIKUŁ CZASU

Jednym z niezrealizowanych marzeń ludzkości są podróże w czasie. Nasza nowa seria w pewnym stopniu spełnia to marzenie: publikowane w niej powieści umożliwiają czytelnikom wyprawy w przyszłość – do opisanych przez autorów futurystycznych światów, w przeszłość – w historię literatury fantastycznej, a także – części z nich – sentymentalne podróże do czasów młodości, gdy po raz pierwszy sięgali po te książki.

Seria obejmuje tylko najbardziej znaczące, nagradzane, uznane i lubiane tytuły szeroko rozumianej literatury fantastycznonaukowej. Mamy nadzieję, że stanie się drogowszkazem dla tych wszystkich, którzy kochają dobrą, ważną i znaczącą literaturę SF.
To seria, którą po prostu trzeba mieć!

W serii „Wehikuł czasu” ukazały się:

Daniel Keyes
KWIATY DLA ALGERNONA

Arthur C. Clarke
KONIEC DZIECIŃSTWA

W przygotowaniu:

Roger Zelazny
ALEJA POTĘPIENIA

Robert A. Heinlein
HIJOB. KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Przedmowa

Powieść *Koniec dzieciństwa* powstała w okresie od lutego do grudnia 1952 roku i w znacznej mierze została zmieniona na wiosnę 1953 roku. Pierwsza jej część była oparta na opowiadaniu *Guardian Angel*, opublikowanym w 1950 roku po gruntownym przeredagowaniu go przez Jamesa Blisha.

Podaję te daty, aby osadzić powieść w konkretnych ramach czasowych, ponieważ większości obecnych czytelników nie było jeszcze na świecie, gdy 24 sierpnia 1953 roku wydała ją wydawnictwo Ballantine. Pierwszy satelita okołoziemski miał znaleźć się na orbicie dopiero za cztery lata, chociaż nawet najwięksi optymiści entuzjazmujący się podbojem kosmosu nie wyobrażali sobie, że nastąpi to *tak szybko*; mieliśmy nadzieję, że w najlepszym razie stanie się to na przełomie XX i XXI wieku. Wyśmiałybym tego, kto powiedziałby mi wtedy, że nim skończy się następna dekada, znajdę się pięć kilometrów od miejsca, z którego wystartuje pierwsza rakieta na Księżyc.

A jednak ta książka powstała szesnaście lat przed tym, jak Armstrong i Aldrin wylądowali na Morzu Spokoju, zdecydowanie wygrywając wyścig pomiędzy USA i ZSRR, od którego rozpoczynała się pierwotna wersja *Końca dzieciństwa*. Postanowiłem wówczas przenieść akcję powieści do następnego stulecia i byłem w połowie tych zmian, gdy w dwudziestą rocznicę lotu Apollo 11 ogłoszono, że jednym z następnych celów amerykańskiego programu podboju kosmosu jest Mars. Dziękuję, prezydentowi Bush, za zatwierdzenie tej decyzji.

Gdy książka ta powstawała w latach pięćdziesiątych, nadal byłem pod ogromnym wrażeniem zjawisk nadprzyrodzonych i uczyniłem je głównym wątkiem powieści. Po czterdziestu latach i wydaniu milionów z funduszy Yorkshire Television na programy *Mysterious World* i *Strange Powers* jestem

niemal całkowitym sceptykiem. Słyszałem zbyt wiele niczym niepopartych twierdzeń i widziałem zbyt wiele sfingowanych dowodów. Proces nabywania tej wiedzy był długotrwały i czasem budzący zażenowanie. Oto przykład.

Chociaż trudno teraz przypomnieć sobie dokładny przebieg wydarzeń w 1974 roku w Birkbeck College, z udziałem Arthura Koestlera, Johna Taylera, Davida Bohma i Johna Hasteda, zapewne relacja Uriego Gellera w *My Story* jest aż nazbyt dokładna: „Do tego czasu Arthur Clarke chyba wyzbył się całego swego sceptycyzmu. Powiedział coś w rodzaju: »Mój Boże! To wszystko staje się prawdą! Tak napisałem w *Końcu dzieciństwa...* Magicy i dziennikarze, którzy to podważają, powinni się teraz pokajać lub zamilknąć. Jeśli nie potrafią powtórzyć tego, co Geller robi w ściśle kontrolowanych warunkach, nie mają już nic do powiedzenia«”.

Z uwagi na chaos pośpiesznie zorganizowanego pokazu w Birkbeck wzmianka o „ściśle kontrolowanych warunkach” jest zabawna. Jednak ostatnie stwierdzenie jest trafne, ponieważ właśnie tak było. (Patrz książka Jamesa Randiego *The Magic of Uri Geller*). Mimo wszystko muszę przyznać, że darzę Uriego sympatią, bo chociaż pozostawił za sobą wiele pogiętych sztuczków i nadszarpniętych reputacji, dostarczał bardzo potrzebnej w tych niespokojnych i nieszczęśliwych latach rozrywki.

Kiedy ukazał się *Koniec dzieciństwa*, wielu czytelników zaskoczyło zamieszczone zaraz po stronie tytułowej zastrzeżenie, że „opinie wyrażone w tej książce nie są poglądami autora”. To nie do końca był żart – rok wcześniej opublikowałem *The Exploration of Space*, w której nakreśliłem optymistyczny obraz naszej przyszłej ekspansji w kosmosie. Teraz napisałem książkę, której mottem było „Gwiazdy nie są dla człowieka”, i nie chciałem, żeby ktoś pomyślał, że nagle wyrzekam się swoich przekonań.

Dzisiaj chciałbym zmienić to zastrzeżenie tak, aby obejmowało 99 procent „zjawisk nadprzyrodzonych” (*wszystkie* nie mogą być bzdurą) oraz 100 procent „spotkań z UFO”. Byłbym bardzo przygnębiony, gdyby ta książka przyczyniła się do dalszego zwodzenia naiwnych, tak cynicznie wykorzystywanych teraz przez media. Księgarnie, kioski z gazetami i fale

radiowe są skażone ogłupiającym bełkotem o UFO, parapsychologii, astrologii, energii piramid i spirytyzmie – cokolwiek bowiem człowiekowi przyjdzie do głowy, ktoś wykorzysta to w ostatnich podrygach findesieclowej dekadencji...

Czy to oznacza, że powieść *Koniec dzieciństwa* – mówiąca zarówno o zjawiskach paranormalnych, jak i gościach z kosmosu – już się zdezaktualizowała? Bynajmniej; przecież to fikcja literacka! Nadal zajmuje nas *Wojna światów*, chociaż Marsjanie nie usmażyli Woking w 1898 roku... ani New Jersey w 1938. Ponadto, o czym mówiłem częściej, niż chciałbym pamiętać, raczej nie wątpię, że Wszechświat tętni życiem. SETI, czyli poszukiwania pozaziemskich form życia, są obecnie w pełni uznanym działem astronomii. Fakt, że nadal jest to nauka czysto teoretyczna, nie powinien budzić niczyjego zdziwienia ani rozczarowania. W końcu dopiero od kilkudziesięciu lat dysponujemy przyrządami umożliwiającymi nasłuch kosmosu.

Koniec dzieciństwa zarezerwowano z myślą o ekranizacji wkrótce po opublikowaniu i od tego czasu powieść przeszła przez mnóstwo rąk oraz została zaadaptowana przez niezliczonych scenarzystów¹. Jednym z nich był mój stary znajomy Howard Koch, który – o czym z zadowoleniem się dowiedziałem – niedawno sprzedał za okrągłą sześciocyfrową sumkę osławiony scenariusz (patrz wyżej) napisany dla Orsona Wellesa.

Według informacji, którą właśnie otrzymałem z gułagów Hollywoodu, obecna cena wywoławcza *Końca dzieciństwa* jest ponad dwieście razy wyższa od całkowicie satysfakcjonującego honorarium, które dostałem za tę powieść w 1956 roku. A chociaż jakoś nie trafia na ekrany kin, miliony ludzi widziały robiącą duże wrażenie ekranizację jej drugiego rozdziału, którą był telewizyjny serial *V*².

Muszę przyznać, że gdy oglądałem pierwsze odcinki *V*, byłem tylko trochę udobruchany wzmianką o mnie w jednym dialogu. Potem przypomniałem sobie, że Ted Sturgeon już dawno temu objął tę sytuację notą copyright. Jeszcze w 1947 roku – tak, tak, w 1947! – napisał opowiadanie o niezapomnianym tytule (i ostatnim zdaniu) *Niebo było pełne statków*.

Właśnie przerabiałem ten akapit, gdy nieoczekiwanie przypomniało mi się jeszcze coś. Ponad piętnaście lat przed powstaniem opowiadania Teda sam byłem świadkiem takiej sceny. Nie, nie postradałem zmysłów od pisania zbyt wielu dzieł science fiction...

Był piękny letni wieczór 1941 roku, gdy wiózł mnie do Londynu mój dobry przyjaciel, nieodżałowany Val Cleaver, podobnie jak ja entuzjastyczny członek Brytyjskiego Towarzystwa Międzyplanetarnego, a w powojennych latach główny inżynier działu silników raketowych Rolls-Royce'a.

Słońce zachodziło za naszymi plecami, a do stolicy pozostawało dwadzieścia mil. Wjechaliśmy na szczyt wzgórza i ujraliśmy coś tak niewiarygodnego, że Val zatrzymał samochód. Widok był jednocześnie piękny i budzący nabożny podziw, lecz mam nadzieję, że żadne z przyszłych pokoleń już go nie zobaczy.

Mnóstwo – setki – lśniących srebrnych balonów zaporowych unosiło się na niebie nad Londynem. Gdy ich obłe, wydłużone jak torpedy kształty błyszczały w promieniach zachodzącego słońca, wydawało się, że nad miastem istotnie zawisa flota statków kosmicznych. Przez długą chwilę marzyliśmy o odległej przyszłości, odsuwając od siebie wszelkie myśli o obecnym zagrożeniu, dla obrony przed którym została postawiona ta zapor.

Być może w tym właśnie momencie zrodził się *Koniec dzieciństwa*.

Arthur C. Clarke

Kolombo, Sri Lanka, 27 lipca 1989 r.

Uwaga: Poza tym nowym wstępem w tekście nie dokonano żadnych zmian. Od rozdziału drugiego *Koniec dzieciństwa* pozostaje dokładnie taki sam jak w 1953 roku.

¹ Pierwszym zainteresowanym ekranizacją *Końca dzieciństwa* był Stanley Kubrick, ale uprzedził go inny reżyser, Abraham Polonsky, który zarezerwował prawa do ekranizacji. Dopiero w 2015 roku, dla stacji Syfy Channel, powstał składający się z trzech odcinków miniseriał z Charlesem Dance'em w roli Karellena (przyp. red.).

2 Oczywiście Clarke miał na myśli pierwszą wersję serialu, wyprodukowaną w latach 1983–1985, a nie remake z lat 2009–2011 emitowany w Polsce przez stację TVN pod tytułem *Goście* (przyp. red.).

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZIEMIA I ZWIERZCHNICY

Rozdział 1

Pprzed wylotem na kosmodrom Helena Liachow zawsze przechodziła ten sam rytuał. Nie była jedyną, która to robiła, chociaż niewielu kosmonautów o tym mówiło.

Było już ciemno, gdy opuściła budynek administracji i przeszła między sosnami do słynnego posągu. Niebo było krystalicznie czyste i właśnie wzeszedł jasny Księżyc w pełni. Helena odruchowo skupiła wzrok na Mare Imbrium i wróciła myślami do tygodni treningów w Bazie Armstrong, obecnie lepiej znanej jako Mały Mars.

„Umarłeś, zanim się narodziłam, Jurij... w czasach zimnej wojny, gdy nasz kraj nadal był pogrążony w mroku stalinizmu. Co byś pomyślał, gdybyś usłyszał dziś tylu ludzi mówiących obcymi językami w Gwiezdnej Wiosce? Myślę, że byłbyś uszczęśliwiony... *Wiem*, że byłbyś szczęśliwy, gdybyś mógł nas teraz widzieć. Wprawdzie byłbyś starcem, ale wciąż mógłbyś żyć. Cóż to za tragedia, że ty – który pierwszy podróżowałaś w kosmosie – nie zdążyłaś zobaczyć, jak ludzie spacerują po Księżycu! Ty też z pewnością marzyłeś o Marsie... A teraz jesteśmy gotowi tam polecieć i rozpocząć nową erę, o której sto lat temu marzył Konstantin Ciołkowski. Kiedy się spotkamy, będę ci miała wiele do powiedzenia...”

Była w połowie drogi powrotnej do biura, gdy w pobliżu nagle zatrzymał się autobus pełen spóźnionych turystów. Otworzyły się drzwi i wyległ z nich tłum pasażerów z aparatami w rękach. Zastępczyni dowódcy ekspedycji marsjańskiej nie pozostało nic innego, jak przywołać na usta oficjalny uśmiech.

Nagle, nim ktokolwiek zdołał zrobić choć jedno zdjęcie, wszyscy zaczęli krzyczeć i wskazywać w górę. Helena odwróciła się i zobaczyła, jak Księżyc znika, przesłonięty przez gigantyczny cień sunący po niebie. I po raz pierwszy w życiu poczuła strach.

Dowódca ekspedycji marsjańskiej Mohan Kaleer stał na krawędzi krateru, spoglądając nad morzem zastygłej lawy na drugi brzeg kaldery. Trudno było ogarnąć skalę tego widoku lub wyobrazić sobie siły szalejące tutaj, gdy fale stopionej skały wezbrały i popłynęły, tworząc rozpościerające się teraz przed nim ganki i tarasy. Jednak to wszystko, na co patrzył, było niczym wobec ogromu wulkanu, który miał zobaczyć za niecały rok; Kilauea była zaledwie miniaturą Olympus Mons i pomimo długotrwałego treningu mogli być kompletnie nieprzygotowani na to, co ich czeka.

Pamiętał, jak w przemówieniu inauguracyjnym w 2001 roku prezydent Stanów Zjednoczonych zapowiedział, że będzie to „Wiek Układu Słonecznego”, podobnie jak czterdzieści lat wcześniej Kennedy oznajmił: „Musimy polecieć na Księżyc!”. Z przekonaniem przewidywał, że do 2100 roku człowiek odwiedzi wszystkie najważniejsze ciała niebieskie krążące wokół Słońca... i zamieszka na stałe przynajmniej na jednym z nich.

Promienie właśnie wschodzącego słońca podświetlały pasemka pary unoszącej się ze szczelin w lawie, co przypominało doktorowi Kaleerowi poranne mgły zbierające się w marsjańskim Labiryncie Nocy. Tak, łatwo było mu uwierzyć, że już jest na Marsie wraz z kolegami z pół tuzina krajów. Tym razem żaden naród nie miał – i naprawdę nie mógł – wyruszyć tam samotnie.

Wracał do helikoptera, gdy zatrzymał się tknięty jakimś przecuciem, dostrzegłszy coś kątem oka. Zaskoczony, znów spojrział na krater. Dopiero po chwili pomyślał o tym, żeby spojrzeć w niebo.

Wtedy zrozumiał, tak jak w tym samym momencie zrozumiała Helena Liachow, że znana ludziom historia dobiegła kresu. Przy tych lśniących monstrach unoszących się nad chmurami, nie wiedzieć ile kilometrów nad jego głową, statki kosmiczne stojące na kosmodromie Lagrange wydawały się równie prymitywne jak dłubanki. Przez długą jak wieczność chwilę Mohan Kaleer patrzył, podobnie jak cały świat, na te wielkie statki opadające w swym obeszładniającym majestacie.

Nie czuł żalu z powodu tego, że praca całego jego życia poszła właśnie na marne. Trudził się, by zabrać człowieka do gwiazd, a tymczasem gwiazdy – te zimne, obojętne gwiazdy – przybyły do niego.

Była to chwila, w której historia wstrzymała oddech, a teraźniejszość oddzieliła się od przeszłości jak góra lodowa odrywa się od lodowca, aby samotnie i dumnie wypłynąć w morze. Wszystkie osiągnięcia minionych wieków były teraz niczym. Tylko jedna myśl bez końca tłuła się w głowie Mohana:

„Człowiek nie jest już sam”.

Rozdział 2

Sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych stał nieruchomo przy wielkim oknie, patrząc w dół na ożywiony ruch na Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Czasami zastanawiał się, czy to słuszne, by jakikolwiek człowiek pracował tak wysoko nad innymi ludźmi. Odrobina dystansu to rzecz pożądana, lecz łatwo może się przerodzić w obojętność. A może po prostu usiłował znaleźć racjonalne wytłumaczenie swojej niechęci do drapaczy chmur, która nie wygasła mimo dwudziestu lat pracy w Nowym Jorku.

Za plecami usłyszał odgłos otwierających się drzwi, ale nie odwrócił głowy, gdy do pokoju wszedł Pieter van Ryberg. Nastąpiła nieunikniona pauza, w czasie której Pieter z dezaprobatą spoglądał na termostat; mówiono żartobliwie, że sekretarz generalny lubi żyć w lodówce. Stormgren zaczekał, aż jego zastępca dołączy do niego przy oknie, po czym oderwał wzrok od znajomego, lecz zawsze pasjonującego widoku w dół.

– Spóźniają się – powiedział. – Wainwright powinien tu być już pięć minut temu.

– Właśnie otrzymałem wiadomość od policji. Ciagnie za sobą całą procesję i utykają w korkach. Powinien się zjawić lada chwila. – Van Ryberg przerwał, po czym dorzucił: – Nadal jest pan pewien, że spotkanie z nim to dobry pomysł?

– Obawiam się, że jest już trochę za późno, żeby się z tego wycofać. Mimo wszystko wyraziłem zgodę, chociaż wie pan, że to nie był wcale mój pomysł.

Stormgren podszedł do biurka i zaczął się bawić swoim słynnym uranowym przyciskiem do papieru. Nie był zdenerwowany, tylko niezdecydowany. Był nawet zadowolony, że Wainwright się spóźnia, dzięki

temu bowiem od samego początku będzie miał nad nim przewagę. Takie drobiazgi odgrywają w ludzkich sprawach ważniejszą rolę, niż mógłby sobie tego życzyć ktoś, kto kieruje się jedynie logiką i rozsądkiem.

– Są! – powiedział nagle van Ryberg, przyciskając twarz do szyby. – Nadchodzą aleją i jest ich chyba ze trzy tysiące.

Stormgren wziął notatnik i dołączył do swego zastępcy. Oddalony o osiemset metrów mały, lecz zdecydowany tłum wolno podążał w kierunku gmachu Sekretariatu. Nad tłumem powiewały nieczytelne jeszcze z tej odległości transparenty, lecz sekretarz dobrze wiedział, jaka jest ich treść. W końcu usłyszał górującą nad ulicznym zgiełkiem złowrogą melodię pieśni śpiewanej przez demonstrantów. Poczuł, jak wzbiera w nim fala niesmaku. Świat na pewno widział już dość maszerujących tłumów i gniewnych sloganów!

Pochód dotarł już do budynku. Musieli wiedzieć, że na nich patrzy, bo tu i tam, chociaż bez przesadnego zacierzenia, wygrażali pięściami. Gesty te nie były skierowane przeciw Stormgrenowi, choć niewątpliwie miał je zobaczyć. Jak krasnale grożący olbrzymowi, gniewnie kierowali kułaki w niebo, tam, gdzie na wysokości pięćdziesięciu kilometrów niczym lśniaca, srebrna chmura wisiał flagowy statek floty Zwierzchników.

„I bardzo prawdopodobne – pomyślał Stormgren – że Karellen przygląda się całemu zajściu i pęka ze śmiechu, bo taka demonstracja nie mogłaby się odbyć bez cichego poparcia Kontrolera”.

Stormgren po raz pierwszy spotykał się z przywódcą Ligi Wolności. Przestał się zastanawiać, czy mądrze robi, gdyż plany Karellena były często zbyt subtelne, aby mógł je pojąć mózg zwykłego człowieka. Ale sekretarz nie dostrzegał żadnego zagrożenia związanego z tym spotkaniem. Gdyby natomiast odmówił Wainwrightowi, liga ukręciłaby z tego faktu powróż na jego szyję.

Alexander Wainwright był wysokim, przystojnym mężczyzną pod pięćdziesiątkę. Stormgren wiedział, że jest kryształowo uczciwy, a przez to podwójnie niebezpieczny. A jednak oczywista szczerłość jego intencji

sprawiła, że trudno było nie darzyć go sympatią, niezależnie od tego, jaki miało się stosunek do jego poglądów i niektórych jego zwolenników.

Gdy van Ryberg nieco zbyt ceremonialnie przedstawił ich sobie, Stormgren nie tracił czasu.

– Sądzę – zaczął – iż głównym powodem pańskiej wizyty jest złożenie formalnego protestu przeciw planowi federacji. Czy mam rację?

Wainwright poważnie skinął głową.

– To główny powód, panie sekretarzu. Jak pan wie, od pięciu lat próbujemy uświadomić rodzajowi ludzkiemu niebezpieczeństwo, jakie mu zagraża. Zadanie nie należy do łatwych, ponieważ większość ludzi wydaje się zadowolona z tego, że Zwierzchnicy rządzą światem wedle swojej woli. Mimo to w każdym kraju znaleźli się patrioci, łącznie pięć milionów, którzy podpisali naszą petycję.

– W porównaniu z dwoma i pół miliarda liczba ta nie robi specjalnego wrażenia.

– To liczba, której nie można zignorować. A na każdego, który podpisał, przypada wielu żywiących poważne wątpliwości co do słuszności, nie mówiąc już o legalności, planu federacji. Nawet Kontroler Karellen, mimo całej swej potęgi, nie jest w stanie jednym pociągnięciem pióra przekreślić tysiąca lat historii.

– A któż może cokolwiek wiedzieć o potędze Karellena? – odparował Stormgren. – Kiedy byłem chłopcem, Federacja Europejska była tylko marzeniem, a nim dorosłem, stała się rzeczywistością. I doszło do tego przed przybyciem Zwierzchników. Karellen po prostu kończy dzieło, które sami zaczęliśmy.

– Europa była kulturową i geograficzną jednością. Cały świat nią nie jest, na tym polega różnica.

– Zwierzchnikom – odparł sarkastycznie Stormgren – których punkt widzenia, zgodzi się pan ze mną, jest o wiele dojrzałszy niż nasz, Ziemia zapewne wydaje się dużo mniejsza niż Europa naszym przodkom.

– Nie oznacza to, że jestem całkowicie przeciwny tworzeniu federacji, choć większość moich zwolenników może się z tym nie zgodzić. Powinna ona jednak powstać z naszej inicjatywy, a nie być narzucana z zewnątrz.

Musimy sami zdecydować o swoim losie. Trzeba skończyć z wtrącaniem się obcych w ludzkie sprawy!

Stormgren westchnął. Wszystko to słyszał setki razy i wiedział, że może udzielić tylko jednej, dobrze znanej odpowiedzi, której Liga Wolności nigdy nie zaakceptuje. On ufał Karellenowi, oni nie. Na tym polegała podstawowa różnica i nic nie mógł na to poradzić. Na szczęście Liga Wolności także nie miała na to żadnego wpływu.

– Pozwoli pan, że zadam kilka pytań – rzekł. – Czy może pan zaprzeczyć, że Zwierzchnicy dali światu bezpieczeństwo, pokój i dobrobyt?

– To prawda. Jednak odebrali nam wolność. Nie samym...

– ...chlebem człowiek żyje. Tak, wiem, ale po raz pierwszy w historii każdy człowiek może być pewny, że go dostanie. W każdym razie, jakąż to wolność utraciliśmy w zamian za to, co dali nam Zwierzchnicy, a czego nie mieliśmy w żadnym okresie naszej cywilizacji?

– Wolność kierowania swoim losem zgodnie z wolą Bożą.

„No nareszcie – pomyślał Stormgren – doszliśmy do sedna. Podłożem konfliktu jest religia, chociaż pozornie wygląda to inaczej. Wainwright nikomu nie pozwoli zapomnieć o tym, że był duchownym. Choć nie nosi już koloratki, ma się wrażenie, że wciąż ma ją na szyi”.

– W zeszłym miesiącu – powiedział z naciskiem sekretarz – setka biskupów, kardynałów i rabinów podpisała wspólną deklarację poparcia dla zamiarów Kontrolera. Duchowni opowiedzieli się przeciwko wam.

Wainwright gniewnie potrząsnął głową.

– Wielu przywódców to ludzie zaślepieni, Zwierzchnicy przekupili ich. Kiedy pojmą istotę zagrożenia, może już być za późno. Inicjatywa wymknie się nam z rąk i staniemy się rasą niewolników.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W końcu Stormgren odparł:

– Za trzy dni znów spotkam się z Kontrolerem. Przekażę mu pańskie zastrzeżenia, ponieważ jest moim obowiązkiem prezentowanie mu wszystkich poglądów. Jednak mogę pana zapewnić, że to niczego nie zmieni.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział powoli Wainwright. – Mamy wiele zastrzeżeń do Zwierzchników, lecz nade wszystko nie podoba nam się ich tajemniczość. Jest pan jedynym człowiekiem, który rozmawiał z Karellenem, ale nawet pan nigdy go nie widział. Czy to dziwne, że mamy wątpliwości co do motywów, jakimi się kieruje?

– Mimo wszystkiego, co zrobił dla ludzkości?

– Tak, mimo to. Nie wiem, co budzi w nas większy sprzeciw: wszechmoc Karellena czy jego tajemniczość. Jeśli nie ma nic do ukrycia, dlaczego się nam nie pokaże? Następnym razem, kiedy będzie pan z nim rozmawiał, panie Stormgren, proszę go o to zapytać!

Stormgren milczał. Na to nie miał odpowiedzi, w każdym razie takiej, która przekonałaby rozmówcę. Czasami zastanawiał się, czy udało mu się przekonać samego siebie.

Z ich punktu widzenia była to oczywiście operacja na niewielką skalę, lecz dla Ziemi było to największe wydarzenie w historii. Bez żadnego ostrzeżenia z niezbadanych otchłani kosmosu wyłoniła się flota wielkich statków. Ten dzień opisywano w niezliczonych powieściach, lecz tak naprawdę nikt nie wierzył, że kiedykolwiek nadejdzie. Teraz wreszcie nastał: błyszczące, nieruchome obiekty wiszące nad każdym kontynentem symbolizowały wiedzę, jakiej ludzkość nie miała szans dorównać jeszcze przez stulecia. Sześć dni bez ruchu unosiły się nad miastami, niczym nie zdradzając, że zdają sobie sprawę z istnienia Człowieka. Nie było to jednak potrzebne: przecież te potężne statki nieprzypadkowo znalazły się właśnie nad Nowym Jorkiem, Londynem, Paryżem, Moskwą, Rzymem, Kapsztadem, Tokio, Canberą...

Jeszcze przed upływem tych kilku mrozących krew w żyłach dni niektórzy ludzie domyślili się prawdy. Dla tej rasy, która rzekomo niczego nie wiedziała o ludziach, nie był to pierwszy kontakt. W tych milczących, nieruchomych statkach mistrzowie psychologii studiowali ludzkie reakcje. Kiedy napięcie dojdzie do zenitu, podejmą działania.

Szóstego dnia Karellen, Kontroler Ziemi, na wszystkich częstotliwościach fal radiowych oznajmił światu swoją obecność.

Przemawiał tak doskonałą angielszczyzną, że spory wywołane tym faktem po obu stronach Atlantyku nie wygasły przez lata. Jednak treść tej przemowy była jeszcze bardziej wstrząsająca niż jej forma. Niewątpliwie było to dzieło niezrównanego geniuszu dowodzące doskonałej i absolutnej znajomości natury ludzkiej. Nie mogło być wątpliwości, że jego erudycja i wirtuozeria oraz kuszące wzmianki o wiedzy niedostępnej jeszcze człowiekowi były eksponowane celowo, tak by przekonać rodzaj ludzki, że właśnie zetknął się z przytłaczającą potęgą intelektualną. Kiedy Karellen skończył, narody Ziemi zrozumiały, że nadszedł kres dotychczasowej niezależności. Lokalne rządy zachowały władzę, lecz w kwestiach szeroko pojętej polityki zagranicznej decydujący głos nie należał już do ludzi. Argumenty i protesty były daremne.

Oczywiście trudno było oczekiwać, że wszystkie narody pokornie pogodzą się z takim ograniczeniem swojej władzy. Jednak wszelki aktywny opór napotykał nieprzewidywane trudności, ponieważ zniszczenie statków Zwierzchników, nawet gdyby było możliwe, pociągnęłoby za sobą zniszczenie miast, nad którymi wisiały. Mimo to jedno z mocarstw podjęło taką próbę. Może odpowiedzialni za tę decyzję mieli nadzieję załatwić jednym atomowym pociskiem dwie sprawy, gdyż ich celem był statek unoszący się nad stolicą sąsiedniego, nieprzyjaźnie nastawionego kraju.

Gdy w tajnym punkcie dowodzenia na ekranie monitora pojawił się obraz ogromnego statku, sercami niewielkiej grupy oficerów i techników musiały targać mieszane uczucia. Jeśli im się uda, jakie działania podejmą pozostałe statki? Czy są w stanie również je zniszczyć, dając ludzkości możliwość podążania dalej własną drogą? A może Karellen zechce wyrzucić jakąś straszliwą zemstę na tych, którzy go zaatakowali?

Ekran pociemniał nagle, gdy pocisk trafił w cel, i natychmiast inna kamera, umieszczona wiele kilometrów dalej w powietrzu, zaczęła przekazywać obraz. W ułamku sekundy, jaki trwało łączenie, powinna była powstać ognista kula płonąca na niebie niczym drugie Słońce.

Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Wielki statek unosił się nietknięty na skraju stratosfery, pławiąc się w słonecznym blasku. Pocisk nie tylko nie zdołał go zniszczyć, ale nikt nie potrafił powiedzieć, co się

z nim stało. Ponadto Karellen nie podjął żadnych działań przeciw inicjatorom ataku; nawet nie dał znać, że go zauważył. Zignorował ich pogardliwie, pozwalając im pocić się ze strachu przed zemstą, która nigdy nie nadeszła. Było to skuteczniejsze i bardziej odbierające chęć oporu niż jakiegokolwiek represje. Rząd odpowiedzialny za wystrzelenie pocisku upadł wśród wzajemnych oskarżeń kilka tygodni później.

Polityka Zwierzchników napotkała również bierny opór. Zazwyczaj Karellen dawał sobie z tym radę, pozwalając przeciwnikom robić swoje, dopóki nie odkryli, że odmawiając współpracy, sami sobie wyrządzają krzywdę. Tylko raz podjął bezpośrednią akcję przeciw krnąbrnemu rządowi.

Przez ponad sto lat Republika Południowej Afryki była ośrodkiem napięć społecznych. Ludzie dobrej woli po obu stronach usiłowali budować mosty, jednak daremnie – obawy i uprzedzenia były zbyt głęboko zakorzenione, by mogła się udać jakakolwiek współpraca. Kolejne rządy różniły się jedynie stopniem nietolerancji; ziemia była zatruta nienawiścią i jadem wojny domowej.

Kiedy stało się jasne, że nie zostaną podjęte żadne wysiłki, aby położyć kres tej sytuacji, Karellen przekazał swoje ostrzeżenie. Po prostu wyznaczył datę i godzinę, nic więcej. Zrozumiano go, lecz niezbyt się tym przejęto, nikt bowiem nie wierzył, że Zwierzchnicy mogą podjąć jakies działania, które obejmą zarówno winnych, jak i niewinnych.

I nie podjęli. Tyle że Słońce minęło południk Kapsztadu... i zgasło. Pozostała biała, czerwona kula niedająca światła ani ciepła. W jakiś sposób w głębi kosmosu promienie słoneczne zostały spolaryzowane przez nieznaną pole siłowe, które nie przepuszczało żadnego promieniowania. Obszar Ziemi objęty tym zjawiskiem miał średnicę pięciuset kilometrów i kształt idealnego koła.

Pokaz trwał trzydzieści minut. Wystarczyło – następnego dnia rząd Republiki Południowej Afryki ogłosił, że białej mniejszości zostają przywrócone pełne prawa obywatelskie.

Mimo takich pojedynczych wypadków rodzaj ludzki zaakceptował Zwierzchników jako część naturalnego porządku rzeczy. W zaskakująco

krótkim czasie początkowy szok poszedł w niepamięć i świat ponownie zajął się swoimi sprawami. Największą zmianą, jaką mógłby zauważyć obudzony ponownie Rip van Winkle, było przyciszone oczekiwanie, rodzaj wewnętrznego oglądania się przez ramię, z jakim ludzkość czekała, aż Zwierzchnicy wyjdą ze swych lśniących statków i pokażą się publicznie.

Minęło pięć lat i nadal czekano. „Oto – pomyślał Stormgren – przyczyna wszystkich kłopotów”.

Kiedy samochód Stormgrena podjechał do pasa startowego, czekało na niego zwykle kółko gapiów i przygotowanych kamer. Sekretarz generalny zamienił jeszcze kilka słów ze swoim zastępcą, wziął dyplomatkę i ruszył przez pierścień widzów.

Karellen nigdy nie kazał mu zbyt długo czekać. Tłum wydał nagły okrzyk, a na niebie z zapierającą dech w piersi szybkością pojawił się srebrny bąbel. Podmuch powietrza szarpnął ubranie Stormgrena, gdy pięćdziesiąt metrów dalej niewielki statek zawisł kilka centymetrów nad ziemią, jakby obawiał się zetknięcia z nieczystą planetą. Idący wolno Stormgren dostrzegł znajome wybrzuszenie powłoki wykonanej bez jednego spawu i po chwili ukazał się przed nim otwór, który tak intrygował najlepsze naukowe umysły Ziemi. Sekretarz wszedł do jedynej, oświetlonej miękkim światłem kabiny promu. Wejście zasklepiło się, jakby nigdy nie istniało, odcinając obraz i dźwięk.

Otworzyło się po pięciu minutach. Mimo że Stormgren nawet nie poczuł, że leci, wiedział, iż znajduje się na wysokości pięćdziesięciu kilometrów, wewnątrz statku Karellena. Przebywał w świetle Zwierzchników – wszystko wokół tętniło ich tajemniczymi sprawami. Zbliżył się do nich bardziej niż jakikolwiek człowiek, ale wiedział o nich nie więcej niż te miliony ludzi w dole.

Mały pokój konferencyjny na końcu korytarza nie był umeblowany, jeśli nie liczyć pojedynczego fotela i stolika pod ekranem. Zgodnie z zamierzeniami projektantów wnętrze nie mówiło nic o ich naturze. Ekran, jak zawsze, był pusty. W snach Stormgren widział czasem, jak

ekran ożywa, ujawniając mu tajemnicę dręczącą cały świat. Jednak ten sen nigdy się nie ziścił; ciemny prostokąt krył całkowitą zagadkę. Ale były tam jeszcze potęga i mądrość, ogromne, tolerancyjne zrozumienie ludzkiej psychiki i – najbardziej ze wszystkiego nieoczekiwane – niepozbowione ciepłego humoru uczucie do tych małych stworzeń kłębiących się na planecie pod nimi.

Z ukrytego głośnika rozległ się dobrze znany, spokojny, niespieszny głos, który Ziemia słyszała tylko raz. Jego barwa i ton mówiły coś o wyglądzie Karellena, sugerowały przytłaczająco wielką istotę. Karellen musiał być okazałym osobnikiem – może dużo większym od człowieka. Ale prawdą było też to, że niektórzy naukowcy po przeanalizowaniu nagrań jego jedyne go przemówienia sugerowali, iż może to być głos maszyny. W coś takiego Stormgren absolutnie nie wierzył.

– Tak, Rikki, przysłuchiwałem się waszemu spotkaniu. I cóż poczniesz z panem Wainwrightem?

– To człowiek uczciwy, nawet jeśli wielu jego zwolenników nie można tak nazwać. A co z nim zrobimy? Liga jako taka nie jest niebezpieczna, ale niektórzy ekstremiści w jej szeregach otwarcie opowiadają się za użyciem siły. Zastanawiałem się, czy nie powinienem postawić przed swoim domem straży. Mam nadzieję, że obejdzie się bez tego.

Karellen zmienił temat, co niekiedy czynił, irytując rozmówcę.

– Przed miesiącem zostały przekazane opinii publicznej szczegóły dotyczące Federacji Światowej. Czy nastąpił istotny wzrost siedmioprocentowej grupy tych, którzy się ze mną nie zgadzają, lub dwunastoprocentowej tych, którzy „nie wiedzą”?

– Na razie nie. Jednak nie to jest ważne. Niepokoi mnie powszechne uczucie, i to żywione nawet przez pańskich zwolenników, że nadszedł czas, by się pan ujawnił.

Westchnienie Karellena było doskonałe technicznie, chociaż zdawało się, że brakuje mu przekonania.

– Pan podziela to uczucie, nieprawdaż?

Ponieważ pytanie było retoryczne, Stormgren nie trudził się odpowiedzią.

- Zastanawiałem się - kontynuował z powagą - czy pan naprawdę rozumie, jak bardzo obecny stan rzeczy utrudnia mi pracę.

- Nie ułatwia to również mojej pracy - odparł żywo Karellen. - Chciałbym, aby ludzkość przestała o mnie myśleć jako o dyktatorze i pamiętała, że jestem jedynie urzędnikiem próbującym dobrze zarządzać kolonią, ale niemającym żadnego wpływu na kształtowanie polityki kolonialnej.

Stormgren pomyślał, że to odpowiednie porównanie. Zastanawiał się, ile jest w nim prawdy.

- Czy nie może pan w końcu podać jakiegoś powodu, dla którego się ukrywa? Nie możemy tego zrozumieć, więc nas to irytuje i jest źródłem niekończących się plotek i spekulacji.

Karellen wybuchnął głębokim, basowym śmiechem nieco zbyt dźwięcznym jak na ludzki głos.

- A więc czym według nich jestem? Czy teoria o robocie wciąż ma zwolenników? Wolałbym już raczej być kupą lamp elektronowych niż czymś podobnym do stonogi... O, właśnie, widziałem ten komiks we wczorajszym „Chicago Times”. Myślę, że chciałbym mieć jeden egzemplarz.

Stormgren zacisnął usta. „Chwilami - pomyślał - Karellen traktuje sprawy zbyt lekko”.

- To *poważna* sprawa - powiedział z naganą.

- Mój drogi Rikki - odparł Karellen - udaje mi się zachować resztki całkiem znośnego niegdyś zdrowego rozsądku tylko dlatego, że nie traktuję ludzi zbyt poważnie.

Sekretarz nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Jednak to nastawienie nie pomaga mi w pracy, nieprawdaż? Muszę wrócić tam, na dół, i przekonać moich braci, że chociaż im się pan nie pokaże, nie ma pan nic do ukrycia. Nie jest to łatwe zadanie. Ciekawość jest jedną z dominujących ludzkich cech. Nie może jej pan ignorować w nieskończoność.

– Ten problem jest najpoważniejszy ze wszystkich, jakie napotkaliśmy tu, na Ziemi – przyznał Karellen. – Zaufałeś naszej mądrości w wielu sprawach, zaufaj nam i teraz.

– Ja wam ufam – odparł Stormgren – ale Wainwright nie i jego zwolennicy również. Nie może ich pan winić za to, że błędnie interpretują waszą niechęć do pokazania się nam.

Na chwilę zapadła cisza. I wtedy Stormgren usłyszał niewyraźny dźwięk (jakby trzask?), który mógł zostać wywołany lekkim poruszeniem się Zwierzchnika.

– Pan wie, dlaczego Wainwright i jemu podobni obawiają się mnie, prawda? – zapytał Karellen. Jego głos, głęboki i mroczny, przypominał dźwięk wielkich organów przetaczający się echem pod sklepieniem wysokiej katedry. – Takich jak on znajdzie pan wśród zwolenników każdej religii na świecie. Oni wiedzą, że reprezentujemy naukę i wiedzę, i jakkolwiek pewni są swojej wiary, boją się, iż obalimy ich bogów. Niekoniecznie nawet celowo, ale w sposób znacznie subtelniejszy. Nauka może zniweczyć religię, po prostu ją ignorując. Takie działanie może być równie skuteczne, jak obalanie religijnych dogmatów. O ile wiem, nikt nie udowodnił, że nie istnieje Zeus czy Thor, a mają oni teraz niewielu wyznawców. Tacy jak Wainwright lękają się i tego, że możemy znać prawdę o korzeniach ich religii. Zastanawiają się, od jak dawna obserwujemy ludzkość. Czy byliśmy świadkami tego, jak Mahomet rozpoczynał hidżrę, albo czy widzieliśmy Mojżesza wręczającego Żydom przykazania. Czy wiemy, ile fałszu kryje się w historiach, w które wierzą.

– A wiecie? – szepnął Stormgren na poły do siebie.

– To właśnie, Rikki, jest źródłem ich lęków, nawet jeśli otwarcie się do tego nie przyznają. Proszę mi wierzyć, niszczenie wiary nie daje nam satysfakcji, ale wszystkie religie świata nie mogą być słuszne i oni o tym wiedzą. Wcześniej czy później człowiek musi poznać prawdę, lecz ten czas jeszcze nie nadszedł. Co się zaś tyczy naszej tajemniczości, to ma pan rację, że komplikuje nam ona sprawy, jednak to nie zależy od nas. Jest mi równie przykro jak panu za sprawą tego ukrywania się, lecz są ku temu ważne powody. Mimo to postaram się uzyskać od moich przełożonych

zgodę na wydanie oświadczenia, które pana usatysfakcjonuje i, być może, uspokoi Ligę Wolności. Czy teraz możemy wrócić do tematu i nagrywania?

– No i co? – spytał niecierpliwie van Ryberg – Udało się?

– Nie wiem – odparł zmęczony Stormgren, rzucając akta na biurko i opadając na fotel. – Teraz Karellen naradza się ze swoimi przełożonymi, kimkolwiek lub czymkolwiek oni są. Właściwie niczego mi nie obiecał.

– Coś przyszło mi do głowy – odezwał się nagle Pieter. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego mielibyśmy wierzyć, że w ogóle jest ktoś ponad Karellenem? Przypuśćmy, że wszyscy Zwierzchnicy, jak ich nazywamy, są tu, na Ziemi, w tych swoich statkach. Może nie mają się gdzie podziać i ukrywają przed nami ten fakt?

– Ciekawa teoria. – Stormgren uśmiechnął się szeroko. – Ale koliduje ona z tymi kilkoma drobiazgami, które wiem, albo wydaje mi się, że wiem, o pozycji Karellena i o nim samym.

– A co pan wie?

– No cóż, często napomyka o tym, że jego funkcja tutaj jest tylko czasowa i przeszkadza mu w zajęciu się prawdziwą pracą, która, jak sądzę, wiąże się z matematyką. Kiedyś zacytowałem mu myśl Actona o władzy, która korumpuje, i o władzy absolutnej, która korumpuje w stopniu absolutnym. Chciałem się przekonać, jak na to zareaguje. Wybuchnął tym swoim grzmiącym śmiechem i powiedział: „Takie niebezpieczeństwo mi nie grozi. Po pierwsze, im prędzej zakończę moją misję tutaj, tym prędzej wrócę do domu znajdującego się wiele lat świetlnych stąd. A po drugie, nie posiadam władzy absolutnej, jakkolwiek na to patrzeć. Jestem tylko Kontrolerem”. Oczywiście mógł mnie oszukiwać.

– Jest nieśmiertelny, prawda?

– O tak, według naszych standardów tak, choć jest coś takiego w przyszłości, czego się obawia. Jednak nie mogę sobie wyobrazić, co też to może być. I to już wszystko, co o nim wiem.

– Niewiele można z tego wywnioskować. Według mojej teorii jego flota zgubiła się w kosmosie i szuka nowego domu. On nie chce, abyśmy

wiedzieli, jak mało ich jest. Może wszystkie pozostałe statki są automatycznie sterowane i nie ma w nich nikogo. Są po prostu fasadą, za którą nic się nie kryje.

– Wie pan co – rzekł Stormgren – czytuje pan zbyt wiele książek fantastycznonaukowych.

Van Ryberg uśmiechnął się nieśmiało.

– „Inwazja z kosmosu” przebiegła nieco inaczej, niż się spodziewano, nieprawdaż? Jednak moja teoria wyjaśniałaby, dlaczego Karellen nigdy się nie pokazuje. Nie chce, abyśmy się dowiedzieli, że nie ma innych Zwierzchników.

Stormgren z pewnym rozbawieniem pokręcił głową.

– Jak zwykle pańskie wyjaśnienie jest zbyt skomplikowane, aby było prawdziwe. Za Zwierzchnikami musi stać potężna cywilizacja, i to taka, która zna ludzkość od bardzo dawna, chociaż obu tych rzeczy możemy się tylko domyślać. Sam Karellen musiał zajmować się nami od wielu stuleci. Dowodzi tego choćby jego znajomość angielskiego. On mnie uczył idiomów!

– Czy kiedykolwiek stwierdził pan, że on czegoś nie wie?

– Ależ tak, chociaż zawsze były to jakieś drobiazgi. Przypuszczam, że ma pamięć absolutną, lecz pewne rzeczy nie są dla niego dość ważne, aby je zapamiętać. Na przykład angielski jest jedynym językiem, jaki opanował w doskonałym stopniu, mimo iż w ciągu ostatnich dwóch lat na tyle poznał fiński, żeby mnie drażnić. A przecież nie można się szybko nauczyć fińskiego! Potrafi z pamięci cytować całe fragmenty *Kalewali*, podczas gdy ja, co wyznaję ze wstydem, znam tylko parę linijek. Zna również biografie wszystkich żyjących polityków i czasem udaje mi się zidentyfikować źródła, na których się opiera. Jego znajomość naszej historii i nauki wydaje się dogłębna. Nie ma pan pojęcia, ile już się od niego dowiedzieliśmy. Rozpatrując poszczególne jego talenty, nie przypuszczam, aby wszystkie wykraczały poza ludzkie możliwości. Jednak prawdopodobnie żaden człowiek nie zdołałby osiągnąć tyle co on w tak wielu dziedzinach.

- Domyślałem się tego. - Van Ryberg pokiwał głową. - Możemy rozmawiać o Karellenie bez końca, ale zawsze wracamy do tego samego pytania: Dlaczego ten diabeł nie chce się pokazać? Dopóki tego nie uczyni, będę nadal snuł przypuszczenia, a Liga Wolności będzie wciąż protestować. - Buntowniczo spojrzął w sufit. - Mam nadzieję, panie Kontrolerze, iż nadejdzie taki dzień, że jakiś wścibski reporter doleci rakieta do pańskiego statku i kuchennymi drzwiami wpakuje się do środka z aparatem. Ależ to byłaby sensacja!

Jeśli nawet Karellen to słyszał, to nie zareagował. Choć, rzecz jasna, zawsze tak robił.

W ciągu pierwszego roku przybycie Zwierzchników miało mniejszy oddźwięk, niż można się było spodziewać. Zwierzchnicy byli wszechobecni, ale ta obecność nie przytłaczała. Jakkolwiek nad mało którym z wielkich miast Ziemi nie unosił się jeden z tych srebrnych, lśniących statków, wkrótce ich obecność stała się czymś równie oczywistym jak istnienie słońca, księżyca czy chmur. Większość ludzi prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, że stale podnoszący się poziom życia zawdzięcza Zwierzchnikom. Kiedy jednak zaczęli się nad tym zastanawiać, co nie zdarzało się często, uświadamiali sobie, że te nieruchome statki są gwarantem pokoju, jaki po raz pierwszy w historii zapanował na całym świecie. Wtedy byli wdzięczni.

Były to wszakże korzyści wynikające z zaniechania pewnych działań, a więc mało spektakularne, i niebawem o nich zapomniano. Zwierzchnicy trzymali się na uboczu, kryjąc swe oblicza przed rodzajem ludzkim. Karellen potrafił budzić respekt i szacunek, ale jak długo kontynuował politykę pozostawiania w cieniu, nie mógł liczyć na żadne cieplejsze uczucia ze strony ludzi. Właściwie trudno było nie czuć niechęci do tych mieszkańców Olimpu przemawiających do ludzkości za pomocą telefaksu zainstalowanego w siedzibie Sekretariatu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tego, o czym rozmawiali Karellen i Stormgren, nigdy nie podawano do publicznej wiadomości, sam sekretarz zaś często zastanawiał się, dlaczego Kontroler uważa, że ich spotkania są konieczne.

Niewykluczone, że czuł potrzebę bezpośredniego kontaktu przynajmniej z jednym człowiekiem, a może zdawał sobie sprawę z tego, jak potrzebny jest Stormgrenowi ten rodzaj poparcia. Jeśli tak, to dla Stormgrena był to wystarczający powód. Nie miał nic przeciw temu, że Liga Wolności nazywała go obraźliwie „gońcem Karellena”.

Zwierzchnicy nie zawierali żadnych układów z poszczególnymi państwami i rządami – zaakceptowali Organizację Narodów Zjednoczonych, polecili, by zainstalowano niezbędne urządzenia radiowe, i przekazywali rozkazy ustami sekretarza generalnego. Delegacja radziecka nieraz wykazywała w długich przemówieniach, zresztą całkowicie zgodnie z prawdą, że takie postępowanie kłóci się z postanowieniami Karty ONZ. Nie robiło to żadnego wrażenia na Karellenie.

Było zaskakujące, że wraz z pojawieniem się obcych zniknęło tak wiele nadużyć, szaleństw i zła. Po przybyciu Zwierzchników narody dowiedziały się, że nie muszą już obawiać się siebie nawzajem, i odgadły, jeszcze zanim się o tym przekonały, że istniejące uzbrojenie jest nieskuteczne przeciwko cywilizacji potrafiącej pokonać przestrzenie międzygwiazdne. Tak więc za jednym zamachem została usunięta największa przeszkoda na drodze do szczęścia ludzkości.

Zwierzchnikom w zasadzie były obojętne formy rządów w poszczególnych krajach, dbali jedynie o to, żeby nie były one reżimowe i skorumpowane. Na Ziemi istniały zatem nadal demokracje, monarchie, łagodne dyktatury, komunizm i kapitalizm. Zaskakiwało to wielu naiwnych, którzy byli przeświadczeni, że ich styl życia jest jedynym możliwym. Inni uważali, że Karellen po prostu czeka na właściwy moment, aby wprowadzić system, który zmiecie wszelkie istniejące ustroje społeczne, i dlatego nie interesują go kosmetyczne reformy polityczne. Jednak były to, podobnie jak inne spekulacje dotyczące Zwierzchników, tylko domysły. Nikt nie znał ich motywów i nikt nie wiedział, ku jakiej przyszłości wiodą ludzkość.

Rozdział 3

Stormgren źle sypiał, co było dość niezwykle, gdyż wkrótce miał się na zawsze pozbyć trosk związanych ze swoim urzędem. Od czterdziestu lat służył ludzkości, a od pięciu jej panom i niewielu ludzi, patrząc wstecz na swoje życie, mogło tak jak on powiedzieć, że udało im się zrealizować większość swoich planów. Być może na tym właśnie polegał jego problem – w nadchodzących latach, ile by mu ich zostało, nie będzie kolejnych celów do osiągnięcia, co nadawałoby życiu jakiś sens. Od czasu gdy Marta umarła, a dzieci pozakładały własne rodziny, więzy łączące go ze światem wyraźnie osłabły. Może spowodował to również fakt, że zaczął się identyfikować ze Zwierzchnikami i w ten sposób odizolował od innych ludzi.

To była jeszcze jedna z tych niespokojnych nocy, podczas których jego umysł pracował bez przerwy jak silnik samochodu, który kierowca zapomniał wyłączyć. Wiedział, że próby zmuszenia się do zaśnięcia skazane są na niepowodzenie, więc niechętnie podniósł się z łóżka. Narzuciwszy szlafrok, wyszedł do ogrodu znajdującego się na dachu jego skromnego mieszkanca. Wśród podlegającego mu personelu nie było nikogo, kto nie mieszkałby w bardziej komfortowych apartamentach, ale taki standard w zupełności wystarczał Stormgrenowi. Zresztą pozycja, jaką osiągnął, sprawiała, że ani stan posiadania, ani żadne zaszczyty nie mogły jej już polepszyć.

Noc była ciepła, prawie duszna, ale niebo było czyste, a na południowym zachodzie, nisko nad horyzontem, wisiał lśniący księżyc. Luna światła odległego Nowego Jorku rozjaśniała mrok niczym mroźna zorza.

Stormgren oderwał wzrok od uspiętego miasta i powiódł nim w górę, na wysokość, którą jemu jedynemu z żyjących ludzi było dane osiągnąć.

Mimo odległości dostrzegł błyszczący w blasku księżyca kadłub statku Karellena.

Wysoko w górze meteor niczym świetlista włócznia przeszył kopułę nieba. Jego ślad przez chwilę lśnił słabym blaskiem, a potem zniknął i pozostały tylko gwiazdy. Było to brutalne przypomnienie oczywistego faktu: za sto lat Karellen będzie nadal prowadził rodzaj ludzki ku sobie tylko znanemu celowi, lecz już za cztery miesiące inny człowiek zostanie sekretarzem generalnym ONZ. Fakt ten sam w sobie nie martwił zbytnio Stormgrena, ale oznaczał, że pozostało mu niewiele czasu, aby dowiedzieć się, co się kryje za ciemnym ekranem.

Dopiero ostatnio odważył się przyznać sam przed sobą, że tajemniczość Zwierzchników staje się powoli i jego obsesją. Dotychczas zaufanie, jakim darzył Karellena, tłumiło wszelkie wątpliwości, ale teraz, pomyślał ze smutkiem, protesty Ligi Wolności zaczęły wywierać wpływ i na niego. To prawda, że slogany o zniewoleniu człowieka były jedynie tanią propagandą. Niewielu ludzi brało je poważnie czy pragnęło, aby wróciły dawne czasy. Ludzie przyzwyczaili się do niedostrzegalnej władzy Karellena, ale zaczęli się niecierpliwić, gdyż chcieli wiedzieć, kto nimi rządzi. Czy można ich o to winić?

Jakkolwiek najliczniejsza, Liga Wolności była tylko jedną z organizacji zwalczających Karellena, a co za tym idzie, ludzi współpracujących ze Zwierzchnikami. Motywy i działania tych grup były niezwykle zróżnicowane – jedne miały podłoże religijne, inne po prostu dawały upust kompleksowi niższości. Ich stosunek do Zwierzchników był taki jak wykształconego dziewiętnastowiecznego Hindusa do brytyjskiego protektoratu. Intruzi przynieśli Ziemi pokój i dobrobyt, lecz kto wiedział, jakie mogą być koszty? Historia minionych wieków nie rozpraszała tych wątpliwości: nawet najbardziej pokojowe kontakty między cywilizacjami stojącymi na różnych szczeblach rozwoju często miały oplakane skutki dla zacofanego społeczeństwa. Narody, podobnie jak jednostki, stając przed wyzwaniem, któremu nie potrafiły sprostać, mogły stracić ducha. A cywilizacja Zwierzchników, chociaż owiana tajemnicą, była największym wyzwaniem, przed jakim kiedykolwiek stanął człowiek.

W sąsiednim pokoju cicho zaklekotała drukarka wypływająca skrót wiadomości z ostatniej godziny. Stormgren wszedł do środka i bez entuzjazmu przejrzał wydruk. Po drugiej stronie globu z inspiracji Ligi Wolności powstał artykuł pod wielce oryginalnym nagłówkiem. CZY LUDŹMI RZĄDZĄ POTWORY? – pytała gazeta, a dalej następowało zdanie: „Na dzisiejszym mityngu w Madrasie dr C.V. Krishnan, przewodniczący Wschodniego Oddziału Ligi Wolności, powiedział: »Powód dziwnego zachowania Zwierzchników jest prosty. Ich wygląd jest tak potworny i odrażający, że nie odważą się ukazać ludziom. Wzywam Kontrolera, aby temu zaprzeczyć«”.

Stormgren z niesmakiem upuścił papier. Gdyby nawet to oskarżenie było prawdziwe, czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie? Podobne pomysły nie były czymś nowym, ale nigdy się nimi nie przejmował. Nie wierzył, aby istniała taka forma życia, której po pewnym czasie nie zdołałby zaakceptować, a może nawet polubić, jakkolwiek dziwna mogłaby się wydać na początku. Liczy się umysł, nie ciało. Gdybyż tylko udało mu się przekonać o tym Karellena! Zwierzchnicy mogliby ustąpić w tej sprawie. To pewne, że nie byli nawet w połowie tak odrażający, jak tuż po przybyciu przedstawiała ich wyobraźnia rysowników.

Stormgren wiedział jednak, że nie tylko troska o następcę kazała mu niecierpliwie oczekiwać kresu obecnego stanu rzeczy. Był dostatecznie szczerzy wobec siebie, aby przyznać, że po głębszej analizie jeden z kierujących nim motywów okazywał się silniejszy od pozostałych: zwykła ludzka ciekawość. Poznał Karellena jako osobę, ale nigdy nie będzie całkowicie usatysfakcjonowany, jeśli nie dowie się, jak Kontroler wygląda.

Nazajutrz, kiedy Stormgren o zwykłej porze nie pojawił się w biurze, Pieter van Ryberg był zaskoczony i lekko zdenerwowany. Zazwyczaj sekretarz generalny, przeprowadzając pierwsze rozmowy telefoniczne jeszcze przed wyjściem do biura, uprzedzał pracowników o swojej nieobecności. Ponadto, co dodatkowo komplikowało sytuację, tego ranka kilka ważnych depeesz wymagało odpowiedzi Stormgrena. Van Ryberg

obdzwoił pół tuzina departamentów, próbując go odnaleźć, lecz w końcu zrezygnował.

Koło południa był już mocno zdenerwowany i wysłał samochód do Stormgrena. Dziesięć minut później zaskoczyło go wycie syren – Roosevelt Drive pędził wóz policyjny. Ktoś z załogi radiowozu musiał być wtyczką agencji informacyjnej, bo kiedy van Ryberg patrzył na zbliżający się samochód, radio właśnie głośno świata, że nie jest już zastępcą, lecz pełniącym obowiązki sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Gdyby van Ryberg nie miał tylu spraw na głowie, z pewnością bawiłyby go reakcje prasy na zniknięcie Stormgrena. W ciągu miesiąca dziennikarze podzielili się na dwa obozy. Prasa zachodnia całkowicie zgadzała się na plan Karellena zmierzający do przekształcenia wszystkich ludzi w obywateli świata. Z drugiej strony znajdowały się kraje Wschodu, targane gwałtownymi, choć przeważnie sztucznie wywołanymi spazmami narodowej dumy. Niektóre z nich uzyskały niepodległość niespełna pokolenie wcześniej i miały wrażenie, iż zadrwiono z ich osiągnięć. Krytyka postępowania Zwierzchników była w nich powszechna i agresywna – po pierwszym okresie wyczekiwania prasa szybko odkryła, że może obrażać Karellena ile jej się podoba i właściwie nic się nie dzieje. Teraz zaś przechodziła samą siebie.

Większość tych ataków, choć niezmiernie hałaśliwa, nie reprezentowała opinii szerokich kręgów społeczeństwa. Wzdłuż granic, które niebawem miały zniknąć, podwojono strażę, ale żołnierze spoglądali na siebie przyjaźnie, chociaż jeszcze w milczeniu. Politycy i generałowie mogli sobie szaleć i toczyć pianę z ust, lecz spokojnie oczekujące miliony czuły, że może nie tak zaraz, ale niebawem długi i krwawy rozdział historii świata zostanie wreszcie zamknięty.

I właśnie w tym momencie Stormgren zniknął, nie wiedzieć gdzie. Wrzaskliwa kampania nagle ucichła, gdy ludzie zrozumieli, że stracili jedyne go człowieka, za którego pośrednictwem Zwierzchnicy, z sobie tylko znanych powodów, rozmawiali z Ziemią. Dziennikarzy

i komentatorów dotknął jakby paraliż, a w ciszy, jaka nastąpiła, rozległ się tylko głos Ligi Wolności, która niespokojnie zapewniała o swojej niewinności.

Stormgren obudził się w całkowitej ciemności. Przez moment był jeszcze zbyt zaspany, aby zdać sobie sprawę, jakie to niezwykle. Po chwili, w pełni odzyskawszy świadomość, usiadł i sięgnął do włącznika obok łóżka.

Jego dłoń natrafiła na nagą, zimną kamienną ścianę. Natychmiast znieruchomiał zaskoczony kontaktem z czymś nieoczekiwanym. Potem, niemal nie wierząc własnym zmysłom, klęknął na łóżku i opuszkami palców zaczął badać szokująco nieznaną ścianę.

Nie trwało to długo, gdyż nagle dał się słyszeć trzask i fragment ciemności usunął się w bok. Na jaśniejszym tle dostrzegł niewyraźną ludzką sylwetkę, po czym drzwi zostały zamknięte i znów zrobiło się ciemno. Stało się to tak szybko, że nie zdążył się rozejrzeć po pomieszczeniu, w którym się znajdował.

Zaraz potem został oślepiony przez silną latarkę. Strumień światła dotknął jego twarzy, przez chwilę pozostał na niej, a następnie ześlizgnął się na łóżko, które, jak Stormgren zobaczył, nie było niczym więcej jak materacem rozciągniętym na gołych deskach.

W mroku rozległ się łagodny głos mówiący bezbłędną angielszczyzną, ale z akcentem, którego Stormgren początkowo nie potrafił rozpoznać.

– Ach, panie sekretarzu, miło mi stwierdzić, że pan się obudził. Mam nadzieję, że czuje się pan zupełnie dobrze.

W tych ostatnich słowach było coś, co zaintrygowało Stormgrena, powstrzymując potok gniewnych pytań cisnący mu się na usta. Wbił wzrok w ciemność i zapytał spokojnie:

– Jak długo byłem nieprzytomny?

Rozmówca zachichotał.

– Kilka dni. Obiecano nam, że nie będzie efektów ubocznych. Miło mi stwierdzić, że to prawda.

Częściowo po to, by zyskać na czasie, a częściowo po to, by sprawdzić swoje reakcje, Stormgren opuścił nogi na podłogę. Nadal miał na sobie swoją piżamę, ale była już niezłe wymięta i wydawała się mocno przybrudzona. Poruszywszy się, poczuł lekki zawrót głowy, nie na tyle silny, aby sprawiał przykrość, lecz wystarczający, by przekonać go, że istotnie został potraktowany jakimś środkiem odurzającym.

Odwrócił się w kierunku światła.

– Gdzie jestem? – powiedział ostro. – Czy Wainwright o tym wie?

– Ależ proszę się tak nie podniecać – odparł ukryty w mroku osobnik. – Na razie nie będziemy o tym rozmawiać. Przypuszczam, że bardzo pan zgłodniał. Proszę się ubrać i zabierajmy się do obiadu.

Krąg światła przesunął się po pomieszczeniu i Stormgren dopiero teraz mógł ocenić jego rozmiary. Trudno je było nazwać pokojem, ściany bowiem wyglądały na litą, z grubsza tylko ociosaną skałę. Sekretarz zrozumiał, że przebywa pod ziemią, prawdopodobnie na sporej głębokości. Skoro był nieprzytomny kilka dni, mógł się znaleźć w dowolnym miejscu globu.

Latarka oświetliła kupkę odzieży obok jakiegoś pudełka.

– To powinno panu wystarczyć – powiedział głos w ciemności. – Mamy tu kłopoty z praniem, więc zabraliśmy parę pańskich garniturów i pół tuzina koszul.

– Bardzo zapobiegliwie – powiedział ponuro Stormgren.

– Przykro nam z powodu braku światła i umeblowania. To miejsce ma swoje zalety, ale trudno je nazwać specjalnie przytulnym.

– Jakież to zalety? – spytał Stormgren, wkładając koszulę. Dotyk znajomej odzieży był dziwnie pokrzepiający.

– Po prostu zalety – usłyszał. – A przy okazji, ponieważ wygląda na to, że spędzimy ze sobą sporo czasu, proszę mnie nazywać Joe.

– Mimo pańskiej narodowości – odparował Stormgren – bo jest pan Polakiem, prawda? Myślę, że mógłbym wymówić pańskie prawdziwe imię. Nie może być trudniejsze niż niektóre fińskie.

Nastąpiła chwila ciszy i światło latarki lekko zamigotało.

- No cóż, powinienem być się tego spodziewać - rzekł Joe z rezygnacją.
- Musi pan mieć w tym spore doświadczenie.

- To dość pożyteczne hobby dla człowieka na moim stanowisku. Gdybym miał zgadywać dalej, powiedziałbym, że wychował się pan w Stanach Zjednoczonych, ale opuścił Polskę dopiero...

- Wystarczy - przerwał mu Joe. - Ponieważ wydaje się, że skończył pan wkładać ubranie, na tym zakończymy.

Drzwi otworzyły się, gdy Stormgren ruszył ku nim lekko podniesiony na duchu tym drobnym zwycięstwem. Joe usunął się na bok, pozwalając mu przejść, a Rikki zadał sobie pytanie, czy porywacz jest uzbrojony. Prawie na pewno był, a gdyby nawet nie, z pewnością w pobliżu znajdowali się inni.

Korytarz był oświetlony rozmieszczonymi co kilka kroków lampami naftowymi i Stormgren po raz pierwszy miał okazję dokładniej obejrzeć Joego. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat i musiał ważyć dobrze ponad sto kilogramów. Wszystko w nim było ogromne, poczynając od poplamionego polowego munduru, który mógł pochodzić z magazynów wielu armii, a kończąc na nieprawdopodobnie wielkim sygnecie na palcu lewej ręki. Człowiek o takich rozmiarach nie zawraca sobie głowy noszeniem broni. Gdyby Stormgrenowi udało się stąd wydostać, prawdopodobnie z łatwością odnaleziono by porywacza. Poczul się nieprzyjemnie, gdy pomyślał, że i Joe musi sobie doskonale zdawać z tego sprawę.

Ściany, choć gdzieś tam licowane betonem, przeważnie były chropawą skałą. Stormgren zrozumiał, że znajdują się w jakiejś opuszczonej kopalni; sam nie wymyśliłby lepszej kryjówki. Aż do tej pory niezbyt przejmował się tym, że został porwany. Zakładał, że cokolwiek by się stało, Zwierzchnicy dzięki swym niesamowitym możliwościom szybko go zlokalizują i uratują. Teraz nie był już tego taki pewien. Minęło kilka dni i nic się nie stało. Nawet potęga Karellena musiała mieć jakieś granice, a jeśli istotnie tkwił głęboko pod ziemią, Zwierzchnicy mogli go nie odnaleźć.

W kiepsko oświetlonym pomieszczeniu przy stole siedzieli dwaj mężczyźni. Popatrzyli na wchodzącego Stormgrena z ciekawością i sporą dozą szacunku. Jeden z nich podsunął mu kanapki, a sekretarz chętnie je przyjął. Chociaż był strasznie głodny i wołałby bardziej urozmaicony posiłek, domyślał się, że jego porywacze nie uraczyli się niczym lepszym.

Jedząc, obrzucił szybko wzrokiem siedzących wokół niego mężczyzn. Joe wyróżniał się wśród nich i nie chodziło tylko o rozmiary. Widać było, że dwaj pozostali są po prostu jego pomocnikami – bezbarwni faceci, których pochodzenie Stormgren mógłby odkryć, gdyby któryś się odezwał. Do niezbyt czystej szklanki nalano trochę wina, a on popił nim ostatnie kęsy. Czując, że powoli zaczyna panować nad sytuacją, zwrócił się do ogromnego Polaka:

– No dobrze – powiedział spokojnie. – Może zechce mi pan teraz powiedzieć, o co chodzi i co chcecie w ten sposób osiągnąć.

Joe odchrząknął.

– Jedną sprawę chciałbym postawić jasno – odparł. – Wainwright nie ma z tym nic wspólnego. Będzie tak samo zaskoczony jak wszyscy.

Stormgren właściwie spodziewał się tego, jednak ciekaw był, dlaczego Joe potwierdza jego domysły. Od dawna podejrzewał istnienie grupy ekstremistów w Lidze Wolności.

– Pytam z czystej ciekawości – rzekł. – W jaki sposób mnie porwaliście?

Nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie i był nieco zaskoczony swobodą, a nawet pośpiechem, z jakim go poinformowali.

– Wszystko przypominało hollywoodzki dreszczowiec – powiedział radośnie Joe. – Nie byliśmy pewni, czy Karellen pana nie obserwuje, więc podjęliśmy dość wyszukane środki ostrożności. Został pan uspijony gazem, który wpuściliśmy do klimatyzacji. To było dość proste. Potem bez jakichkolwiek kłopotów przenieśliśmy pana do samochodu. Nic z tego, że tak powiem, nie było dziełem naszych ludzi. Wynajęliśmy do tej roboty... hmm... zawodowców. Może Karellen dopadnie ich, właściwie nawet spodziewamy się tego, ale niewiele z nich wyciągnie. Po opuszczeniu pańskiego domu samochód wjechał do długiego tunelu prawie tysiąc

kilometrów od Nowego Jorku. Wyjechał z niego zgodnie z rozkładem, wioząc nieprzytomnego człowieka niezwykle podobnego do sekretarza generalnego ONZ. Dużo później po przeciwnej stronie tunelu pojawiła się załadowana metalowymi skrzyniami ciężarówka i pojechała na lotnisko, gdzie pojemniki wniesiono na pokład czarterowego samolotu – wszystko zgodnie z prawem. Jestem pewien, że właściciele tych skrzyń byliby przerażeni, gdyby dowiedzieli się, do czego ich użyliśmy. W tym samym czasie grupa, która wywiozła pana z domu, nadal prowadziła działania osłonowe, umykając ku granicy kanadyjskiej. Może wpadli już w łapy Karellena; nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jak może się pan przekonać, a mam nadzieję, że doceni pan moją szczerość, cały nasz plan opiera się na jednym założeniu. Jesteśmy cholernie pewni, że Kontroler widzi i słyszy wszystko, co dzieje się na powierzchni Ziemi, ale nie może, chyba że posługuje się czarami, a nie nauką, wiedzieć, co dzieje się *pod nią*. Tak więc nie dowie się o przesiadce w tunelu, a przynajmniej dopóki i tak nie będzie za późno. Wiąże się z tym pewne ryzyko, lecz mamy jeszcze jedno czy dwa dodatkowe zabezpieczenia, o których nie będę teraz mówił. Mogą nam się jeszcze przydać i szkoda byłoby ujawnić je przedwcześnie.

Joe relacjonował zdarzenia z takim zapalem, że Stormgren z trudem powstrzymywał uśmiech. Równocześnie był jednak mocno zaniepokojony. Plan był pomysłowy i Karellen mógł dać się nabrać. Rikki nawet nie wiedział, czy Zwierzchnik w ogóle go obserwował i miał zamiar chronić. Joe, rzecz jasna, też nie mógł tego wiedzieć. Może właśnie dlatego był taki wylewny – chciał sprawdzić reakcję Stormgrena. No cóż, trzeba spróbować ukryć prawdziwe uczucia i udawać pewność siebie.

– Musicie być kupą durniów – powiedział – jeśli przypuszczacie, że tak łatwo uda wam się zakpić ze Zwierzchników. Tak czy owak, co zamierzacie przez to osiągnąć?

Joe poczęstował go papierosem, ale Stormgren odmówił, więc zapalił sam i usiadł na brzegu stołu. Mebel zatrzeszczał złowieszczo i olbrzym pospiesznie z niego zeskokczył.

- Nasze motywy - zaczął - powinny być dla pana jasne. Otóż stwierdziliśmy, że przekonywanie ludzi jest bezcelowe, i podjęliśmy inne działania. Podziemny ruch oporu nie jest czymś nowym i Karellen tak łatwo sobie z nami nie poradzi. Będziemy walczyć o naszą niepodległość. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie będzie żadnych aktów przemocy, przynajmniej początkowo, ale Zwierzchnicy muszą działać za pośrednictwem agentów, którymi są ludzie, a my potrafimy tym ostatnim narobić ogromnych kłopotów.

„Zaczynając, jak sądzę, ode mnie” - pomyślał Stormgren. Zastanawiał się, czy jego rozmówca nie poczęstował go zgrabnie ułożoną bajeczką. Czy oni myśleli, że te gangsterskie metody wywrą na Kontrolerze jakiegokolwiek wrażenie? Jednak było faktem, że dobrze zorganizowany ruch oporu może bardzo utrudnić życie. Joe znalazł jedyny słaby punkt Zwierzchników. W końcu wszystkie polecenia wydawali ustami ludzi. Jeśli ci zostaną sterroryzowani, cały system się zawali. Ale szanse na to były naprawdę niewielkie, ponieważ Stormgren był niemal pewien, że Karellen znajdzie jakieś wyjście.

- Co zamierzacie ze mną zrobić? - spytał w końcu. - Jestem tu jako zakładnik czy też może w innej roli?

- Proszę się nie martwić, zatroszczymy się o pana. Za kilka dni spodziewamy się tu gości i do tej pory będziemy pana zabawiać najlepiej, jak umiemy. - Dorzucił kilka słów w ojczystym języku i jeden z pozostałych porywaczy wyjął nowiutką talię kart. - Przygotowaliśmy je specjalnie dla pana - wyjaśnił. - Przeczytałem w magazynie „Time”, że kiedyś był pan niezłym pokerzystą. - Jego głos nagle spowaźniał. - Mam nadzieję, że w portfelu ma pan dość gotówki - rzekł z niepokojem. - Nie przyszło nam do głowy, żeby to sprawdzić. Wie pan, nie bardzo możemy przyjąć czeki.

Zupełnie pokonany Stormgren wybałuszył oczy na porywaczy. Po chwili, kiedy dotarł do niego cały komizm sytuacji, poczuł się tak, jakby nagle ktoś zdjął mu z ramion wszystkie troski i kłopoty związane z jego urzędem. Od tej pory show należał do van Ryberga. Cokolwiek się stanie,

absolutnie nic nie mógł na to poradzić, a ci niezwykle kryminaliści niecierpliwie czekali, aby zagrać z nim w pokera.

Nagle odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, jakiego nie słyszano u niego od lat.

„Nie ulega wątpliwości – myślał przygnębiony van Ryberg – że Wainwright mówił prawdę”. Może miał jakieś podejrzenia, ale nie wiedział, kto porwał Stormgrena. Przywódca Ligi Wolności nie aprobował porwania. Van Ryberg sądził, że od jakiegoś czasu ekstremiści z Ligi Wolności naciskali na Wainwrighta, aby wyraził zgodę na bardziej zdecydowane działania. Teraz wzięli sprawy w swoje ręce.

Bez wątpienia porwanie zostało znakomicie zorganizowane. Stormgren mógł się znajdować gdziekolwiek na kuli ziemskiej i nadzieje na odnalezienie go były raczej nikle. Jednak coś trzeba było zrobić, i to szybko. Mimo częstych kpin w rzeczywistości van Ryberg czuł ogromny respekt przed Karellenem. Myśl o zwróceniu się wprost do Kontrolera wprawiała go w konsternację i przerażenie, ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia.

Dział Łączności zajmował najwyższe piętro wielkiego gmachu. Wszędzie ciągnęły się rzędy milczących lub trzeszczących telefaksów wylewających niekończące się strumienie danych statystycznych: wskaźników wzrostu produkcji, wykazów dochodów i urzędowych sprawozdań, całej księgowości światowego systemu ekonomicznego. Gdzieś w statku Karellena musiał się znajdować odpowiednik tego pomieszczenia. Van Ryberg poczuł dreszcz przebiegający po plecach, gdy pomyślał, jak wyglądają ci, którzy uwijają się tam, odbierając informacje przekazywane z Ziemi Zwierzchnikom.

Jednak dziś nie interesowały go ani telefaksy, ani ich codzienna praca. Poszedł do małego pokoju, do którego wstęp miał w zasadzie jedynie Stormgren. Na polecenie van Ryberga otwarto drzwi i stanął w nich szef łączności.

– To zwykły dalekopis ze standardową klawiaturą – powiedział. – Jest tu również telefaks, na wypadek gdyby chciał pan przesłać jakieś zdjęcie

lub tabelę, chociaż mówił pan, że nie będzie panu potrzebny.

Van Ryberg z roztargnieniem skinął głową.

– Dziękuję. To wszystko – rzekł. – Nie sędzę, żebym zabawił tu długo. Proszę potem zamknąć pomieszczenie i przekazać mi komplet kluczy.

Zaczekał, aż szef łączności wyjdzie, po czym usiadł za pulpitem maszyny. Wiedział, że używano jej rzadko, gdyż Karelle i Stormgren załatwiali wszystkie sprawy na cotygodniowych konferencjach. Ponieważ jednak dalekopis był czymś w rodzaju gorącej linii, van Ryberg spodziewał się, że odpowiedź nadejdzie dość szybko.

Po chwili wahania zaczął niewprawnie wystukiwać wiadomość. Maszyna łagodnie zamruczała i na ciemnym ekranie pojawiły się słowa. Oparł się o oparcie krzesła i czekał na odpowiedź.

Nim upłynęła minuta, maszyna zaterkotała ponownie. Van Ryberg nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy Kontroler w ogóle sypia.

Wiadomość była tyleż krótka, co bezużyteczna.

NIE MAM ŻADNYCH INFORMACJI. POZOSTAWIAM SPRAWĘ CAŁKOWICIE W PAŃSKIEJ GESTII. K.

Absolutnie nieusatisfakcjonowany, a nawet wściekły, van Ryberg pomyślał o tym, jak ciężkie brzemię spoczywa teraz na jego barkach.

Przez ostatnie trzy dni Stormgren sumiennie analizował swoich porywaczy. Joe był jedynym, który cokolwiek znaczył; pozostali byli bezwartościowymi przedstawicielami hołoty, jaką przyciąga do siebie każdy nielegalny ruch. Ideały Ligi Wolności nic dla nich nie znaczyły, troszczyli się jedynie o to, by jak najmniejszym wysiłkiem zarobić na życie.

Joe miał znacznie bardziej złożoną osobowość, chociaż chwilami przypominał Stormgrenowi przerośnięte dziecko. Ich niekończące się partie pokera były przerywane zażartymi dyskusjami politycznymi i wkrótce Stormgren pojął, że ogromny Polak nigdy poważnie nie rozważał sprawy, za którą walczył. Wypowiadał oceny zabarwione emocjami i skrajnym konserwatyzmem. Długotrwała walka jego ojczyzny

o niepodległość wywarła nań tak przemożny wpływ, że żył wyłącznie przeszłością. Był jej malowniczym reliktem, jednym z tych, którzy żadną miarą nie dawali się wtłoczyć w ramy normalnego, uporządkowanego życia. Kiedy on i jemu podobni znikną, świat będzie bezpieczniejszym, lecz mniej interesującym miejscem.

Zastanawiając się nad sytuacją, Stormgren nie miał żadnych wątpliwości, że Karellenowi nie udało się go odnaleźć. Próbował blefować, lecz porywacze nie dali się nabrać. Był głęboko przekonany, że trzymali go tutaj, aby sprawdzić reakcję Kontrolera, a ponieważ nic się nie stało, mogli dalej realizować swoje plany.

Dlatego wcale się nie zdziwił, gdy po czterech dniach Joe powiedział mu, żeby oczekiwał gości. Od jakiegoś czasu porywacze zdradzali rosnące zdenerwowanie i więzień odgadł, że przywódcy ruchu, przekonawszy się, że nic im nie grozi, przybyli, aby go przejąć.

Gdy Joe uprzejmym kiwnięciem ręki zaprosił go do salonu, czekali już na niego zebrani wokół topornego stołu. Stormgren z rozbawieniem zauważył, że olbrzymi dozorca ostentacyjnie obnosi się teraz z ogromnym pistoletem, którego przedtem nie pokazywał. Pozostali dwaj porywacze gdzieś zniknęli i nawet Joe, jak na niego, zachowywał się powściągliwie. Stormgren natychmiast spostrzegł, że stanął przed ludźmi dużego formatu, a ta grupa dziwnie przypominała mu widziany niegdyś obraz przedstawiający Lenina z towarzyszami w pierwszych dniach rewolucji. U tych sześciu ludzi wyczuwał taką samą siłę intelektu, żelazną wolę i bezwzględność. Joe i jemu podobni byli nieszkodliwi, natomiast ci stanowili prawdziwy mózg organizacji.

Pozdrowiwszy przybyłych uprzejmym skinieniem głowy, próbując nie okazywać zdenerwowania, podszedł do jedyne pustego krzesła. W tym momencie siedzący po przeciwnej stronie stołu starszy, krępy mężczyzna nachylił się do przodu i wbił weń przenikliwe spojrzenie szarych oczu. Stormgren poczuł się nieswojo i przemówił pierwszy, czego początkowo nie zamierzał robić.

– Przypuszczam, że przybyliście tu, aby omówić warunki. Jak wysoki ma być okup?

Zauważył, że ktoś siedzący w głębi zaczął zapisywać jego słowa w notesie. Wszystko to wyglądało bardzo poważnie.

Przywódca odpowiedział z melodyjnym walijskim akcentem:

– Można to i tak określić, panie sekretarzu. Jednak nas interesują informacje, a nie gotówka.

„A więc o to chodzi – pomyślał Stormgren. – Jestem jeńcem wojennym, którego się przesłuchuje”.

– Pan wie, jakie są nasze pobudki – ciągnął tamten miękko, śpiewnym głosem. – Jeżeli pan chce, może nas pan nazywać ruchem oporu. Wierzmy, że prędzej czy później Ziemia będzie musiała walczyć o niepodległość, ale zdajemy sobie sprawę i z tego, że walka może być prowadzona jedynie metodami pośrednimi, takimi jak sabotaż lub bojkotowanie rozkazów. Porwaliśmy pana między innymi po to, aby pokazać Karellenowi, że traktujemy sprawy poważnie i jesteśmy dobrze zorganizowani, ale ważniejszy jest fakt, że tylko pan może powiedzieć nam coś o Zwierzchnikach. Jest pan rozsądnym człowiekiem, panie Stormgren. Proszę okazać dobrą wolę, a uwolnimy pana.

– A co właściwie chcielibyście wiedzieć? – zapytał ostrożnie Rikki.

Wydawało się, że te szare oczy potrafią przejrzeć go na wylot. Jeszcze nikt nigdy tak na niego nie patrzył. Potem mężczyzna spytał śpiewnym głosem:

– Czy pan wie, kim lub czym są Zwierzchnicy?

Stormgren prawie się uśmiechnął.

– Proszę mi wierzyć – odparł – że chciałbym to wiedzieć tak samo jak wy.

– A zatem odpowie pan na nasze pytania?

– Niczego nie obiecuję. Może.

Usłyszał, jak Joe odetchnął z ulgą, a przez pokój przeleciał szmer oczekiwania.

– Wiemy, przynajmniej mniej więcej, w jakich okolicznościach spotyka się pan z Karellenem. Jednak może zechce je nam pan dokładnie opisać, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów?

W tym akurat nie było żadnego ryzyka. Opowiadał to już tyle razy, że mógł opowiedzieć jeszcze raz, a w ten sposób sprawi wrażenie, że z nimi współpracuje. Poza tym byli to ludzie o przenikliwych umysłach i może uda im się odkryć coś nowego. Chętnie powitają każdą nową informację, jaką od niego uzyskają... dopóki będzie miał coś do powiedzenia. Zresztą ani przez chwilę nie wierzył, aby cokolwiek z tego, co im powie, mogło zaszkodzić Karellenowi.

Włożył ręce do kieszeni i wyjął ołówek oraz starą kopertę. Szybko rysując, zaczął:

– Oczywiście wicie, panowie, że w regularnych odstępach czasu przylatuje po mnie mała, pozbawiona widocznych źródeł napędu maszyna, która zabiera mnie na pokład statku Karellena. Dociera ona do statku i wnika weń. Z pewnością widzieliście filmy, jakie przy takich okazjach nakręcono za pomocą teleobiektywów. Drzwi, jeżeli można to nazwać drzwiami, otwierają się ponownie i wchodzi do małego pomieszczenia wyposażonego w biurko, krzesło i ekran. Wygląda to mniej więcej tak.

Podsunał plan staremu Walijczykowi, lecz te niezwykle oczy nie spojrzały w kierunku papieru. Wciąż wpatrywały się w jego twarz i pojawił się w nich jakiś nowy wyraz. W pokoju zapadła cisza i Rikki usłyszał, że stojący za nim Joe gwałtownie nabrał tchu.

Zaskoczony i zdezorientowany Stormgren rozejrzał się po pokoju i pozostałych rozmówcach. Powoli zaczynał rozumieć. Zmieszany, zgniótł papier w kulę i przydeptał nogą.

Wiedział już, dlaczego te oczy zrobiły na nim takie wrażenie. Siedzący przed nim człowiek był ślepy.

Van Ryberg nie próbował już kontaktować się z Karellenem. Większość obowiązków związanych ze stanowiskiem sekretarza generalnego – przekazywanie informacji statystycznych, dostarczanie zajęcia dziennikarzom i tak dalej – wykonywał prawie automatycznie. W Paryżu prawnicy debatowali nad projektem konstytucji światowej, ale w tej chwili nie była to jego sprawa. Kontroler chciał mieć pojutrze ostateczny projekt;

jeśli do tej pory nie będzie gotowy, Karellen niewątpliwie podejmie takie działania, jakie uzna za stosowne.

I nadal nie było wiadomości od Stormgrena.

Van Ryberg właśnie coś dyktował, kiedy zadzwonił telefon opatrzone napisem: „Tylko w nagłych wypadkach”. Podniósł słuchawkę, przez chwilę trzymał ją przy uchu, a na jego twarzy pojawiło się szybko rosnące zdumienie. W końcu rzucił słuchawkę na widełki i skoczył do otwartego okna. W dole dały się słyszeć okrzyki zaskoczenia i ruch uliczny zaczął zamierać.

Podejrzenie stało się faktem: statek Karellena, monumentalny symbol Zwierzchników, zniknął. Van Ryberg wpatrywał się w niebo, ale jak wzrokiem sięgnąć nie było po nim śladu. A potem nagle zapadła noc. Nadlatujący z północy statek o ciemnym jak gradowa chmura spodzie błyskawicznie przemknął nad dachami miasta. Van Ryberg odruchowo cofnął się w głąb pokoju, oddalając od molocho. Dobrze wiedział, jak wielkie są statki Zwierzchników, ale widzieć je z oddali wysoko na niebie to było jedno, a patrzeć, jak przelatują tuż nad głową niby gnany przez demony obłok – zupełnie coś innego.

Stojąc w mroku chwilowego zaćmienia słońca, spoglądał przez okno, aż statek i jego gigantyczny cień zniknęły na południu. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk; powietrze nawet nie drgnęło i van Ryberg zrozumiał, że wrażenie bliskości statku było złudą i że przeleciał on co najmniej kilometr nad jego głową. A potem budynek zatrzęsł się w posadach pod uderzeniem fali dźwiękowej i rozległ się brzęk tłuczonego szkła, gdy jakieś okno zostało wduszone do środka.

W biurze za jego plecami rozdzwoniły się wszystkie telefony, ale van Ryberg nie ruszył się z miejsca. Stał przy oknie, opierając się o parapet i patrząc wciąż na południe, sparaliżowany demonstracją bezgranicznej potęgi Zwierzchników.

Kiedy Stormgren mówił, miał wrażenie, że jego umysł pracuje dwutorowo. Z jednej strony próbował przeciwstawić się ludziom, którzy go porwali, lecz jednocześnie miał nadzieję, że pomogą mu poznać tajemnicę

Karellena. Gra była niebezpieczna, ale ku swemu zdziwieniu znakomicie się bawił.

Większość pytań zadawał niewidomy Walińczyk. Śledzenie tego, jak ten żywy, przenikliwy umysł podejmował kolejne próby, sprawdzając i odrzucając wszystkie te teorie, które Stormgren już dawno uznał za jałowe i fałszywe, było fascynujące. W końcu tamten z westchnieniem odchylił się do tyłu.

– To do niczego nie prowadzi – powiedział z rezygnacją. – Potrzebujemy nowych faktów, a to oznacza działanie, nie dyskusję.

Zdawało się, że niewidzące oczy w zadumie spoglądają na Stormgrena. Przez moment przywódca porywaczy nerwowo bębnił palcami po stole. Była to pierwsza oznaka niezdecydowania, jaką sekretarz u niego zauważył. Po chwili Walińczyk podjął rozmowę:

– Jestem trochę zdziwiony, panie sekretarzu, że nigdy nie zrobił pan niczego, aby dowiedzieć się czegoś o Zwierzchnikach.

– A co by pan zrobił na moim miejscu? – spytał chłodno Stormgren, próbując ukryć ciekawość. – Powiedziałem wam już, że pokój, w którym prowadzę rozmowy z Karellinem, można opuścić tylko w jeden sposób: prosto na Ziemię.

– Może udałoby się – rozmyślał głośno tamten – skonstruować urządzenie, które pozwoliłoby nam dowiedzieć się czegoś. Nie jestem naukowcem, ale możemy zorientować się w tej kwestii. Jeżeli uwolnimy pana, czy zechce nam pan pomóc w realizacji takiego planu?

– Pozwólcie, panowie – rzekł gniewnie Stormgren – że raz na zawsze wyjaśnię moje stanowisko w tej sprawie. Karellin usiłuje zjednoczyć świat, a ja nie sprzymierzę się z jego wrogami. Nie znam wszystkich jego planów, ale wierzę, że pragnie naszego dobra.

– Jakież mamy na to dowody?

– *Wszystkie* działania, jakie podjął od chwili, gdy jego statki pojawiły się na naszym niebie. Wskażcie, proszę, choć jeden jego czyn, który w ostatecznym rozrachunku nie okazał się błogosławiony w skutkach. – Stormgren przerwał na chwilę, wracając myślą do minionych lat. I nieoczekiwanie uśmiechnął się. – Jeśli potrzebny wam dowód na typową

dla Zwierzchników, jak by to ująć, *chęć czynienia dobra*, pomyślcie o zakazie znęcania się nad zwierzętami, który wydali miesiąc po przybyciu. Jeśli miałem jakieś wątpliwości co do intencji Karellena, to właśnie wtedy pozbyłem się ich, mimo iż ten zakaz wywołał więcej problemów niż cokolwiek, co zrobił potem.

„Nie ma w tym cienia przesady” – pomyślał Stormgren. To wydarzenie było niezwykłym, pierwszym przejawem nienawiści, jaką Zwierzchnicy żywili do okrucieństwa. Ona właśnie oraz umiłowanie porządku i sprawiedliwości były chyba głównymi emocjami, jakimi kierowali się w życiu, jeśli można ich oceniać na podstawie tego, co robili. Był to także jedyny raz, kiedy Karellen się rozgniewał, a przynajmniej tak się wydawało.

„Jeśli taka jest wasza wola – głosiło jego posłanie – możecie zabijać się nawzajem, to wasza sprawa i waszych praw. Jeśli jednak będziecie zabijać, wyjąwszy przypadki samoobrony lub potrzebę zdobycia żywności, zwierzęta dzielące z wami wasz świat, możecie zostać za to pociągnięci przeze mnie do odpowiedzialności”.

Zrazu nie było wiadomo, jaki zakres ma mieć ten zakaz i w jaki sposób Karellen zamierza wymusić jego respektowanie. Na odpowiedź nie trzeba było wszakże długo czekać.

Kiedy matadorzy i ich pomocnicy rozpoczęli zwyczajową paradę, arena walk byków była już pełna po brzegi. Wszystko odbywało się jak zwykle – tradycyjne stroje błyszczały w oślepiającym słońcu, a wielotysięczny tłum, jak setki razy przedtem, witał ulubieńców wiwatami. Ale niektóre twarze niespokojnie kierowały się ku niebu i samotnemu srebrnemu statkowi wiszącemu pięćdziesiąt kilometrów nad Madrytem.

Pikadorzy zajęli pozycje i na arenę wypadł parszający byk. Chude konie kręciły się nerwowo z chrapami rozszerzonymi ze strachu, gdy jeźdźcy usiłowali je zmusić, by stawiły czoło wrogowi. Błysnęło pierwsze ostrze, wniknęło w ciało byka i w tej samej chwili rozległ się dźwięk, jakiego Ziemia nigdy przedtem nie słyszała.

Był to głos dziesięciu tysięcy ludzi wyjących z bólu spowodowanego tą samą raną; dziesięciu tysięcy widzów, którzy doszedłszy do siebie, stwierdzili, że nie doznali najmniejszego uszczerbku. Jednak w ten sposób skończyła się owa walka byków i w ogóle wszystkie corridy, bo wieść szybko się rozeszła. Warto odnotować, że *aficionados* byli tak wstrząśnięci, iż tylko jeden na dziesięciu zażądał zwrotu pieniędzy, oraz że londyński „Daily Mirror” dolał oliwy do ognia, proponując, by Hiszpanie za swój nowy narodowy sport uznali krykieta.

– Może ma pan rację – rzekł stary Walińczyk. – Może Zwierzchnicy działają ze szlachtetnych pobudek, zgodnie ze swoimi normami moralnymi, które, co niewykluczone, są podobne do naszych. Są tu jednak intruzami: nigdy nie prosiliśmy, aby przybyli i wyrócili świat do góry nogami, niszcząc narody i ideały, właśnie tak, ideały, o które walczyły całe pokolenia.

– Urodziłem się jako członek niewielkiego narodu, który musiał walczyć o swoją wolność – odparował Stormgren. – A mimo to popieram Karellena. Możecie go denerwować, możecie nawet odwlec realizację jego celów, ale w ostatecznym rozrachunku nie ma to znaczenia. Nie wątpię, że szczerze wierzycie w to, co robicie. Potrafię zrozumieć wasze obawy o to, że kultura i tradycje małych krajów rozpląną się w tyglu zjednoczonego świata. Mylicie się: kurczowe trzymanie się przeszłości prowadzi donikąd. Historyczne państwo jako takie umierało, zanim jeszcze przybyli Zwierzchnicy. Oni tylko przyspieszyli jego koniec. Tego procesu nie da się zatrzymać i nikt nie powinien tego nawet próbować.

Nie doczekał się odpowiedzi – rozmówca nie poruszył się ani nie przemówił. Siedział z lekko rozchyłonymi ustami, a jego oczy były teraz nie tylko ślepe, ale i pozbawione życia. Pozostali byli równie nieruchomi i zastygli w nienaturalnie sztywnych pozach. Ze zduszonym jękiem przerażenia Stormgren wstał i ruszył do drzwi. I wtedy w ciszy rozległ się znajomy głos:

– To było ładnie powiedziane, Rikki, dziękuję. A teraz myślę, że możemy już iść.

Stormgren obrócił się na pięcie i wbił wzrok w mrok korytarza. Na poziomie oczu zobaczył unoszącą się w powietrzu małą, niewyraźną kulę – bez wątplenia źródło tajemniczej siły, którą zastosowali Zwierzchnicy. Nie miał pewności, lecz wydawało mu się, że słyszy cichutkie brzęczenie przypominające pszczeli ul w letni, senny dzień.

– Karellen! Dzięki Bogu! Ale co im pan zrobił?

– Proszę się nie martwić, nic im nie jest. Można by to nazwać paraliżem, ale to nieco bardziej skomplikowane zjawisko. Po prostu żyją tysiąc razy wolniej niż normalnie. Kiedy stąd odejdziemy, nigdy nie domyślą się, co ich spotkało.

– Zostawi ich pan tutaj do przybycia policji?

– Ależ skąd! Mam lepszy plan. Pozwolę im odejść.

Stormgren poczuł głęboką ulgę, która jego samego zaskoczyła. Obrzucił pożegnalnym spojrzeniem mały pokój i zastygłe w nim postacie. Joe stał na jednej nodze, gapiąc się głupawo w pustkę. Stormgren roześmiał się nagle i zaczął szperać po kieszeniach.

– Dzięki za gościnę, Joe – rzekł. – Zostawię ci coś na pamiątkę.

Wertował swoje papiery, aż znalazł to, czego szukał. Potem na względnie czystej kartce napisał starannie:

MANHATTAN BANK

Proszę wypłacić panu Joemu sto trzydzieści pięć dolarów i pięćdziesiąt centów (\$ 135,50).

R. Stormgren

Kiedy kładł strzęp papieru obok Polaka, usłyszał głos Karellena:

– Co pan właściwie robi?

– My, Stormgrenowie, zawsze spłacamy swoje długi. Tamci dwaj oszukiwali, ale Joe grał uczciwie. A przynajmniej nie przyłapałem go na oszustwie.

Kiedy szedł w kierunku drzwi, było mu wesoło i lekko, jakby ubył mu czterdzieści lat. Metalowa kula odsunęła się, robiąc mu przejście. Domyślił się, że to rodzaj robota. A więc to w taki sposób Karellen dotarł do niego przez nie wiadomo jak grube pokłady skały.

- Proszę iść prosto sto metrów - przemówiło kuliste urządzenie głosem Kontrolera - a następnie skrócić w lewo i kontynuować, dopóki nie przekażą panu dalszych wskazówek.

Stormgren szybko ruszył przed siebie, chociaż czuł, że właściwie nie ma powodu do pośpiechu. Kula pozostała w miejscu; wisząc w korytarzu, prawdopodobnie dawała mu czas na ucieczkę.

Po minucie odnalazł drugiego robota czekającego na niego w odgałęzieniu korytarza.

- Musi pan przejść jeszcze pół kilometra - usłyszał. - Proszę trzymać się lewej strony aż do następnego spotkania.

Zanim wydostał się na otwartą przestrzeń, minął jeszcze sześć kul. Początkowo zastanawiał się, w jaki sposób robotowi udaje się go wyprzedzać, ale potem odgadł, że w kopalni musi być co najmniej kilka takich urządzeń zapewniających łączność z najgłębszymi pokładami. Przy wejściu, niczym niesamowita rzeźba, stała grupa strażników strzeżonych przez jeszcze jeden wszędobylski automat. Kilka metrów dalej na zboczu góry czekała mała maszyna latająca, w której Stormgren odwiedzał Karellena.

Stał chwilę, mrużąc oczy w blasku słońca. Potem dostrzegł poniewierające się wokół urządzenia kopalni, a dalej stare tory biegnące w dół stoku. W oddali, u stóp góry, rósł gęsty las, a jeszcze dalej lśniły wody wielkiego jeziora. Domyślił się, że znajduje się gdzieś w Ameryce Południowej, chociaż nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak sądzi.

Wchodząc do małej maszyny latającej, po raz ostatni spojrzął na wylot szybu i stojących w nim nieruchomych ludzi. Potem drzwi zasklepiły się za nim i z westchnieniem ulgi opadł na dobrze sobie znaną kanapę.

Przez moment czekał, aż wyrówna mu się oddech, po czym wyrzucił z siebie jedną, płynącą z głębi serca sylabę:

- No?!

- Przykro mi, że nie mogłem pana uratować wcześniej. Jednak sam pan rozumie, jak ważne było, aby zebrali się tu wszyscy przywódcy.

- Chce pan powiedzieć - wypalił Stormgren - że przez cały czas wiedział pan, gdzie jestem? Gdybym domyślił się, że...

– Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków – odparł Karellen. – Albo przynajmniej pozwolić mi skończyć wyjaśnienia.

– Doskonale – powiedział Stormgren. – Słucham.

Zaczynał podejrzewać, że był po prostu przynętą w starannie przygotowanej pułapce.

– Miałem coś, być może najlepszym określeniem byłoby „urządzenie śledzące”, co od pewnego czasu nosił pan w sobie – zaczął Karellen. – Pańscy najnowsi przyjaciele mieli rację, sądząc, że nie mogę śledzić pana pod ziemią. Przesiadka w tunelu była bardzo pomysłowa, ale kiedy pierwszy samochód przestał nadawać sygnał, ujawnił cały plan i wkrótce ponownie pana odnalazłem. Potem wystarczyło jedynie poczekać. Wiedziałem, że przywódcy przybędą tutaj, kiedy upewnię się, że zgubiłem ślad, a wtedy będę mógł złapać ich wszystkich.

– Przecież zamierza ich pan wypuścić!

– Aż do tej pory – powiedział Karellen – nie miałem pojęcia, którzy z dwu i pół miliarda ludzi żyjących na tej planecie są przywódcami ruchu oporu. Teraz ich zidentyfikowałem i mogę śledzić, dokądkolwiek się udadzą, a jeśli zechcę, mogę też śledzić wszystkie ich działania. To dużo lepsze niż wzięcie ich pod klucz. Jeśli wykonają jakiegokolwiek posunięcie, zdradzą swoich towarzyszy. Są unieszkodliwieni i zdają sobie z tego sprawę. Pańska ucieczka pozostanie dla nich całkowicie niewyjaśniona, ponieważ w pewnym momencie po prostu pan zniknął. – W małej kabinie rozległ się serdeczny śmiech Kontrolera. – Ta sprawa była na swój sposób bardzo zabawna, lecz mam w tym i poważniejszy cel. Nie chodzi mi o kilka tuzinów ludzi należących do tej organizacji. Muszę przewidzieć wpływ, jaki to wydarzenie będzie miało na inne takie grupy, gdziekolwiek istnieją.

Stormgren przez chwilę milczał. Wyjaśnienie Karellena nie usatysfakcjonowało go w pełni, ale był już w stanie zrozumieć jego pobudki i gniew częściowo mu przeszedł.

– Niechętnie podejmuję tę decyzję na kilka tygodni przed końcem urzędowania – rzekł wreszcie – ale od tej pory będę miał obstawę. Następnym razem mogą porwać Pietera. A przy okazji: jak on sobie radził?

- W ostatnim tygodniu pilnie go obserwowałem i celowo unikałem udzielania mu pomocy. W sumie sprawił się nie najgorzej, ale nie jest to człowiek, który powinien zająć pańskie miejsce.

- Ma chłop szczęście - powiedział Stormgren, czując jakiś dziwny smutek. - Ale, ale: czy dostał pan już wiadomość od przełożonych w sprawie ukazania się nam? Jestem pewien, że to najsilniejszy argument, jaki mają wasi przeciwnicy. Bez przerwy mi powtarzali: „Nie zaufamy Zwierzchnikom dopóty, dopóki ich nie zobaczymy”.

Karellen westchnął.

- Nie, nie otrzymałem żadnej wiadomości. Jednak wiem, jaka będzie odpowiedź.

Stormgren nie nalegał. Kiedyś pewnie by to zrobił, ale teraz po raz pierwszy w jego umyśle zaczął się rysować niewyraźny jeszcze plan. Przyszły mu na myśl słowa niedawnego rozmówcy. Tak, może uda się skonstruować jakieś urządzenie.

Tego, czego nie chciał zrobić pod przymusem, mógł się podjąć dobrowolnie.

Rozdział 4

Jeszcze kilka dni wcześniej Rikki nawet nie pomyślałby, że może poważnie zastanawiać się nad podjęciem takiej akcji. To śmieszne i melodramatyczne porwanie, z perspektywy czasu wyglądające jak żywcem wzięte z trzeciorzędnego telewizyjnego dreszczowca, miało chyba spory wpływ na jego nowe podejście do sprawy.

Po raz pierwszy w życiu zetknął się z przemocą fizyczną, tak różną od potyczek toczonych przy stole konferencyjnym. Ten wirus dostał się do jego układu krążenia albo po prostu szybciej, niż myślał, popadał w starcze zdziecinnienie.

Pałaca ciekawość jest potężnym motywem działania, podobnie jak chęć odegrania się za spleatany figiel. Nie ulegało wątpliwości, że Kontroler użył go jako przynęty, i choć uczynił to z ważnych powodów, Stormgren nie zamierzał puścić mu tego płazem.

Pierre Duval nie okazał zdziwienia, kiedy Stormgren bez zapowiedzi wszedł do jego biura. Byli starymi przyjaciółmi i nie było niczego dziwnego w tym, że sekretarz generalny składał prywatną wizytę dyrektorowi Wydziału Naukowego. Z pewnością i Karellen nie uzna tego za coś niezwykłego, nawet jeśli przypadkowo on sam lub któryś z jego podwładnych skieruje na nich swoje urządzenia śledzące.

Przez chwilę rozmawiali o interesach i wymieniali najnowsze plotki polityczne, a potem, z pewnym wahaniem, Stormgren przeszedł do sedna. Gdy mówił, stary Francuz oparł się wygodnie w fotelu, a jego brwi unosiły się stopniowo, aż niemal utoneły w gęstej grzywce. Raz czy dwa chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Kiedy Stormgren skończył, naukowiec nerwowo rozejrzał się po pokoju.

– Sądziś, że nas teraz słucha? – zapytał.

– Nie wierzę, żeby to robił. Ma coś, co nazywa „urządzeniem śledzącym”, ale służy ono wyłącznie do mojej ochrony. Nie działa pod ziemią i to jest powód, dla którego wlałem do twojego lochu. Jest zabezpieczony przed wszelkimi rodzajami promieniowania, prawda? Karellen nie jest czarodziejem. Wie, gdzie się znajduję, ale to wszystko.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jednak niezależnie od tego, czy nie będziemy mieli kłopotów, gdy odkryje, co chcesz zrobić? Ponieważ on to odkryje, wiesz o tym.

– Zaryzykuję. Ponadto my, to znaczy ja i on, nie najgorzej się rozumiemy.

Fyzyk bawił się ołówkiem i patrzył w przestrzeń.

– To bardzo interesujący pomysł. Podoba mi się – rzekł po prostu.

Sięgnął do szuflady i wyjął największy blok rysunkowy, jaki Stormgren widział w życiu.

– No dobrze – zaczął, gryzmołąc wściekle coś, co wskazywało, iż zastosował swoistą, wymyśloną na prywatny użytek stenografię. – Pozwól, że się upewnię, iż znam wszystkie fakty. Opowiedz mi o pomieszczeniu, w którym odbywają się wasze spotkania. Nie opuszczaj żadnego szczegółu, choćby wydawał ci się nie wiem jak banalny.

– Nie ma zbyt wiele do opisywania. Ściany są wykonane z metalu, ma około ośmiu metrów kwadratowych powierzchni i czterech wysokości. W jednej z bocznych ścian na wysokości metra znajduje się ekran, a tuż pod nim biurko... Czeka, będzie szybciej, jeśli ci to narysuję.

Szybko naszkicował rozkład małego pomieszczenia, które znał tak dobrze, i podał rysunek Duvalowi. Wzdrygnął się lekko, przypomniawszy sobie, w jakich okolicznościach robił to ostatnio. Zastanawiał się, co stało się ze ślepym Walijczykiem i jego towarzyszami, a także jak zareagowali na jego nagłe zniknięcie.

Francuz, marszcząc brwi, studiował rysunek.

– I to już wszystko?

– Owszem.

Duwał parsknął z niezadowoleniem.

– A oświetlenie? Czy może siedzisz po ciemku? Co z wentylacją, ogrzewaniem?

Stormgren uśmiechnął się w odpowiedzi na ten charakterystyczny wybuch.

– Cały sufit lekko świeci, a powietrze, o ile mogę stwierdzić, dochodzi przez siatkę głośnika. Nie wiem, gdzie jest kanał wentylacyjny, może strumień chwilami zmienia kierunek, ale nie zwróciłem na to uwagi. Nie ma tam śladu grzejnika, ale zawsze jest normalna temperatura.

– Co oznacza, jak sądzę, że zamarza para wodna, ale nie dwutlenek węgla?

Stormgren zrobił co mógł, żeby odpowiedzieć uśmiechem na ten mocno już wyświechtany żart.

– Sądzę, że powiedziałem ci wszystko. Natomiast co do maszyny, która zawozi mnie na pokład statku Karellena, kabina, w której lecę, jest tak pozbawiona indywidualności jak winda. Gdyby nie stolik i kanapa, mogłaby nią być.

Zapadło kilkuminutowe milczenie, w czasie którego fizyk pokrywał kartkę precyzyjnymi, mikroskopijnymi zygzakami. Obserwujący to Stormgren zastanawiał się, dlaczego człowiek taki jak Duval, o umyśle nieporównanie bystrzejszym niż jego, nie zdobył wielkiego uznania w świecie nauki. Przypomniawszy sobie nieuprzejmą i chyba niesprawiedliwą uwagę wygłoszoną przez znajomego pracującego w Departamencie Stanu USA: „Francja to ojczyzna najlepszych na świecie graczy drugoligowych”. Duval był typem człowieka, który potwierdzał słuszność tego stwierdzenia.

Fizyk pokiwał głową, z zadowoleniem pochylił się do przodu i wymierzył ołówek w Stormgrena.

– Rikki – powiedział – dlaczego sądzisz, że ten, jak go nazywasz, ekran Karellena jest tym, na co wygląda?

– Zawsze myślałem, że tak jest. Wygląda tak samo. Zresztą czymże innym mógłby być?

– Kiedy mówisz, że *wygląda* jak ekran, to masz na myśli, że wygląda jak jeden z *naszych*, prawda?

– Oczywiście.

– Uważam, że to podejrzane. Jestem pewien, że żaden ich aparat nie miałby w sobie niczego tak prymitywnego jak nasz współczesny ekran telewizyjny. Oni prawdopodobnie generują obrazy wprost w przestrzeni. Tylko po co Karellen miałyby utrudniać sobie życie, stosując wewnętrzny system telewizyjny? Czy nie wydaje ci się dużo bardziej prawdopodobne, że twój „ekran” w rzeczywistości jest *po prostu rodzajem lustra weneckiego*?

Stormgren był tak zły na siebie, że przez chwilę siedział w milczeniu, wracając myślami w przeszłość. Od początku nie kwestionował niczego, co mówił Karellen, lecz gdy teraz przemyślał to sobie dokładnie, doszedł do wniosku, że Kontroler nigdy nie mówił mu, że jest to ekran telewizyjny. Uznał to za pewnik – dał się nabrać na to mistrzowskie zagranie psychologiczne. Zakładając, rzecz jasna, że teoria Duwała była prawdziwa. Znowu wyciągał pochopne wnioski – nikt jeszcze niczego nie udowodnił.

– Jeżeli masz rację – powiedział – to wystarczy, że zbiję szkło i...

Duwał westchnął.

– Och, ci ignoranci! Myślisz, że zrobiono to z materiału, który można rozbić, nie używając środków wybuchowych? A gdyby nawet ci się udało, sądzisz, że Karellen oddycha tym samym powietrzem co ty? Czy byłoby wam przyjemnie, gdyby na przykład pławił się w atmosferze z chloru?

Stormgren poczuł się trochę głupio. Sam powinien o tym pomyśleć.

– No dobrze, a co ty proponujesz? – zapytał poirytowany.

– Muszę to przemyśleć. Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy moja teoria jest prawdziwa, a jeśli tak, dowiedzieć się czegoś o substancji, z której zrobiony jest ekran. Posadzę do tego paru pracowników. Ale, ale, przypuszczam, że kiedy odwiedzasz Kontrolera, masz ze sobą dyplomatkę. Czy to ta, którą tu przyniosłeś?

– Tak.

– Powinna wystarczyć. Nie chcemy wzbudzać podejrzeń, zamieniając ją na inną, szczególnie jeśli Karellen już do niej przywykł.

– Co według ciebie powinienem zrobić? – zapytał Rikki. – Przenieść ukryty w dyplomatce aparat rentgenowski?

Fizyk uśmiechnął się szeroko.

– Jeszcze nie wiem, ale coś się wymyśli. Powiem ci w przeddzień akcji.

– Parsknął cichym śmiechem. – Wiesz, o czym mi to przypomina?

– Tak – odparł natychmiast Stormgren. – O tym, jak składałeś nielegalnie odbiorniki radiowe podczas niemieckiej okupacji.

Duval miał rozczarowaną minę.

– No tak, pewnie już ci kiedyś o tym opowiadałem. Jeszcze jedno...

– O co chodzi?

– Kiedy cię złapią, ja o niczym nie wiem.

– Co takiego? Po tej płomiennej przemowie, jaką kiedyś wygłosiłeś na temat społecznej odpowiedzialności naukowca za jego wynalazki? Doprawdy, Pierre, wstyd mi za ciebie!

Stormgren z westchnieniem ulgi odłożył gruby maszynopis.

– Dzięki Bogu, że przynajmniej *to* zostało już załatwione – powiedział.

– Dość dziwna jest myśl, że te kilkaset stron określa przyszłość ludzkości. Państwo Światowe! Nigdy się nie spodziewałem, że tego doczekam!

Włożył akta do walizeczki, której tylna ścianka znajdowała się nie dalej niż dziesięć centymetrów od ciemnego prostokąta ekranu. Od czasu do czasu nerwowo bawił się zatrzaskiem dyplomarki, lecz nie miał zamiaru naciskać ukrytego wyłącznika przed zakończeniem spotkania. Zawsze coś mogło pójść nie tak i choć Duval zaklinał się, że Karellen niczego nie zauważy, Stormgren nie był tego pewny.

– Cóż, wspomniał pan, że ma dla mnie jakieś nowiny – kontynuował, z trudem ukrywając zainteresowanie. – Czy dotyczą one...

– Tak – odparł Kontroler. – Kilka godzin temu otrzymałem decyzję.

„Co właściwie miał na myśli? – zastanawiał się Stormgren. – Z pewnością nie mógł nawiązać łączności z odległą ojczyzną poprzez dzielące go od niej setki lat świetlnych. A może, jak w teorii van Ryberga, po prostu konsultował się z komputerem o odpowiednio dużej mocy obliczeniowej mogącym modelować skutki każdej podjętej decyzji”.

- Nie sędzę - ciągnął Karellen - aby Liga Wolności i jej zwolennicy poczuli się usatysfakcjonowani, ale powinno to pomóc złagodzić napięcie. Nawiasem mówiąc, ta rozmowa nie zostanie nagrana. Często mi pan powtarzał, Rikki, że niezależnie od tego, jak bardzo różnimy się od was fizycznie, ludzie szybko do nas przywykną. Świadczy to o pańskim braku wyobraźni. Tak mogłoby się stać w pańskim przypadku, lecz proszę pamiętać, że według wszelkich rozsądnych ocen większość ludzi jest słabo wykształcona oraz pełna uprzedzeń i przesądów, których usunięcie może zająć wiele dziesięcioleci. Przyzna pan, że ludzka psychika nie jest nam obca. Niemal na pewno wiemy, co się stanie, jeśli teraz wyjawimy prawdę o nas. Nie chcę się wdawać w szczegóły nawet z panem, zatem proszę zaufać mojej analizie. Jednak możemy złożyć pewną ostateczną obietnicę, która powinna was częściowo zadowolić. *Za pięćdziesiąt lat, dwa pokolenia od tej chwili, wyjdziemy z naszych statków i ludzkość wreszcie zobaczy, jacy jesteśmy.*

Stormgren milczał chwilę, rozważając słowa Kontrolera. Nie odczuwał satysfakcji, jaką w innej sytuacji dałoby mu to oświadczenie. Prawdę mówiąc, ten częściowy sukces nieco zbił go z tropu i na moment osłabił jego zdecydowanie. Po pewnym czasie prawda objawi się sama. Jego knowania były niepotrzebne, a może i nierozsądne. Jeśli zechce zrealizować swój plan, to wyłącznie z egoistycznych pobudek, bo za pięćdziesiąt lat nie będzie go wśród żywych.

Karellen musiał zauważyć jego wahanie, ponieważ mówił dalej:

- Przykro mi, jeśli czuje się pan rozczarowany, ale przecież niebawem nie będzie pan już odpowiedzialny za rozwiązywanie politycznych problemów. Może uzna pan nasze obawy za bezpodstawne, ale proszę mi wierzyć, mamy przekonujące dowody na to, że każde inne wyjście rodzi poważne niebezpieczeństwo.

Stormgren gwałtownie pochylił się do przodu i zakrztusił się z wrażenia.

- A więc człowiek już was widział!

- Tego nie powiedziałem - szybko odparł Karellen. - Wasz świat nie jest jedyną planetą, którą kierujemy.

Jednak sekretarz nie zamierzał tak łatwo dać się zbyć.

– Wiele naszych legend sugeruje, że Ziemię odwiedzali przedstawiciele obcych ras.

– Wiem o tym. Czytałem raport Sekcji Astroarcheologicznej. Robią z Ziemi ruchliwe skrzyżowanie.

– Mogły być wizyty, o których nic nie wiecie – rzekł Stormgren, wciąż mając nadzieję, że przyłapie Karellena. – Chociaż jeśli obserwujecie nas od tysięcy lat, to myślę, że szanse na to są niewielkie.

– Przypuszczam, że ma pan rację – odparł Karellen swoim najbardziej urzędowym tonem.

I właśnie w tym momencie Fin podjął decyzję.

– Naskikuję plan tego oświadczenia – powiedział szybko – i przyślę panu do zaaprobowania. Ale zastrzegam sobie prawo dalszego dokuczania panu i jeśli nadarzy się okazja, aby poznać waszą tajemnicę, skorzystam z niej bez wahania.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparł Kontroler z cichutkim chichotem.

– I nie ma pan nic przeciwko temu?

– Zupełnie nic, choć wykluczam możliwość użycia broni nuklearnej, gazów trujących lub czegokolwiek innego, co mogłoby narazić na szwank naszą przyjaźń.

Stormgren zastanawiał się, co – jeśli cokolwiek – Karellen odgadł. Choć Kontroler się z nim przekomarzał, wyczuł u niego nutę zrozumienia, może nawet – któż to wie? – zachęty.

– Miło mi to słyszeć – rzekł najobojętniejszym tonem, na jaki zdołał się zdobyć. Wstał, zamykając walizeczkę. Dotknął kciukiem zamka. – Zaraz po powrocie napiszę oświadczenie – powtórzył – i jeszcze dzisiaj przyślę je panu dalekopisem.

To mówiąc, nacisnął guzik... i dowiedział się, że jego obawy były bezpodstawne. Zmysły Kontrolera nie były subtelniejsze od ludzkich. Karellen niczego nie zauważył, gdyż w jego głosie nie zaszła żadna

zmiana, kiedy żegnał się z sekretarzem i wypowiadał znajome hasło otwierające drzwi.

A jednak Stormgren czuł się jak złodziejaszek opuszczający sklep na oczach detektywa i odetchnął z ulgą, kiedy zasklepiła się za nim ściana latającego pojazdu.

– Przyznaję – powiedział van Ryberg – że niektóre moje pomysły nie były najszcześniejsze. Jednak proszę powiedzieć, co pan sądzi o następującej teorii...

– Naprawdę muszę? – westchnął Stormgren.

Pieter udał, że tego nie słyszy.

– Właściwie to nie mój pomysł – rzekł skromnie. – Zapożyczyłem go od Chestertona. Założmy, że Zwierzchnicy ukrywają fakt, że nie mają nic do ukrycia.

– To dla mnie trochę zbyt skomplikowane – odparł Stormgren, zdradzając mimowolnie zainteresowanie.

– Chcę przez to powiedzieć – mówił pospiesznie van Ryberg – że sądzę, iż oni są takimi ludźmi jak my. Wiedzą doskonale, że zgodzilibyśmy się, aby rządziły nami stworzenia, które uważamy za... powiedzmy, obce i superinteligentne. Lecz rasa ludzka po prostu nie pozwoli, aby kierowały nią stworzenia tego samego gatunku.

– To bardzo pomysłowe, zresztą jak wszystkie pańskie teorie – powiedział sekretarz. – Chciałbym, aby je pan numerował, inaczej się w nich pogubię. A co do argumentów obalających tę ostatnią...

Urwał, gdyż właśnie w tej chwili do pokoju wszedł Alexander Wainwright.

Rikki zastanawiał się, o czym on myśli. Ciekaw też był, czy Wainwright skontaktował się z porywaczami. Wątpił w to, ponieważ wierzył, że przywódca Ligi Wolności szczerze wypowiadał się przeciw stosowaniu przemocy. Ekstremiści w jego ruchu zdyskredytowali się swoim wyczynem i minie sporo czasu, nim świat znów o nich usłyszy.

Wainwright uważnie wysłuchał odczytanego mu oświadczenia. Stormgren miał nadzieję, że były pastor doceni gest, którego pomysłodawcą był Karellen. Upłynie jeszcze dwanaście godzin, nim świat dowie się o obietnicy, której spełnienia doczekają dopiero ich wnuki.

– Pięćdziesiąt lat – powiedział z namysłem Wainwright. – To długie oczekiwanie.

– Może dla ludzkości, ale nie dla Karellena – odparł Stormgren.

Dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę z zalet tego rozwiązania. Dawało Zwierzchnikom potrzebne im pole manewru i usuwało grunt spod nóg Lidze Wolności. Nie wyobrażał sobie, by ta organizacja skapitulowała, lecz jej pozycja zostanie poważnie osłabiona. Wainwright musiał mieć tego świadomość.

– Za pięćdziesiąt lat – powiedział gniewnie – szkód nie da się już naprawić. Ci, którzy pamiętają dni niepodległości, będą w grobach. Ludzkość zapomni o swoim dziedzictwie.

„Słowa, puste słowa – pomyślał Stormgren. – Słowa, za które ludzie niegdyś walczyli i umierali, i za które już nikt nigdy nie będzie walczył i umierał. A świat będzie przez to lepszy”.

Patrząc na wychodzącego Wainwrighta, zastanawiał się, ile kłopotów sprawi jeszcze w najbliższych latach Liga Wolności. „Jednak to już nie moja sprawa” – pocieszył się w duchu.

Pewne problemy mógł rozwiązać tylko czas. Można pokonać złych, ale nic nie można zdziałać przeciw błędzącym dobrym ludziom.

– Masz swoją walizeczkę – powiedział Duval. – Jest prawie nienaruszona.

– Dziękuję – odrzekł Stormgren, dokładnie ją oglądając. – Może powiesz mi teraz, o co chodzi i co zamierzamy zrobić?

Fyzyk wydawał się pogrążony w myślach.

– Nie mogę zrozumieć tylko jednego: łatwości, z jaką udało się tego dokonać. Gdybym to ja był Kar...

– Ale nie jesteś! Do rzeczy, człowieku! Co odkryliśmy?

– Nie ma to jak ci nerwowie, pełni temperamentu nordycy – westchnął Duval. – Umieściliśmy w walizeczce rodzaj radaru o małej mocy. Oprócz fal radiowych o bardzo wysokiej częstotliwości posłużyliśmy się również podczerwienią, to znaczy falami, których żadne żywe stworzenie nie może dostrzec, niezależnie od tego, jak czuły ma narząd wzroku.

– Skąd możesz mieć pewność? – spytał Stormgren, mimo woli zaintrygowany techniczną stroną problemu.

– Cóż, całkowitej pewności nie można mieć nigdy – niechętnie przyznał Duval. – Ale przecież Karellen spotyka się z tobą w normalnie oświetlonym pokoju, prawda? To dowodzi, że jego oczy reagują na podobny do naszego zakres promieniowania. Tak czy owak, udało się. Stwierdziliśmy, że za tym twoim ekranem znajduje się duże pomieszczenie. Sam ekran ma mniej więcej trzy centymetry grubości, a dalej jest dziesięć metrów pustej przestrzeni. Nie zarejestrowaliśmy żadnego odbicia od ściany, ale też trudno tego oczekiwać, stosując nadajnik małej mocy, bo tylko takim ośmieliliśmy się posłużyć. A jednak coś udało się ustalić.

Podsunał Stormgrenowi arkusz papieru fotograficznego z widoczną na nim falistą linią. W jednym miejscu widoczny był pik, niczym sejsmograficzny zapis trzęsienia ziemi średniej mocy.

– Widzisz ten mały pik?

– Tak. A co to takiego?

– Karellen.

– Wielki Boże! Jesteś pewien?

– Niewiele ryzykujemy, zakładając, że tak jest. Siedzi, stoi, czy cokolwiek tam robi, dwa metry od ekranu. Gdyby urządzenie miało nieco lepszą rozdzielczość, moglibyśmy nawet oszacować jego wzrost.

Stormgren z mieszanymi uczuciami patrzył na niewyraźny wykres. Dotychczas nie było dowodu, że Karellen w ogóle ma fizyczną postać. Nadal nie był to niepodważalny dowód, ale Fin przyjął go bez zastrzeżeń.

– Następną rzeczą, jaką musieliśmy zrobić – powiedział Duval – to ocena przenikliwości ekranu względem zwykłego światła. Sądzymy, że mamy o tym pewne pojęcie. Zresztą, nawet jeśli pomylimy się o rząd

wielkości, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Oczywiście wiesz, że nie ma czegoś takiego jak jednostronnie przezroczyste szkło. To po prostu kwestia odpowiedniego oświetlenia pomieszczeń. Karellen siedzi w zaciemnionym pokoju, a ty w jasnym, to wszystko. – Zachichotał. – Zmienimy ten stan rzeczy.

Z miną magika wyczarowującego z cylindra całe stadko królików sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął dużą latarkę. Jej reflektor rozszerzał się, upodabniając ją trochę do garłacza. Duval uśmiechnął się z zadowoleniem.

– To nie jest takie groźne, jak się wydaje. Musisz tylko przyłożyć reflektor do ekranu i nacisnąć przycisk. Daje silny strumień światła przez mniej więcej dziesięć sekund, co wystarczy, abyś zdążył oświetlić całe pomieszczenie i dobrze się wszystkiemu przyjrzeć. Światło przejdzie przez ekran i pięknie oświetli twojego przyjaciela.

– A czy to mu nie zaszkodzi?

– Nie, jeśli najpierw wycelujesz nisko, a dopiero potem w górę. To da mu czas na zaadaptowanie wzroku, bo przypuszczam, że jego reakcje są podobne do naszych, a nie chcemy go przecież oślepić.

Stormgren z powątpiewaniem popatrzył na przyrząd i zważył go w rękę. Przez kilka ostatnich tygodni gryzło go sumienie. Karellen zawsze traktował go z nieskrywaną sympatią, chociaż bywał brutalnie szczery, i teraz, kiedy ich spotkania zbliżały się ku końcowi, Fin nie chciał zrobić czegoś, co popsułoby te stosunki. Z drugiej strony ostrzegł Kontrolera i był przekonany, że gdyby decyzja zależała od Karellena, ten już dawno pokazałby się ludziom. Teraz on podejmował decyzję: pod koniec spotkania ujrzy twarz Karellena.

Jeśli oczywiście Zwierzchnik ma jakąś twarz.

Zdenerwowanie, jakie początkowo odczuwał, dawno już minęło. Prawie bez przerwy mówił Karellen, posługując się długimi, zawiłymi zdaniami, jakich czasem lubił używać. Kiedyś Stormgren uważał to za jeden z najbardziej niezwykłych, a na pewno najmniej oczekiwany talent

Karellena. Teraz ten dar już go tak nie dziwił, gdyż wiedział, że – jak większość umiejętności Kontrolera – wynika on z niezwyklej siły jego umysłu, a nie z jakichś nadzwyczajnych wrodzonych zdolności.

Po prostu, kiedy zwalniał tempo swoich myśli, dostosowując je do szybkości ludzkiej mowy, miał czas na układanie dowolnie skomplikowanych płodów literackich.

– Nie ma potrzeby, aby pan lub pański następca przejmował się zbyt Ligą Wolności, nawet kiedy jej członkowie odzyskają utracony ostatnio wigor. Zachowują się spokojnie, przynajmniej w ciągu ostatniego miesiąca, i nawet jeśli znów się zaktywizują, nie nastąpi to wcześniej niż za kilka lat. Doprawdy liga to bardzo pożyteczna instytucja, ponieważ dobrze jest, gdy się zawsze wie, co zamierza przeciwnik. Gdyby kiedykolwiek popadła w kłopoty finansowe, byłbym chyba zmuszony ją dofinansowywać.

Stormgren często nie wiedział, kiedy Karellen żartuje. Zachował obojętny wyraz twarzy i słuchał dalej.

– Niebawem liga utraci kolejny argument. Często krytykowano, i to w dziecinny sposób, ten szczególny urząd, który sprawował pan przez ostatnie kilka lat. Kiedy rozpoczynałem swoją misję, było to dla mnie bardzo wygodne, ale teraz, kiedy wszystko przebiega zgodnie z planem, można położyć temu kres. W przyszłości mój wpływ na sprawy ziemskie nie będzie tak bezpośredni i biuro sekretarza generalnego ONZ będzie może bardziej przypominało to, czym było niegdyś. W ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat nastąpi wiele kryzysów, ale wszystkie przeminą. Przyszłość rysuje się dość jasno i pewnego dnia wszystkie te trudności zostaną zapomniane, nawet przez rasę, której wspomnienia sięgają tak głęboko w przeszłość jak wasze.

Ostatnie słowa wypowiedział z tak szczególną intonacją, że Stormgren zeszytniał. Karellen zawsze mówił dokładnie to, co chciał powiedzieć, i nawet jego przejęzyczenia były wyliczone z precyzją rzędu dziesięciu miejsc po przecinku. Jednak nie miał czasu na zadawanie pytań, na które pewnie i tak nie otrzymałby odpowiedzi, Kontroler bowiem ponownie zmienił temat.

- Często pytał mnie pan o nasze dalekosiężne plany - ciągnął. - Narodziny Państwa Światowego to oczywiście tylko pierwszy etap. Dożyje pan dnia, w którym będzie to twór w pełni rozwinięty, choć zmiany te będą tak niedostrzegalne, że niewielu ludzi zauważy zakończenie owego procesu. Potem nastąpi długi okres powolnej stabilizacji, podczas którego pańska rasa zostanie przygotowana do spotkania z nami. I wtedy nadejdzie dzień, który obiecaliśmy. Przykro mi, że wówczas nie będzie pana wśród nas.

Stormgren miał otwarte oczy, ale spoglądał daleko poza taflę ciemnego ekranu. Patrzył w przyszłość, wyobrażając sobie dzień, którego nie doczeka, dzień, w którym wielkie statki Zwierzchników wylądują wreszcie na Ziemi i otworzą się dla czekającego na nie świata.

- W tym dniu - kontynuował Karellen - rasa ludzka doświadczy czegoś, co można określić mianem psychologicznej nieciągłości. Jednak nie dozna przez to żadnej szkody i od tej pory ludzie będą bardziej stabilni emocjonalnie niż ich przodkowie. Staniemy się częścią ich życia i kiedy spotkają się z nami, nie będą nas uważali za tak dziwnych, jak bylibyśmy dla was.

Stormgren nie zetknął się dotąd z tak refleksyjnym nastrojem u Karellena, ale nie dziwiło go to. Nie wierzył, aby zdołał poznać więcej niż kilka z licznych aspektów osobowości Kontrolera; prawdziwy Karellen pozostawał nieznanym i, być może, nierozpoznawalnym dla ludzi. Nie po raz pierwszy miał wrażenie, że prawdziwe zainteresowania Zwierzchnika skupiają się gdzie indziej, a Ziemią włada jedynie częścią swego umysłu, z łatwością mistrza trójwymiarowych szachów grającego w warcabę.

- A co potem? - zapytał łagodnie.

- Wtedy rozpoczniemy naszą prawdziwą misję.

- Często zastanawiałem się, na czym ona ma polegać. Jednoczenie i cywilizowanie naszego świata jest zaledwie środkiem. Musicie przecież mieć jakiś cel. Czy kiedyś będziemy mogli wybrać się w kosmos i zobaczyć wasz świat, a może nawet pomóc wam w waszych wysiłkach?

- Można to tak ująć - odparł Karellen i w jego głosie dał się słyszeć wyraźny, choć niewytłumaczalny smutek, który dziwnie poruszył

Stormgrena.

– Jednak przypuścmy, że mimo wszystko wasz eksperyment z człowiekiem nie powiedzie się. Takie przypadki zdarzały się na Ziemi, gdy bardziej rozwinięte cywilizacje nawiązywały kontakt z prymitywniejszymi. Z pewnością i wy mieliście swoje niepowodzenia.

– To prawda – rzekł Karellen tak cicho, że Stormgren ledwie go usłyszał. – I my mieliśmy swoje niepowodzenia.

– I co wtedy robicie?

– Czekamy i próbujemy ponownie.

Na kilka sekund zapadła cisza. Kiedy Kontroler znów przemówił, jego słowa były tak nieoczekiwane, że Stormgren nie od razu zareagował.

– Żegnaj, Rikki!

Karellen przechytrzył go, zapewne było już za późno. Paraliż Stormgrena trwał tylko moment. Jednym szybkim, wyćwiczonym ruchem wydobył latarkę i przycisnął ją do szkła.

Sosny schodziły niemal do samego jeziora, pozostawiając jedynie kilkumetrowy pas trawy wzdłuż brzegu. Każdego wieczoru, jeśli tylko było wystarczająco ciepło, Stormgren, nie zważając na swoje dziewięćdziesiąt lat, szedł tamtędy aż na molo, spoglądał na odbijające się w wodzie ostatnie promienie zachodzącego słońca i wracał do domu, nim znad puszczy nadleciały podmuchy chłodniejszego wiatru. Ten prosty codzienny rytuał dawał mu wiele satysfakcji i postanowił podtrzymywać go, dopóki siły mu na to pozwolą.

Daleko nad jeziorem ukazał się jakiś lecący nisko i szybko obiekt. Samoloty pojawiały się w tych okolicach dość rzadko, jeśli nie liczyć rejsowych olbrzymów niemal co godzinę przelatujących nad biegunem. Jednak oprócz sporadycznych smug kondensacyjnych przecinających stratosferę żaden inny ślad nie zdradzał ich obecności. Natomiast ta maszyna była małym helikopterem zdecydowanie zmierzającym w kierunku mola. Stormgren rozejrzał się i stwierdził, że nie zdoła

uniknąć spotkania. Wzruszył ramionami i usiadł na drewnianej ławce na końcu pomostu.

Dziennikarz zwracał się do niego z takim szacunkiem, że ogromnie go to zdziwiło. Zdążył już zapomnieć, że jest nie tylko politykiem na emeryturze, ale postacią wręcz legendarną i znaną daleko poza granicami swego kraju.

– Panie Stormgren – zaczął natręt – gorąco przepraszam, że osmielełem się pana niepokoić, ale zastanawiam się, czy nie zechciałby pan skomentować czegoś, co właśnie usłyszeliśmy o Zwierzchnikach.

Stormgren zmarszczył brwi. Mimo upływu lat nadal podzielał niechęć, jaką Karellen żywił do tego słowa.

– Nie sądzę – rzekł – abym mógł wiele dodać do tego, co zostało już powiedziane.

Dziennikarz przyglądał mu się z dziwnym zainteresowaniem.

– Pomyślałem sobie, że jednak mógłby pan. Właśnie usłyszeliśmy pewną dziwną historię. Wygląda na to, że blisko trzydzieści lat temu jeden z techników Wydziału Naukowego wykonał dla pana jakieś dziwne urządzenie. Czy nie mógłby nam pan czegoś o tym powiedzieć?

Stormgren milczał chwilę, wędrując myślami w przeszłość. Nie zdziwiło go to, że po trzydziestu latach tajemnica się wydała. Dziwne było to, że dochowano jej tak długo.

Wstał i ruszył wolno pomostem. Reporter szedł o krok za nim.

– Ta historia – zaczął sekretarz – zawiera ziarno prawdy. Udając się po raz ostatni na statek Karellena, zabrałem pewien aparat w nadziei, że uda mi się zobaczyć Kontrolera. Popełniłem głupstwo, ale cóż, miałem wtedy zaledwie sześćdziesiąt lat. – Zachichotał i mówił dalej: – Jednak nie jest to historia, dla której warto byłoby podejmować taką podróż jak pańska. Widzi pan, nic z tego nie wyszło.

– Nic pan nie zobaczył?

– Zupełnie nic. Obawiam się, że będziecie musieli poczekać, ale to w końcu jeszcze tylko dwadzieścia lat!

Tylko dwadzieścia lat. O tak. Karellen miał rację. Wtedy świat będzie już gotowy, a z pewnością nie był taki wówczas, trzydzieści lat temu, kiedy tak samo kłamał Duwalowi.

Karellen zaufał mu i Stormgren nie zawiódł tego zaufania. Jedną z niewielu rzeczy, co do których miał całkowitą pewność, było to, że Kontroler od początku znał jego zamiary i przewidział każdy ruch ostatniej rozgrywki.

Czyż można znaleźć inne wyjaśnienie pustki w ogromnym fotelu, gdy padł nań krąg światła? W tej samej chwili Rikki przesunął promień, obawiając się, że jest już za późno. Metalowe drzwi, dwukrotnie wyższe niż ludzkie, właśnie się zamykały. Ruch był szybki, ale nie dość szybki.

Tak, Karellen zaufał mu, nie chcąc na resztę życia pozostawić go z nierozwiązaną tajemnicą. Nie odważył się też okazać nieposłuszeństwa wobec stojących nad nim potęg (czy *tamci* należeli do tej samej rasy?), ale zrobił dla Stormgrena tyle, ile mógł. Nawet jeśli nie wykonał poleceń, nigdy mu tego nie udowodnią. Rikki wiedział, że był to ostateczny dowód sympatii, jaką darzył go Karellen. Być może była to sympatia, jaką człowiek darzy inteligentnego, oddanego mu psa, lecz była szczerą i niewiele rzeczy w życiu sprawiło Stormgrenowi większą satysfakcję.

„I my mieliśmy swoje niepowodzenia”.

Tak, Karellenie, to prawda. A więc i wy zawiedliście, nim jeszcze zaczęła się historia ludzi. Musiało to być nie lada niepowodzenie, gdyż jego echa rozbrzmiewały przez wiele wieków i zatruiły wczesny etap rozwoju rasy ludzkiej. Czy uda wam się, nawet w ciągu pięćdziesięciu lat, przełamać moc wszystkich mitów i legend tego świata?

A jednak Stormgren wiedział, że drugiego niepowodzenia nie będzie.

Kiedy obie rasy spotkają się ponownie, Zwierzchnicy zdobędą przyjaźń i zaufanie rodzaju ludzkiego, tak że nawet szok rozpoznania nie zniszczy tego dzieła. Razem pójdą w przyszłość i nieznaną tragedię, która położyła się cieniem na przeszłości, na zawsze zginie w mglistych korytarzach prehistorii.

Stormgren wierzył, że gdy Karellen znów będzie mógł chodzić po Ziemi, pewnego dnia odwiedzi te północne puszcze i przystanie nad

grobem pierwszego człowieka, który stał się jego przyjacielem.

CZEŚĆ DRUGA

ZŁOTY WIEK

Rozdział 5

To jest ten dzień” – szeptały radiodbiorniki w setkach języków.

„To jest ten dzień” – głosiły nagłówki tysięcy gazet.

„To jest ten dzień” – myśleli kamerzyści zebrani wokół rozległego pustego placu, na którym miał osiąść statek Karellena.

Pozostał tylko jeden statek, ten wiszący nad Nowym Jorkiem. Tak naprawdę, co świat odkrył dopiero niedawno, statki nad innymi miastami nigdy nie istniały. Poprzedniego dnia wielka flota Zwierzchników rozplynęła się jak mgła wraz z nadejściem poranka.

Statki dostawcze przybywające i wracające w przestrzeń kosmiczną były prawdziwe, ale srebrne giganty wiszące od wielu lat nad wszystkimi większymi miastami Ziemi okazały się iluzją. Nikt nie miał pojęcia, jak tego dokonano, lecz okazało się, że każdy z tych statków był jedynie obrazem statku Karellena. Nie było to przy tym tylko złudzenie optyczne, ponieważ zmyliło i radar, a żyli jeszcze ludzie, którzy przysięgali, że słyszeli wycie rozdzieranego powietrza, gdy flota spływała z niebios ku Ziemi.

Cała sprawa nie miała wszakże większego znaczenia – liczyło się to, że Karellen nie odczuwał już potrzeby takiej demonstracji siły. Odrzucił swoją broń psychologiczną.

– Leci statek! – Te słowa dotarły natychmiast w najdalsze zakątki planety. – Zmierza na zachód!

Opadając z pustki stratosferycznej wysokości z szybkością tylko trochę mniejszą niż tysiąc kilometrów na godzinę, statek spływał ku wielkim równinom i powtórnemu spotkaniu z historią. Opuścił się posłusznie przed oczekującymi kamerami i tysiącami stłoczonych widzów, z których jedynie nieliczni mogli dojrzeć tyle, ile miliony zebrane przed telewizorami.

Ziemia powinna zadrżeć i popękać pod tym potwornym ciężarem, lecz nieznanne siły, które prowadziły jednostkę wśród gwiazd, wciąż działały. Statek pocałował grunt tak delikatnie jak spadający płatek śniegu.

Wygięty bok wznoszący się dwadzieścia metrów nad ziemią zalśnił i zamigotał, a tam, gdzie przed chwilą była gładka, błyszcząca powierzchnia, pojawił się wielki otwór. Wewnątrz nawet obiektywy wszędobylskich kamer nie dostrzegły niczego. Wejście było mroczne i ciemne jak wejście do jaskini.

Z otworu wysunął się szeroki, lśniący trap i opuścił ku ziemi. Wyglądał na solidną metalową płytę z poręczami po obu stronach. Nie miał stopni – był stromy i gładki jak zjeżdżalnia na placu zabaw i zdawało się, że wejście lub zejście po nim musi sprawiać kłopoty.

Cały świat wpatrywał się w mroczny portal, w którym nikt się jeszcze nie pojawił. Potem z ukrytego gdzieś głośnika popłynął rzadko słyszany, ale niezapomniany głos Karellena. Niewiele rzeczy mogłoby w tym momencie bardziej zaskoczyć ludzi niż to, co powiedział.

– Przy trapie stoi kilkoro dzieci. Chciałbym, aby dwoje z nich weszło na górę i spotkało się ze mną.

Na chwilę zapadła cisza. Potem z tłumu wyszli chłopczyk i dziewczynka i śmiało ruszyli ku trapowi oraz swemu miejscu w historii. Za nimi podążyły inne dzieci, ale zatrzymały się, kiedy usłyszały chichot Karellena.

– Dwoje wystarczy.

Z gotowością urodzonych poszukiwaczy przygód niespełna sześciolatek weszły na metalową zjeżdżalnię. I wtedy stał się pierwszy cud.

Wesoło machając do zgromadzonych wokół tłumów i rodziców, którzy dopiero teraz przypomnieli sobie legendę o Pstrokatym Kobziarzu³, dzieci zaczęły szybko wchodzić po stromym, gładkim zboczach. Nie poruszały nogami i niebawem wszyscy dostrzegli, że ich ciała są ustawione pod kątem prostym do tego niezwykłego trapu. Najwidoczniej miał on własną grawitację znoszącą działanie ziemskiej. Wciąż ciesząc się tym nowym,

nieznanym doznaniem i zastanawiając się, co też ciągnie je do góry, dzieci zniknęły we wnętrzu statku.

Na całym świecie zapadła cisza trwająca dwadzieścia sekund – choć później nikt nie wierzył, że była ona tak krótka. Potem wszystkim wydało się, że ciemny otwór poruszył się i przesunął do przodu, lecz to Karellen wyszedł na światło dnia. Na jego lewym ramieniu siedział chłopczyk, a na prawym dziewczynka. Oboje byli zbyt zajęci skrzydłami Karellena, aby zwracać uwagę na otaczające ich tłumy.

Należy oddać sprawiedliwość psychologii Zwierzchników i długoletnim, starannym przygotowaniom – bardzo niewielu ludzi zemdlało. Jednak na całym świecie mało było i takich, którzy przez jedną krótką chwilę nie poczuli, że ogarnia ich fala atawistycznego lęku, którą rozum natychmiast przegnał na zawsze.

Nie było żadnych wątpliwości. Błoniaste skrzydła, małe rogi, rozwidlony ogon – wszystko na swoim miejscu. Z zamierzchłej przeszłości powróciła najstraszliwsza z legend. I stała uśmiechnięta, w hebanowym majestacie, a słońce lśniło na jej ogromnym ciele, gdy dwójka dzieci ufnie spoczywała na jej ramionach.

3 *Pstrokaty Kobziarz* – tytuł i bohater poematu Roberta Browninga (*The Pied Piper of Hamelin*), również synonim przywódcy czyniącego kuszące, lecz niemożliwe do spełnienia obietnice. *The Pied Piper of Hamelin* opiera się na niemieckim podaniu ludowym o Szczurołapie z Hameln, znanym m.in. za sprawą braci Grimm (przyp. red.).

Rozdział 6

Pięćdziesiąt lat to wystarczająco dużo czasu, aby niemal nie do poznania zmienić świat i ludzi. Potrzeba do tego jedynie głębokiej wiedzy w dziedzinie inżynierii społecznej, precyzyjnego określenia celu i siły.

Wszystko to posiadali Zwierzchnicy. Chociaż ich cel pozostawał zagadką, wiedza była bezdyskusyjna, podobnie jak siła.

Owa siła przybierała różne formy, przy czym niewiele z nich było zauważanych przez ludzi, o których losach decydowali teraz Zwierzchnicy. Jednak moc kryjąca się w ich wielkich statkach była oczywista dla każdego. A przecież oprócz tej milczącej potęgi mieli również inne, dużo subtelniejsze rodzaje broni.

– Wszystkie problemy polityczne – powiedział kiedyś Karel do Stormgrena – można rozwiązać przez właściwe stosowanie siły.

– Ta uwaga brzmi dość cynicznie – z powątpiewaniem odparł sekretarz. – Za bardzo przypomina mi hasło „Siła jest prawem”. W naszej przeszłości stosowanie siły najczęściej niczego nie rozwiązywało.

– Kluczowym słowem jest „właściwe”. Wy nigdy nie mieliście prawdziwej siły ani wiedzy potrzebnej, by ją stosować. Do każdego problemu można podejść w sposób odpowiedni lub nieodpowiedni. Załóżmy, że jeden z waszych narodów pod przywództwem jakiegoś fanatyka próbowałby się przeciw mnie zbuntować. Użycie bomby atomowej byłoby wysoce niewłaściwą reakcją na taką groźbę. Gdybym użył dostatecznej liczby bomb, rozwiązanie byłoby całkowite i ostateczne. Byłoby też, jak już zaznaczyłem, niewłaściwe, i to nawet gdyby nie miało skutków ubocznych.

– A właściwe rozwiązanie?

– Wymaga zastosowania małego radionadajnika i umiejętności posługiwania się nim. Istotny jest bowiem *punkt przyłożenia* siły, a nie jej

wielkość. Jak pan myśli, czy Hitler długo utrzymałby się przy władzy w Niemczech, gdyby wciąż słyszał szepczący mu do ucha i towarzyszący wszędzie głos? Albo gdyby jednostajny dźwięk, na tyle głośny, by zagłuszyć inne i uniemożliwić sen, rozlegał się w dzień i w nocy w jego mózgu? Proszę zauważyć, że w tej metodzie nie ma niczego specjalnie brutalnego. A jednak w ostatecznym rozrachunku jest ona równie skuteczna jak bomba trytowa.

– Rozumiem – powiedział Stormgren. – I nigdzie nie można się przed tym ukryć?

– Nie ma takiego miejsca, do którego nie mógłbym wysłać moich... hmm, urządzeń, gdyby mi na tym zależało. I właśnie dlatego nie muszę wykorzystywać naprawdę drastycznych metod, aby wzmocnić swoją pozycję.

Tak więc wielkie statki nigdy nie były niczym innym jak tylko symbolem siły, a teraz świat dowiedział się, że oprócz jednego wszystkie były fantomami. A mimo to samą swoją obecnością zmieniły historię Ziemi. Zadanie zostało wykonane, lecz pozostała pamięć o ich dokonaniach, która miała rozbrzmiewać echem przez stulecia.

Przewidywania Karellena spełniły się co do joty. Szok szybko minął, choć wielu było takich, którzy szczycili się brakiem przesądów i uprzedzeń, a nie potrafili stanąć twarzą w twarz ze Zwierzchnikiem. Było w tym coś dziwnego, coś niepoddającego się logice i rozumowi. W średniowieczu ludzie wierzyli w diabła i bali się go. Jednakże teraz był dwudziesty pierwszy wiek. Czyżby więc, mimo wszystko, istniało coś takiego jak pamięć genetyczna lub pamięć całej rasy?

Oczywiście powszechnie uważano, że Zwierzchnicy lub istoty bardzo do nich podobne popadły niegdyś w gwałtowny konflikt z człowiekiem. Musiało się to zdarzyć w odległej przeszłości, gdyż nie pozostawiło śladów w przekazach historycznych. Tkwiła w tym jakaś zagadka, a Karellen wcale nie kwapił się z pomocą przy jej rozwiązywaniu.

Zwierzchnicy, choć obecnie już pokazywali się ludziom, rzadko opuszczali jedyny statek. Być może nie czuli się na Ziemi zbyt dobrze, bo ich rozmiary i skrzydła sugerowały, że pochodzą ze świata o dużo niższej

gravitacji. Żadnego z nich nigdy nie widziano bez pasa zaopatrzonego w skomplikowane urządzenia, które, jak powszechnie uważano, kontrolowały ich ciężar i pozwalały na komunikowanie się. Światło słoneczne sprawiało im ból i nie wystawiali się na nie dłużej niż przez kilka sekund. Kiedy musieli dłuższy czas pozostawać na otwartej przestrzeni, nosili okulary nadające im dość niezwykle wygląd. Choć wszystko wskazywało na to, że mogą oddychać ziemskim powietrzem, niekiedy zabierali ze sobą małe pojemniki z gazem, którym się od czasu do czasu odświeżali.

Może te czysto fizyczne cechy były powodem, dla którego trzymali się na uboczu. Niewielu ludzi stanęło oko w oko ze Zwierzchnikiem i nikt nie miał pojęcia, ilu ich jest na pokładzie statku. Nigdy nie widziano więcej niż pięciu naraz, lecz ten olbrzymi statek mógł pomieścić ich setki, a nawet tysiące.

Z wielu powodów ukazanie się Zwierzchników stworzyło więcej nowych problemów, niż rozwiązało starych. Ich ojczyzna pozostawała nieznana, a biologia stała się powodem niekończących się dyskusji. W wielu sprawach chętnie udzielali informacji, lecz w innych ich zachowanie można było określić jedynie słowem „tajemnicze”. Ogólnie rzecz biorąc, irytowali wyłącznie naukowców. Przeciętny człowiek, choć może wolał nie spotykać się ze Zwierzchnikami, był im wdzięczny za to, co zrobili dla świata.

Według norm z wcześniejszych wieków nastał czas utopii. Ignorancja, choroby, nędza i strach niemal przestały istnieć. Wspomnienie wojny zniknęło w mroku przeszłości niczym senny koszmar rozwiewający się o świcie – wkrótce miało odejść na zawsze.

Ukierunkowane twórczo wysiłki ludzkości zmieniły oblicze planety. Był to naprawdę nowy świat. Miasta dość dobre dla poprzednich pokoleń zostały przebudowane albo opuszczone i pozostawione w funkcji skansenów, gdy przestały odgrywać swą rolę. Ten los spotkał wiele miast, ponieważ całkowicie zmieniła się koncepcja przemysłu i handlu. Produkcja została w większości zautomatyzowana – pełne robotów fabryki wylewały z siebie dobra konsumpcyjne niekończącym się strumieniem,

zaspokajając wszystkie życiowe potrzeby. Ludzie pracowali, jeśli pragnęli czegoś luksusowego, lub nie pracowali w ogóle.

Taki był Zjednoczony Świat. Dawne nazwy państw były jeszcze w użyciu, lecz nie oznaczały nic prócz umownych okręgów pocztowych. Na Ziemi nie było nikogo, kto nie mówiłby po angielsku, nie umiał czytać, nie posiadał telewizora i w ciągu dwudziestu czterech godzin nie mógł się znaleźć po przeciwnej stronie globu.

Zbrodnia praktycznie przestała istnieć. Przepęstwa stały się zarówno niepotrzebne, jak i niemożliwe. Kiedy nikomu niczego nie brakuje, kradzież traci sens. Co więcej, potencjalni przestępcy wiedzieli, że nie uda im się ująć przed karzącą ręką Zwierzchników. Na początku swoich rządów tak skutecznie popierali oni prawo, że nigdy nie zapomniano tej lekcji.

Zbrodnie w afekcie, choć czasami się zdarzały, były coraz rzadsze. Od kiedy rozwiązano wiele problemów ludzkości, była dużo zdrowsza psychicznie i bardziej racjonalna. A to, co dawniej nazywano przestępstwem, teraz często było zaledwie ekscentrycznym zachowaniem lub, w najgorszym razie, złymi manierami.

Jedną z najbardziej charakterystycznych zmian było spowolnienie zwariowanego tempa tak typowego dla dwudziestego wieku. Życie stało się bardziej leniwe i beztroskie niż kiedykolwiek. Dlatego też miało nieco mniej smaku dla pewnej, niewielkiej liczby osób, ale dawało więcej upragnionego spokoju całym rzeszom. Zachód ponownie dowiedział się tego, czego reszta świata nigdy nie zapomniała, a mianowicie, że brak pośpiechu nie jest niczym grzesznym, chyba że przeradza się w pospolite lenistwo.

Jakiegokolwiek problemy miała przynieść przyszłość, czas nie odgrywał już decydującej roli w ich rozwiązywaniu. System edukacji był znacznie doskonalszy i lepiej zaplanowany. Niewielu ludzi porzucało szkoły przed ukończeniem dwudziestu lat, a był to zaledwie pierwszy etap kształcenia. W wieku dwudziestu pięciu lat większość, po zebraniu potrzebnych doświadczeń i odbyciu licznych podróży, podejmowała naukę na co

najmniej trzy następne lata. A i później co jakiś czas ludzie doksztalcali się na różnych kursach z interesujących ich dziedzin.

Wydłużenie okresu przygotowania do życia poza etap osiągania dojrzałości fizycznej spowodowało szereg zmian społecznych. Niektóre z nich powinny były nastąpić już wiele pokoleń wcześniej, ale w tamtych epokach nie stawiono czoła wyzwaniom lub też udawano, że nie ma takiej potrzeby. Szczególnie radykalnie zmieniły się normy obyczajów seksualnych, jeśli takie normy kiedykolwiek istniały. Zapewne padły ofiarą dwóch wynalazków, które, jak na ironię, zostały wprowadzone przez człowieka bez żadnej inspiracji ze strony Zwierzchników.

Pierwszym był absolutnie skuteczny doustny środek antykoncepcyjny, drugim równie niezawodna metoda – podobnie jak daktyloskopia, a oparta na analizie krwi – ustalania ojcostwa. Wpływ tych dwóch wynalazków na społeczeństwo można określić jako druzgocący; przekreśliły one całkowicie pozostałości purytańskich dewiacji.

Kolejną wielką zmianą była niezwykła mobilność nowej społeczności. Dzięki sprawności transportu powietrznego każdy mógł błyskawicznie dotrzeć gdzie tylko chciał. Na niebie było więcej miejsca niż niegdyś na drogach i dwudzieste pierwsze stulecie w większej skali powtórzyło sukces Ameryki polegający na dodaniu narodowi kół. Dano światu skrzydła.

Chociaż może nie dosłownie. Zwyczajny prywatny glider lub aerobus w ogóle nie miał skrzydeł i jakichkolwiek zewnętrznych układów sterowniczych. Zniknęły nawet niezgrabne śmigła starych helikopterów. Jednak człowiek jeszcze nie odkrył antygravitacji; jedynie Zwierzchnicy posiadali tę tajemnicę. Aerobusy ludzi korzystały z napędu, którego działanie pojęliby i bracia Wright. Zasada odrzutu stosowanego wprost, tylko w nieco bardziej skomplikowany sposób, poprzez sterowanie zewnętrznymi warstwami strumienia, poruszała glidery i utrzymywała je w powietrzu. Małe, wszędobylskie aerobusy zniosły ostatnie granice między narodami o wiele skuteczniej, niż uczyniłyby to prawa i edykty wydawane przez Zwierzchników.

Zniknęły także sprawy znacznie istotniejsze. Był to wiek absolutnie świecki. Ze wszystkich religii istniejących przed przybyciem Zwierzchników ostał się jedynie zreformowany buddyzm, może najbardziej z nich wszystkich surowy. Wiary opierające swój byt na cudach i objawieniach bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Podupadały już wcześniej, wraz ze wzrostem poziomu wykształcenia, chociaż Zwierzchnicy początkowo nie wypowiadali się na ten temat. Mimo iż często proszono Karellena, aby przedstawił swój pogląd na kwestię religii, jego stanowisko sprowadzało się do tego, że przekonania każdego człowieka są jego prywatną sprawą tak długo, jak długo nie kolidują z wolnością innych.

Być może te stare religie trwałyby jeszcze przez całe pokolenia, gdyby nie ludzka ciekawość. Wiedzano powszechnie, że Zwierzchnicy mają dostęp do przeszłości, i coraz więcej historyków prosiło Karellena o rozstrzygnięcie pewnych zadawnionych sporów. Może zmęczyły go te nagabywania, choć było bardziej prawdopodobne, że doskonale zdawał sobie sprawę ze skutków swojej uprzejmości...

Urządzenie, które przekazał Światowej Federacji Historyków w formie bezzwrotnej pożyczki, było zwyczajnym odbiornikiem telewizyjnym zaopatrzonym w precyzyjny system zapewniający wybór miejsca w czasie i przestrzeni. Musiało ono być w jakiś sposób połączone z daleko bardziej skomplikowaną maszyną działającą na nieznanym nikomu zasadach, a znajdującą się na pokładzie jego statku. Wystarczyło wybrać koordynaty i otwierało się okno na przeszłość. W ten sposób ludzkość uzyskała dostęp do pięćdziesięciu wieków swojej historii. Głębiej machina nie sięgała – jej ekran pozostawał ciemny. Być może działo się tak z naturalnych przyczyn, a może był to skutek cenzury Zwierzchników.

Chociaż żaden racjonalnie myślący człowiek nie mógł sądzić, że *wszystkie* religie mają rację, szok był jednak głęboki. Było to objawienie niepozostawiające jakichkolwiek wątpliwości – za pomocą cudu nauki Zwierzchników widziano początki wszystkich wielkich religii świata. Większość budziła szacunek i dumę, lecz to nie wystarczało. W ciągu kilku dni całe zastępy mesjaszy utraciły boski nimb. W promieniach

bezlitosnego, okrutnego światła prawdy wierzenia, które krzepiły miliony ludzi przez dwa tysiące lat, zniknęły jak poranna rosa. Definiowane przez nie pojęcia dobra i zła odeszły w głęboki mrok przeszłości i przestały mieć wpływ na ludzi.

Ludzkość utraciła starych bogów, a teraz była już na tyle dorosła, że nie potrzebowała nowych.

Chociaż niewielu jeszcze zdawało sobie z tego sprawę, upadkowi religii towarzyszyło podupadanie nauki. Zaprzątnięci nowymi technologiami naukowcy rzadko zapuszczali się poza granice ludzkiej wiedzy. Pozostała ciekawość i chęć jej zaspokajania, lecz stracono zapał do badań podstawowych. Trawienie życia na poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, na które Zwierzchnicy już przed wiekami znaleźli odpowiedź, wydawało się zajęciem jałowym.

Ten schyłek był częściowo maskowany przez niezwykle rozkwit nauk opisowych, takich jak zoologia, botanika i astronomia obserwacyjna. Nigdy przedtem tylu naukowców-amatorów nie zbierało danych dla własnej satysfakcji, ale niewielu teoretyków je zestawiało.

Kres napięć i wszelkiego rodzaju konfliktów oznaczał także koniec prawdziwej sztuki. Rzesze odtwórców, zawodowych i amatorów, przez całe pokolenie nie stworzyły żadnego wybitnego dzieła literackiego, muzycznego, obrazu czy rzeźby. Świat wciąż żył minioną chwałą, która nie mogła wrócić.

Jednak nikogo to nie martwiło, z wyjątkiem paru filozofów. Mieszkańcy Ziemi byli zbyt zajęci konsumowaniem dopiero co uzyskanej swobody, by sięgać wzrokiem poza przyjemności dnia dzisiejszego. W końcu była to utopia i jej świeżości nie skaził jeszcze najgorszy wróg wszelkich utopii – nuda.

Być może Zwierzchnicy mieli odpowiedź i na to, tak jak na wszystkie dotychczasowe problemy. Nikt nie miał pojęcia, tak samo jak pół wieku wcześniej, tuż po ich przybyciu, jaki jest ostateczny cel Zwierzchników. Ludzkość przyzwyczaiła się ufać im i akceptować bez zastrzeżeń nadludzki altruizm, który na tak długo uczynił Karellena i jego towarzyszy wygnańcami z ich planety.

Oczywiście jeżeli to był altruizm. Wciąż jeszcze bowiem byli tacy, którzy zastanawiali się, czy plany Zwierzchników mają zawsze na uwadze pomyślność rasy ludzkiej.

Rozdział 7

Kiedy Rupert Boyce rozsyłał zaproszenia na przyjęcie, odległość od miejsc zamieszkania adresatów robiła wrażenie. Biorąc pod uwagę tylko pierwszy tuzin gości, byli to Fosterowie z Adelajdy, Shoenbergerowie z Haiti, Farranowie ze Stalingradu, państwo Moravia z Cincinnati, Ivankowie z Paryża i Sullivanowie mieszkający zasadniczo w pobliżu Wyspy Wielkanocnej, tyle że cztery kilometry pod powierzchnią oceanu. Sporym komplementem dla Ruperta było to, że choć zaprosił trzydzieścioro gości, pojawiło się ich czterdzieścioro, czego zresztą właściwie oczekiwał. Zawiedli jedynie Krausowie, a to tylko dlatego, że zapomnieli o linii zmiany daty i przybyli dwadzieścia cztery godziny później.

Do południa w parku zebrała się już imponująca kolekcja gliderów i spóźnieni przybysze musieli pokonywać pieszo spory kawał drogi, gdy udało im się wylądować. No, przynajmniej bezchmurne niebo i 43°C w cieniu sprawiały, że spacer nie wydawał im się krótki. Zaparkowane glidery były różnych typów – od jednoosobowych flutterbugów po familijne cadillaki bardziej przypominające powietrzne pałace niż zwykłe maszyny latające – jednak w tej epoce nie można było określić statusu społecznego gościa, patrząc na jego środek transportu.

– To bardzo *brzydki* dom – powiedziała Jean Morrel, gdy meteor schodził po spirali ku ziemi. – Wygląda jak pudełko, na które ktoś nadepnął.

George Greggson, zdradzający staroświecką niechęć do automatycznych systemów lądowania, skorygował ręcznie szybkość opadania i dopiero wtedy przemówił.

– Trudno oceniać jakieś miejsce, patrząc pod *takim* kątem – odparł rozsądnie. – Z Ziemi może to wyglądać zupełnie inaczej. O, do licha!

– O co chodzi?

– Są tu Fosterowie. Ten kolorowy wzorek rozpoznam wszędzie.

– No cóż, jeśli nie chcesz, nie musisz z nimi rozmawiać. To jedna z zalet przyjąć u Ruperta. Zawsze możesz skryć się w tłumie.

George wybrał miejsce do lądowania i schodził w jego kierunku. Wolno spłynęli, by osiąść między innym meteorem a czymś, czego żadne z nich nie potrafiło zidentyfikować. „To wygląda na coś bardzo szybkiego – pomyślała Jean – i bardzo niewygodnego. Pewnie ktoś z technicznych kręgów Ruperta – zdecydowała. – I prawdopodobnie majsterkował sam”. Niejasno przypominała sobie, że wydano jakąś ustawę zabraniającą takich rzeczy.

Kiedy wyszli z glidera, upał uderzył ich jak płomień z miotacza ognia. Skwar wysysał wilgoć z ich ciał i George prawie słyszał, jak z trzaskiem pęka mu skóra. Rzecz jasna, częściowo sami byli sobie winni. Wystartowali z Alaski trzy godziny temu i powinni byli pamiętać o odpowiednim nastawieniu klimatyzacji kabiny.

– Ależ klimacik! – sapnęła Jean. – Myślałam, że tutaj się go kontroluje!

– I tak właśnie jest – odparł George. – Kiedyś była tu pustynia, a spojrz teraz. No, chodźże, wewnątrz będzie lepiej!

Przesadnie wzmocniony głos Ruperta wesoło zahuczał im w uszach. Gospodarz stał przy gliderze ze szklanicą w każdej ręce i z szelmowskim uśmiechem spoglądał na nich z góry. Z góry z tej prostej przyczyny, że mierzył około trzech i pół metra. Był również półprzezroczysty – bez trudu można go było przejrzeć na wylot.

– Ładnie to tak traktować gości? – zaprotestował George. Wyciągnął rękę po drinki, których z trudem mógł dosięgnąć. Jego dłoń oczywiście przeszła przez nie na wylot. – Mam nadzieję, że kiedy wejdziemy do domu, dostaniemy coś konkretniejszego!

– Nie ma obawy – zaśmiał się Rupert. – Powiedzcie tylko, co chcecie, a będzie na was czekało.

– Dwa duże piwa chłodzone ciekłym powietrzem – rzekł pospiesznie George. – Zaraz tam będziemy.

Rupert skinął głową, odłożył jedną ze szklanek na niewidoczny stół, poprawił coś na niewidzialnej tablicy kontrolnej i szybko zniknął im z oczu.

– No, no! – skomentowała Jean. – Pierwszy raz widziałam, jak działa jeden z tych gadżetów. Skąd Rupert go wytrzasnął? Myślałam, że mają je tylko Zwierzchnicy.

– Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby Rupert nie zdobył tego, na co ma ochotę? – odparł George. – Dla niego to po prostu zabawka. Może sobie wygodnie siedzieć w pracowni i jednocześnie włóczyć się po całej Afryce. Bez wysiłku, upału, robactwa i stale z lodówką w zasięgu ręki. Zastanawiam się, co powiedzieliby na to Stanley i Livingstone.

Dalszą rozmowę przerwało słońce, zmuszając ich do milczenia aż do chwili, gdy dotarli do domu. Kiedy podeszli do frontowych drzwi, które z trudem odnaleźli w ścianie ze szkła, te otworzyły się automatycznie przy dźwiękach fanfar. Jean pomyślała, i słusznie, że przed końcem dnia zdąży je serdecznie znienawidzić.

W miłym chłodzie przedsionka powitała ich aktualna pani Boyce. Prawdę powiedziawszy, to właśnie ona była powodem nadmiaru gości. Połowa z nich przybyłaby i tak, chcąc zobaczyć nowy dom Ruperta, a niezdecydowanych zwabiły doniesienia o jego nowej żonie.

Właściwie można ją było określić tylko jednym przymiotnikiem: oszałamiająca. Nawet w świetle, w którym piękno było czymś powszechnie spotykanym, mężczyźni oglądali się za nią, gdy wchodziła do pokoju. George domyślił się, że jest ćwierćkwi Murzynką. Idealne greckie rysy i długie, lśniące włosy były nieco zaskakujące wobec świadczącej o pochodzeniu głęboko ciemnej karnacji, która nieodparcie przywoływała na myśl nadużywane słowo „czekoladowa”.

– To wy jesteście Jean i George, prawda? – powiedziała, wyciągając dłoń. – Miło mi was poznać. Rupert robi coś skomplikowanego z drinkami. Chodźcie i poznajcie resztę gości.

Mówiła głębokim kontraltem wywołującym delikatne dreszcze przebiegające George’owi po plecach, jakby ktoś grał na jego kręgosłupie

jak na flecie. Greggson spojrział nerwowo na Jean, która zdobyła się na nieco wymuszony uśmiech, i w końcu zdołał odzyskać głos.

– Na... nam też miło cię poznać – powiedział z lekkim zająknięciem. – Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na to przyjęcie.

– Rupert zawsze wydaje udane przyjęcia – wtrąciła Jean.

Sposób, w jaki podkreśliła słowo „zawsze”, dawał do zrozumienia, że miała na myśli „zawsze, kiedy się żeni”. George zaczerwienił się lekko i skarcił Jean wzrokiem, ale gospodyni nie dała po sobie poznać, że zrozumiała przytyk. Prowadząc ich do salonu, pełnego już przedstawicieli licznych znajomych Ruperta, była uosobieniem przyjaźni. Sam Rupert siedział za konsolą czegoś, co wyglądało na pulpit sterowniczy systemu telewizji przemysłowej; George domyślił się, że właśnie to urządzenie wytworzyło obraz witającego ich gospodarza. W tej chwili demonstrował sztuczkę, zaskakując kolejną parę przybyłych, którzy wylądowali na parkingu, ale przerwał, by przywitać Jean i George’a oraz przeprosić ich za to, że przeznaczone dla nich napoje oddał komuś innemu.

– Tam jeszcze sporo zostało – powiedział, niedbałym ruchem ręki wskazując gdzieś za siebie, a drugą poprawiając coś na konsoli. – Czujcie się jak u siebie. Znacie większość gości, z pozostałymi zapozna was Maja. Cieszę się, że wpadliście.

– A my cieszymy się, że nas zaprosiłeś – powiedziała Jean, jednak bez większego przekonania.

George ruszył już w stronę baru, więc poszła za nim, wymieniając pozdrowienia z kimś, kogo rozpoznała. Mniej więcej trzy czwarte obecnych nie znało się, co na przyjęciach Ruperta było normalnym stanem rzeczy.

– Rozejrzyjmy się – powiedziała do George’a, kiedy już się napili i pomachali do każdego, kogo znali. – Chciałabym obejrzeć dom.

George, bezskutecznie usiłując ukryć fakt, że oglądał się za Mają Boyce, podążył za nią. Jego oczy miały ten nieobecny wyraz, który Jean nigdy się nie podobał. Kłopot w tym, że mężczyzna jest z natury poligamistą. Choć z drugiej strony, gdyby było inaczej... No cóż, może i dobrze, że tak jest.

Kiedy oglądali nową siedzibę Ruperta, George szybko wrócił do rzeczywistości. Dom wydawał się zbyt duży dla dwojga ludzi, lecz w sam raz, jeśli się wzięło pod uwagę to, że często musiał pomieścić całe hordy gości. Miał dwie kondygnacje, przy czym wyższa była obszerniejsza, tak że wystawała poza obrys parteru, ocieniając go. Budynek był w znacznym stopniu zmechanizowany, a kuchnia przypominała kabinę pilotów w naddźwiękowym liniowcu pasażerskim.

– Biedna Ruby – rzekła Jean. – Pokochałaby to miejsce.

– Z tego, co słyszałem – odparł George, który nie darzył przesadną sympatią poprzedniej pani Boyce – jest całkiem szczęśliwa z tym swoim australijskim przyjacielem.

Fakt ten był powszechnie znany i Jean nie bardzo mogła oponować, więc zmieniła temat.

– Jest strasznie ładna, prawda?

Jednak George miał się na baczności.

– Tak sędzę – odparł obojętnie. – To znaczy, oczywiście, jeśli ktoś lubi brunetki.

– Których ty, zakładam, nie lubisz – powiedziała słodkim głosem Jean.

– Kochanie, nie bądź zazdrosna – zachichotał Greggson, muskając dłonią jej platynowe włosy. – Chodźmy obejrzeć bibliotekę. Jak myślisz, gdzie jest?

– Gdzieś na górze. Na dole nie ma już pokoiów. Co zresztą zgadza się z ogólnym założeniem projektanta. Całe życie, jedzenie, spanie i tak dalej przeniesiono na parter. Tu, gdzie się znajdujemy, jest strefa gier i zabaw, choć myślę, że umieszczenie basenu na piętrze to zwariowany pomysł.

– Przypuszczam, że jest ku temu jakiś powód – rzekł George, na chybił trafił otwierając różne drzwi. – Rupert musiał mieć dobrego doradcę, kiedy budował ten dom. Jestem pewien, że sam nie dałby sobie z tym rady.

– Chyba masz rację. Gdyby robił to sam, pokoje nie miałyby drzwi, a schody prowadziły donikąd. Naprawdę bałabym się wejść do domu zaprojektowanego przez Ruperta.

– A tuś mi! – powiedział George z dumą nawigatora, któremu udało się lądowanie. – Bajeczna kolekcja Boyce’a w jego nowej siedzibie. Zastanawiam się, ile z nich Rupert naprawdę przeczytał.

Biblioteka zajmowała całą szerokość domu, ale wielkie regały dzieliły ją na pół tuzina pokoi. Składała się, jeśli Greggson dobrze pamiętał, z około piętnastu tysięcy tomów zawierających wszystko, co kiedykolwiek opublikowano na temat czarnej magii, psychotroniki, prekognicji, telepatii i całego wachlarza nieokreślonych fenomenów zaliczanych do kategorii zjawisk parapsychicznych. Było to dość szczególne hobby jak na kogoś żyjącego w wieku rozumu. Choć może po prostu była to dla Ruperta szczególna forma ucieczki od rzeczywistości.

George odnotował ten zapach, gdy tylko weszli. Był słaby, ale wyczuwalny, nie tyle nieprzyjemny, ile niezwykły. Jean również go poczuła i zmarszczyła brwi, z trudem próbując określić jego źródło.

„Ta woń chyba najbardziej przypomina kwas octowy – pomyślał Greggson. – Chociaż zmieszany z czymś jeszcze...”

Na końcu biblioteki znajdowała się mała pusta przestrzeń wystarczająca, by pomieścić stół, dwa fotele i kilka poduszek. Zapewne tutaj Rupert spędzał większość czasu, oddając się lekturze. Teraz też ktoś tu siedział, czytając przy nienaturalnie przyćmionym świetle.

Jean gwałtownie wstrzymała oddech i złapała George’a za rękę. Jej reakcja była częściowo zrozumiała. Co innego oglądać coś na ekranie telewizora, a co innego spotkać się z tym naprawdę. George, który rzadko dziwił się czemukolwiek, i tym razem stanął na wysokości zadania.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy panu – powiedział uprzejmym tonem. – Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś tu jest. Rupert nas nie uprzedził...

Zwierzchnik odłożył książkę, spojrzał na nich uważnie i powrócił do lektury. W goście tym nie było niczego obraźliwego, ponieważ wykonał go ktoś, kto potrafił czytać, rozmawiać i prawdopodobnie robić jeszcze kilka innych rzeczy jednocześnie. Ale, mimo wszystko, dla ludzkich obserwatorów był to widok nieco denerwujący.

– Nazywam się Rashaverak – rzekł uprzejmie Zwierzchnik. – Obawiam się, że nie jestem zbyt towarzyski, ale biblioteka Ruperta to miejsce, które trudno opuścić, kiedy już się do niego weszło.

Jean udało się powstrzymać nerwowy chichot. Nieoczekiwany gość czytał, jak zauważyła, z szybkością mniej więcej strony na dwie sekundy. Nie wątpiła, że nie opuszcza ani słowa, i przez chwilę zastanawiała się, czy potrafiłby czytać dwie książki równocześnie, każdą jednym okiem. A ponadto nauczyć się brajla, aby znaleźć zajęcie dla palców. Ta wizja była zbyt zabawna, by mogła utrzymać powagę, próbowała więc o niej zapomnieć, rozpoczynając rozmowę. Mimo wszystko nie codziennie nadarza się okazja do pogawędki z jednym z władców Ziemi.

George przedstawił ich i pozwolił jej szczebiotać, mając tylko nadzieję, że nie powie niczego nietaktownego. Podobnie jak Jean, nigdy jeszcze nie stanął oko w oko ze Zwierzchnikiem. Chociaż na gruncie towarzyskim spotykali się oni z urzędnikami państwowymi, naukowcami oraz innymi ludźmi, z którymi mieli do czynienia, załatwiając różne sprawy, George nie słyszał, by któryś z nich dał się namówić na udział w zwyczajnym przyjęciu. Jedynym wyjaśnieniem mógł być niezupełnie prywatny charakter tego spotkania. Wskazywał na to również fakt, że Rupert posiadał aparat należący do wyposażenia Zwierzchników. Połączywszy jedno z drugim, George zaczął się poważnie zastanawiać, o co tu chodzi. Będzie musiał pociągnąć Ruperta za język, kiedy przydybie go gdzieś samego.

Ponieważ krzesła były dla niego zbyt małe, Rashaverak siedział na podłodze. Najwidoczniej było mu tam bardzo wygodnie, bo zignorował leżące obok poduszki. W rezultacie głowę miał zaledwie dwa metry nad podłogą i George miał niepowtarzalną okazję poznać biologię pozaziemskiej istoty. Niestety niewiele wiedział o biologii istot zamieszkujących Ziemię, więc w tej sytuacji nie mógł dowiedzieć się niczego nowego. Jedyną nową dla niego rzeczą był ów szczególny, kwaśny zapach. Zastanawiał się, jak też Zwierzchnicy odbierają woń ludzi, i miał nadzieję, że lepiej.

Rashaverak nie miał żadnych cech, które można by uznać za ludzkie. George zrozumiał, dlaczego prymitywne, wystraszone dzikusy, widząc z daleka Zwierzchników, mogły ich wziąć za uskrzydłych ludzi. W ten sposób powstały typowe portrety diabła. Tymczasem oglądając obcego z bliska, obserwator natychmiast pozbyłby się przynajmniej części złudzeń. Małe rogi (George zastanawiał się, do czego mogły służyć) stanowiły pewną cechę szczególną, ale ciało nie przypominało ciała człowieka ani żadnego ziemskiego zwierzęcia. Pochodzący z zupełnie innego drzewa ewolucji Zwierzchnicy nie byli ani ssakami, ani owadami, ani gadami. Nie było nawet pewności, że są kręgowcami – ich twardy pancerz mógł równie dobrze być egzoszkieletem.

Skrzydła Rashaveraka były złożone i George nie mógł ich dobrze obejrzeć, lecz ogon, wyglądający jak kawał opancerzonego gumowego węża, leżał ciasno zwinięty u jego stóp. Słynny kolec bardziej przypominał duży, spłaszczony diament niż grot strzały. Powszechnie przyjmowano, że służył do stabilizowania lotu, podobnie jak lotki ogonowe ptaków. Z niewielu faktów oraz podobnych przypuszczeń naukowcy wywnioskowali, że Zwierzchnicy pochodzą z planety o niskim ciężeniu i bardzo gęstej atmosferze.

Z ukrytego głośnika rozległ się nagle głos Ruperta.

– Jean! George! Gdzie się ukrywacie, u licha? Zejdźcie na dół i przyłączcie się do zabawy. Ludziska zaczynają plotkować.

– Ja też już chyba lepiej pójdę – powiedział Rashaverak, odkładając książkę na półkę.

Zrobił to bez wysiłku, nie podnosząc się z podłogi. Dopiero wtedy George zauważył, że Zwierzchnik ma u każdej dłoni dwa przeciwstawne kciuki, a między nimi po pięć palców. „Wolałbym niczego nie liczyć – rzekł w duchu – systemem czternastkowym”.

Wstający Rashaverak stanowił widok godny uwagi, lecz kiedy nachylił się, aby nie uderzyć głową o sufit, stało się oczywiste, że nawet gdyby jego współplemieńcy mieli zamiar żyć wśród ludzi, napotkaliby niemałe trudności praktyczne.

Przez ostatnie pół godziny przybyło jeszcze kilkanaście osób i pokój był solidnie zatłoczony. Pojawienie się Rashaveraka jeszcze pogorszyło sytuację, ponieważ wszyscy goście znajdujący się w sąsiednich pokojach przybiegli, aby go zobaczyć. Rupert oczywiście świetnie się bawił. Jean i George byli znacznie mniej zadowoleni, gdyż nikt ich nie zauważył. Właściwie niewielu ludzi mogło ich spostrzec, stali bowiem za Zwierzchnikiem.

– Chodź tu, Rasy, i poznaj trochę wiary! – ryknął Rupert. – Siadaj na otomanie, przestaniesz wtedy robić rysy na suficie.

Rashaverak z przerzuconym przez ramię ogonem przemierzył salon jak lodolamacz przebijający się przez lodową kaszę. Kiedy usiadł obok Boyce'a, pokój odzyskał dawne rozmiary i George odetchnął z ulgą.

– Kiedy stał, miałem atak klaustrofobii. Zastanawiam się, jak Rupert go namówił. To mnie najbardziej interesuje.

– Tylko pomyśl! Rupert publicznie zwracający się tak poufale do Zwierzchnika! Ale on najwyraźniej nie ma nic przeciw temu. To bardzo dziwne.

– Założę się, że on jednak ma coś przeciw temu. Problem z Rupertem polega na tym, że lubi, by o nim mówiono, i nie ma za grosz wycucia i taktu. A to mi przypomina niektóre twoje pytania!

– Jakie?

– Na przykład: „Jak długo pan tu jest? Jak pan sobie radzi z Kontrolerem Karellem? Czy podoba się panu na Ziemi?”. Proszę cię, kochanie! W ten sposób nie rozmawia się ze Zwierzchnikiem!

– Nie wiem dlaczego. Właśnie przed chwilą ktoś tak do jednego z nich mówił.

Zanim dyskusja stała się zbyt ożywiona, podeszli do nich Shoenbergerowie i niebawem nastąpił podział na pary. Panie poszły w jedną stronę porozmawiać o pani Boyce, a panowie w drugą robić dokładnie to samo, choć z zupełnie innego punktu widzenia. Benny Shoenberger, który był jednym z najstarszych przyjaciół George'a, miał sporo informacji na ten temat.

- Na miłość boską, nie mów tego nikomu - zastrzegł - ale to ja przedstawiłem ją Rupertowi.

- Myślę - zauważył z pewną dozą zazdrości George - że ona jest za dobra dla Ruperta. Tak czy owak, to nie potrwa długo. Ona wkrótce się nim znudzi.

Ta myśl wyraźnie poprawiła mu humor.

- Nie wierz w to! Oprócz tego, że jest piękna, jest naprawdę miła. Najwyższy czas, by ktoś zajął się wychowaniem Ruperta, i ona jest odpowiednią osobą.

Teraz zarówno Maja, jak i Rupert siedzieli obok Rashaveraka, uroczyście przyjmując gratulacje. Przyjęcia u Boyce'a rzadko skupiały się wokół jednego punktu, najczęściej rozpadały się na kilka mniejszych grup zajętych własnymi sprawami. Tym razem jednak wszyscy zebrali się wokół centrum zainteresowania. George'owi zrobiło się trochę przykro ze względu na Maję. To powinien być jej dzień, ale Rashaverak częściowo usunął ją w cień.

- Słuchaj - powiedział, nadgryzając kanapkę. - Jak, u licha, Rupert ściągnął tu Zwierzchnika? To niesłychane, tymczasem on zachowuje się, jakby to było normalne. Nawet o nim nie wspomniał, kiedy nas zapraszał.

Benny zachichotał.

- To po prostu jedna z jego małych niespodzianek. Lepiej zapytaj go o to sam. Ale mimo wszystko to nie pierwszy taki wypadek. Karellen bywał już na przyjęciach w Białym Domu i w pałacu Buckingham i...

- Tam do licha! To całkiem co innego. Rupert jest przecież prywatną osobą.

- Może i Rashaverak jest bardzo mało znaczącym Zwierzchnikiem? Sam ich o to zapytaj.

- Zrobię tak - obiecał George - jak tylko dopadnę Ruperta samego.

- No to będziesz musiał długo poczekać.

Benny miał rację, ale ponieważ przyjęcie się rozkręcało, czekanie nie było takie przykre. Lekkie skrępowanie wywołane obecnością Rashaveraka szybko ustąpiło. Wokół Zwierzchnika tłoczyła się jeszcze

grupka gości, lecz gdzie indziej doszło już do zwyczajowych podziałów i wszyscy zachowywali się naturalnie. Na przykład Sullivan opowiadał zaciekawionym słuchaczom o swojej ostatniej wyprawie łodzią podwodną.

– Jeszcze nie jesteśmy pewni – mówił – jakie są ich naturalne granice wzrostu. W pobliżu naszej bazy jest kanion, w którym żyje prawdziwy gigant. Kiedyś miałem okazję dobrze mu się przyjrzeć i oceniam rozpiętość jego macek na jakieś trzydzieści metrów. Poszukam go w przyszłym tygodniu. Czy ktoś chciałby mieć takie nowe domowe zwierzątko?

Jedna z kobiet pisnęła przerażona.

– Och! Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki! Pan musi być okropnie odważny!

Sullivan wyglądał na zaskoczonego.

– Nigdy tak o tym nie myślałem – powiedział. – Rzecz jasna, odpowiednio się zabezpieczam, ale tak naprawdę nigdy nic mi nie groziło. Kalmary wiedzą, że nie należę do ich pożywienia, i dopóki nie podchodzę zbyt blisko, nie zwracają na mnie uwagi. Większość mieszkańców morza nie ruszy człowieka, jeśli on ich nie niepokoi.

– Jednak prędzej czy później – rzekł ktoś – trafi pan na takiego, który uzna, że jest pan jadalny.

– Och – odparł beztrąsko Sullivan – takie rzeczy czasem się zdarzają. Staram się nie robić im krzywdy, bo mimo wszystko liczę, że zostaniemy przyjaciółmi. Tak więc dodaję wtedy gazu i zazwyczaj po minucie lub dwóch zostają w tyle. A jeśli jestem zbyt zajęty na takie zabawy, mogę potraktować natręta kilkoma setkami woltów. To załatwia sprawę i więcej mi się nie narzuca.

„Na przyjęciach u Ruperta można zawsze spotkać interesujących ludzi” – pomyślał George, przechodząc do następnej grupy. Literackie gusta Boyce’a mogły być dość szczególne, ale sieci przyjaźni zarzucał daleko i szeroko. Nawet nie rozglądając się, Greggson widział słynnego producenta filmowego, pomniejszego kalibru poetę, matematyka, dwóch aktorów, projektanta reaktorów atomowych, przewodnika safari, wydawcę tygodnika, statystyka pracującego dla Banku Światowego,

wirtuoza skrzypiec, profesora archeologii i astrofizyka. Nie było drugiego przedstawiciela profesji George'a, który pracował jako scenograf w telewizji, co – jak uważał – świetnie się składało, bo pozwalało mu oderwać się od problemów zawodowych. Lubił swoją pracę, zresztą w tej epoce po raz pierwszy w historii ludzkości nikt nie robił tego, czego nie chciał robić. Mimo to każdego dnia po zakończeniu pracy lubił psychicznie zamykać za sobą drzwi studia.

Wreszcie dopadł Ruperta w kuchni, gdzie ten eksperymentował z drinkami. Wydawało się, że sprowadzenie gospodarza na ziemię w chwili, gdy jego oczy miały ten nieobecny wyraz, jest okrucieństwem, lecz George w razie potrzeby umiał być bezwzględny.

– Słuchaj, Rupert – zaczął, przysiadając na najbliższym stole – myślę, że jesteś nam winien jakieś wyjaśnienie.

– Mhm... – mruknął Boyce, z nabożeństwem oblizując wargi końcem języka. – Obawiam się, że odrobinę zbyt dużo dżinu.

– Nie wymiguj się i nie udawaj zalanego, bo doskonale wiem, że jesteś trzeźwy. Skąd się tu wziął twój przyjaciel Zwierzchnik i co on tutaj robi?

– Nie mówiłem ci? – zdziwił się Rupert. – Myślałem, że powiedziałem wszystkim. Nie było was tu... No tak, ukrywaliście się w bibliotece. – Zachichotał w sposób, który George uznał za obraźliwy. – Wiesz, to ta biblioteka ściągnęła Rashy'ego.

– Niesamowite!

– Dlaczego?

George chwilowo powstrzymał się od komentarzy, wiedząc, że sytuacja wymaga sporo taktu. Boyce był bardzo dumny ze swojej specyficznej kolekcji.

– No wiesz, jeśli wziąć pod uwagę naukowe osiągnięcia Zwierzchników, trudno mi sobie wyobrazić, że interesują ich fenomeny psychiczne i te inne bzdury.

– Bzdury czy nie – odrzekł Rupert – interesuje ich psychologia, a ja mam tu kilka książek, z których mogą się dowiedzieć wielu rzeczy. Na krótko przed moją przeprowadzką tutaj skontaktował się ze mną jakiś podsekretarz czy nadsekretarz Zwierzchników i zapytał, czy nie

zechciałbym im pożyczyć około pięćdziesięciu moich najrzadszych woluminów. Naprowadził ich na mnie jeden z pracowników biblioteki British Museum. Oczywiście domyślasz się, jak zareagowałem.

– Nie mam pojęcia.

– Cóż... bardzo uprzejmie odpowiedziałem, że gromadziłem te zbiory dwadzieścia lat. Miło mi będzie, jeśli zechcą studiować moje książki, ale, do cholery, będą je musieli czytać na miejscu. No więc Rashy przybył tu i pożera mniej więcej dwadzieścia tomów dziennie. Bardzo chciałbym wiedzieć, co on z tym pocznie.

George przez chwilę zastanawiał się, a potem z niesmakiem wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc – rzekł – Zwierzchnicy sporo stracili w moich oczach. Myślałem, że potrafią lepiej spożytkować swój czas.

– Jesteś niepoprawnym materialistą, prawda? Chociaż nie sądzę, żeby Jean zgodziła się z tym bez zastrzeżeń. Jednak nawet z twojego, tak zwanego „praktycznego” punktu widzenia ma to swój sens. Na pewno sam chciałbyś poznać przesady każdej prymitywnej rasy, z jaką miałbyś do czynienia.

– Pewnie tak – odpowiedział nie w pełni przekonany George.

Kant stołu był dość twardy, więc zszedł na podłogę. Rupert wreszcie zmieszał drinka, który mu posmakował, i chciał ruszyć do gości głośno domagających się jego powrotu.

– Hej! – zaprotestował Greggson. – Zanim znikniesz, mam jeszcze jedno pytanie. Jak udało ci się zdobyć ten nadajnik, którym próbowałeś nas nastraszyć?

– Trochę się potargowałem. Wykazałem, że przyda mi się w pracy, i Rashy przekazał sprawę w odpowiednie ręce.

– Wybacz, że jestem taki tępy, ale czym ty się teraz właściwie zajmujesz? Oczywiście przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze zwierzętami.

– Słusznie. Jestem starszym weterynarzem. Moja praktyka obejmuje jakieś dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli, a ponieważ

pacjenci do mnie nie przychodzą, muszę sam ich szukać.

– To ci pewnie zajmuje sporo czasu.

– Och, oczywiście nie zajmuję się drobnicą. Tylko lwy, słonie, nosorożce i tak dalej. Codziennie rano wypuszczam aparat na wysokość około stu metrów, siadam przed ekranem i ruszam na wycieczkę po okolicy. Kiedy widzę, że ktoś ma kłopoty, włączę do glidera z nadzieją, iż moje samarytańskie zamiary spotkają się z miłym przyjęciem. Czasem jest to dość kłopotliwe. Lwy i ich krewni to prosta sprawa, ale na przykład uśpienie nosorożca strzałem z góry to piekielna robota.

– Rupert! – wrzasnął ktoś z sąsiedniego pokoju.

– No i popatrz, co narobiłeś! Przez ciebie zapomniałem o gościach! Masz, bierz tę tacę. Tamte są z wermutem, nie chcę, żeby się pomieszały.

Dopiero pod wieczór George zdołał wymknąć się na dach. Z kilku powodów bolała go głowa i od dawna miał ochotę uciec od panujących na dole hałasu i zamieszania. Jean, tańcząca znacznie lepiej od niego, nadal świetnie się bawiła i nie chciała z nim wyjść. George, którego alkohol nastroił amoroso, postanowił samotnie podążyć się w blasku gwiazd.

Na dach można było się dostać, wjeżdżając ruchomymi schodami na piętro, a potem korzystając ze spiralnych schodów biegnących wokół komina aparatury klimatyzacyjnej i kończących się wąskim lukiem. Z jednej strony płaskiego, szerokiego dachu znajdował się parking glidera należącego do Ruperta, na środku nieco zapuszczony ogród, a po drugiej stronie – taras z kilkoma leżakami do obserwacji nieba. George opadł na jeden z nich i rozejrzał się wokół niczym Cezar. Czuł się absolutnym panem wszystkiego, co widział.

A widok był, bez przesady, imponujący. Dom Ruperta wznosił się na skraju wielkiego uskoku, który opadając ku wschodowi, przechodził pięć kilometrów dalej w krainę bagien i jezior. Od zachodu teren był płaski i dżungla docierała prawie do kuchennych drzwi domostwa. Jednak za jej pasem, w odległości co najmniej pięćdziesięciu kilometrów, z północy na południe przebiegał łańcuch górski przypominający wysoką ścianę.

Wierzchołki gór przyprószył śnieg, a unoszące się nad nimi chmury płonęły czerwienią, gdy słońce odbywało ostatnie kilka minut swej codziennej wędrówki.

Spoglądający na tę scenę George nagle wytrzeźwiał i serce ścisnął mu dziwny niepokój. Gwiazdy, które z niesamowitą szybkością pojawiły się na niebie, były mu zupełnie nieznanne. Spróbował odszukać Krzyż Południa, ale bezskutecznie. Chociaż niewiele wiedział o astronomii, potrafił rozpoznać kilka gwiazdozbiorów i nieobecność starych znajomych mocno go zirytowała. Podobnie jak niepokojąco bliskie odgłosy dochodzące z dżungli. „Wystarczy już tego świeżego powietrza – pomyślał. – Wrócę na przyjęcie, zanim nietoperz wampir lub jakieś inne, równie miłe stworzenie przyleci tu, aby się rozejrzeć”.

Ruszył z powrotem, lecz wtedy z luku wyłonił się kolejny gość. Było już ciemno i George, nie mogąc go rozpoznać, zawołał:

– Proszę tutaj! Pan także ma dość?

Mężczyzna zaśmiał się.

– Rupert zaczyna wyświetlać swoje filmy. Widziałem już wszystkie.

– Chce pan papierosa?

– Dziękuję.

W świetle płomienia zapalniczki – George przepadał za takimi antykami – rozpoznał swojego rozmówcę: uderzająco przystojnego młodego Murzyna, którego imię zapomniał zaraz po tym, jak ktoś mu go przedstawił, tak samo zresztą jak imiona dwudziestu innych osób na tym przyjęciu. Jednak dostrzegł w mężczyźnie coś znajomego i nagle domyślił się prawdy.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli okazję poznać się bliżej, ale czy nie jest pan nowym szwagrem Ruperta?

– Nie da się zaprzeczyć. Jestem Jan Rodricks. Wszyscy mówią, że Maja i ja jesteśmy do siebie podobni.

George przez chwilę zastanawiał się, czy nie złożyć Janowi wyrazów współczucia z powodu nowego członka rodziny. Jednak pomyślał, że lepiej

będzie, jeśli biedak sam odkryje prawdę; a zresztą było możliwe, że tym razem Rupert wsiąknie na dobre.

– Jestem George Greggson. Pan pewnie pierwszy raz na jednym ze słynnych przyjęć Ruperta?

– Tak. W ten sposób można poznać sporo ludzi.

– I nie tylko ludzi – dodał George. – Po raz pierwszy miałem okazję spotkać Zwierzchnika na gruncie towarzyskim.

Rodricks zawahał się i George zaczął się zastanawiać, w jakiż to czuły punkt trafił. Odpowiedź niczego nie wyjaśniła.

– Nie widziałem przedtem żadnego z nich, oczywiście nie licząc tych oglądanych w telewizji.

Rozmowa się nie kleiła i George szybko się zorientował, że Jan chciałby zostać sam. Zresztą i tak zrobiło się chłodno. Pożegnał się i dołączył do reszty towarzystwa.

Dżungla ucichła i kiedy Jan oparł się o obłą ścianę nawiewu, jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał, był stłumiony szum mechanicznych płuc domu. Był bardzo samotny i właśnie tak chciał się czuć. Był także bardzo zdenerwowany, a tego wcale nie pragnął.

Rozdział 8

Żadna utopia nie zadowoli wszystkich. Gdy warunki życiowe człowieka poprawiają się, podnosi poprzeczkę i nie zadowala się już władzą ani stanem posiadania, które kiedyś wydawały mu się niemożliwym do spełnienia marzeniem. Nawet kiedy osiągnie już wszystko, co mógł mu zaoferować świat, pozostają jeszcze głębie umysłu i tęsknoty serca.

Jan Rodricks, chociaż rzadko z czegokolwiek się cieszył, w poprzedniej epoce byłby jeszcze bardziej niezadowolony. Sto lat wcześniej kolor skóry byłby dla niego ogromną, może nawet decydującą przeszkodą. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Poczucie przewagi, jakie ze zrozumiiałych względów mieli Murzyni na początku dwudziestego pierwszego wieku, dawno zniknęło. Wygodne słowo „czarnuch” nie było już towarzyskim tabu, używano go powszechnie i bez skrępowania. Nie miało bardziej emocjonalnego zabarwienia niż takie określenia, jak republikanin, metodysta, konserwatysta czy liberał.

Ojcem Jana był uroczy, ale nieco niezaradny Szkot, który zdobył sławę jako zawodowy iluzjonista. Jego przedwczesna śmierć w wieku czterdziestu pięciu lat wiązała się z nadmiernym spożyciem najbardziej znanego produktu wytwarzanego w jego ojczyźnie. Chociaż Jan nigdy nie widział ojca pijanego, nie mógł także powiedzieć, by kiedykolwiek widział go trzeźwego.

Pani Rodricks, jak najbardziej żywa, wykladała zaawansowaną teorię prawdopodobieństwa na uniwersytecie w Edynburgu. Niezwykła ruchliwość ludzi dwudziestego pierwszego wieku była powodem tego, że czarnoskóra pani Rodricks urodziła się w Szkocji, podczas gdy jej jasnowłosy mąż wyemigrował i większość życia spędził na Haiti. Maja i Jan nigdy nie mieli normalnego domu, lecz krążyli jak piłeczki pingpongowe między rodzinami rodziców. Okazało się to niezłą zabawą,

ale w wyniku tego oboje wykazywali pewną chwiejność emocjonalną odziedziczoną po ojcu.

Dwudziestosiedmioletni Jan miał jeszcze przed sobą kilka lat studiów, zanim podejmie decyzję o wyborze kariery. Egzamin licencjacki zdał bez trudu, zgodnie z programem, który jeszcze sto lat wcześniej wydawałby się raczej niezwykły. Przedmiotami głównymi były matematyka i fizyka, a uzupełniającymi filozofia i kompozycja muzyczna. Nawet według surowych kryteriów swoich czasów Jan był również pierwszorzędnym pianistą.

Za trzy lata zrobi doktorat z fizyki stosowanej i astronomii. Będzie to wymagało sporo pracy, ale Janowi to odpowiadało. Studiował na uczelni, która chyba nie bez kozery cieszyła się sławą najpiękniej położonej szkoły wyższej na świecie – był nią Uniwersytet Kapsztadzki znajdujący się u stóp Góry Stołowej.

Jan nie miał kłopotów materialnych, ale był rozgoryczony i nie widział możliwości zmiany tego stanu rzeczy. Szczęście Mai, chociaż w żadnym wypadku nie miał do niej o to żalu, jeszcze pogarszało sytuację, gdyż przypominało o głównej przyczynie jego kłopotów.

Jan cierpiał bowiem w wyniku romantycznego złudzenia – powodu tyłu nieszczęść i tyłu napisanych wierszy – że człowiek tylko raz w życiu spotyka prawdziwą miłość. Zakochał się pierwszy raz bardzo późno jak na normalnego mężczyznę, obdarzając uczuciem damę znaną raczej z urody niż ze stałości. Rosita Tsien twierdziła, zresztą słusznie, że w jej żyłach płynie krew mandzurskich cesarzy. Nadal miała wielu wiernych poddanych, do których zaliczała się większość studentów Wydziału Nauk Ścisłych w Kapsztadzie. Jan padł ofiarą jej delikatnej urody egzotycznego kwiatu i sprawy zaszły na tyle daleko, że zerwanie było tym boleśniejsze. Nie miał pojęcia, co się właściwie stało.

W końcu się z tym pogodzi, oczywiście. Inni mężczyźni wychodzili z takich katastrof bez większego uszczerbku i po pewnym czasie mogli nawet mówić: „Jestem pewien, że tak naprawdę nigdy mi na niej nie zależało!”. Jednak chwila, kiedy będzie w stanie traktować całą sprawę

z odpowiednim dystansem, jeszcze nie nadeszła i Jan był bardzo niezadowolony z życia.

Druga przyczyna ponurego nastroju Jana mogła być nawet trudniejsza do usunięcia, ponieważ był nią wpływ Zwierzchników na jego ambicje. Jan był romantykiem z krwi i kości. Odkąd stało się jasne, że dokonano podboju przestworzy, podobnie jak wielu innych młodych ludzi skierował swoje marzenia i tęsknoty ku niezbadanym otchłaniom kosmosu.

Sto lat wcześniej człowiek stanął na pierwszym szczeblu drabiny wiodącej do gwiazd. I oto w tej samej chwili – czy mógł to być przypadek? – zatrzaśnięto mu przed nosem drzwi do innych światów. Zwierzchnicy zakazywali niewielu rzeczy – chyba najważniejszy był zakaz prowadzenia wojen – ale badania w dziedzinie astronautyki praktycznie ustały. Wyzwanie rzucone przez naukę Zwierzchników było zbyt wielkie. Człowiek stracił zapał, przynajmniej na pewien czas, i skierował swoją aktywność w innych kierunkach. Nie widziano sensu w konstruowaniu rakiet, skoro Zwierzchnicy dysponowali nieporównanie lepszymi napędami opartymi na zasadach, których nigdy nie zdradzili.

Kilkuset ludzi odwiedziło Księżyc, aby zbudować tam obserwatorium astronomiczne. Latali wówczas małym, napędzanym silnikami raketowymi statkiem pożyczonym od Zwierzchników. Mimo iż właściciele przekazali go, nie stawiając żadnych warunków wścibskim ziemskim naukowcom, nie ulegało wątpliwości, że badając tak prymitywny pojazd, niewiele można się dowiedzieć.

W ten sposób człowiek stał się więźniem własnej planety. Była to dużo miłsza, ale i znacznie mniejsza planeta niż przed stu laty. Od kiedy za sprawą Zwierzchników zniknęły wojny, głód i choroby, zniknęła także przygoda.

Wschodzący księżyc zaczął malować niebo na wschodzie bladomleczną poświatą. Jan wiedział, że gdzieś tam, w okolicach Plutona, znajduje się baza Zwierzchników. Chociaż ich statki zaopatrzeniowe musiały przybywać i odlatywać od ponad siedemdziesięciu lat, dopiero za życia Jana ujawnili ten fakt i sprawili, że manewry tych jednostek były widoczne z Ziemi. Teleskop o pięciusetmilimetrowej ogniskowej pozwalał

wyraźnie dostrzec wielkie cienie, jakie w porannych lub wieczornych promieniach słońca rzucały na księżycowe równiny. Ponieważ wszystko, co robili Zwierzchnicy, niezmiernie intrygowało ludzi, systematycznie obserwowano przyloty i odloty statków, powoli stwierdzając pewne prawidłowości, jakie tym rządziły. Przed kilkoma godzinami jeden z tych wielkich cieni zniknął. Jan wiedział, co to oznacza: gdzieś w pobliżu Księżyca statek Zwierzchników, zgodnie ze swym tajemniczym rozkładem, szykował się do podróży ku odległemu, nieznanemu domowi.

Nigdy nie udało mu się zauważyć momentu startu. W sprzyjających warunkach spektakl ten mogło oglądać pół świata, ale Jan zawsze miał pecha. Startu nie dawało się przewidzieć, a Zwierzchnicy nie podawali jego terminu do wiadomości. Jan postanowił, że poczeka jeszcze dziesięć minut, a potem zejdzie na przyjęcie.

A to co? Tylko meteor przecinający rejony Erydanu. Jan rozluźnił się, stwierdził, że zgasł mu papieros, i zapalił następnego.

Wypalił go do połowy, gdy w odległości pół miliona kilometrów uruchomiono gwiazdny silnik. Z samego serca rozszerzającej się mgławicy księżycowej poświaty wystrzeliła ku zenitowi maleńka iskierka. Wspinając się wciąż, lśniła coraz intensywniej, aż nagle znikła. Po chwili pojawiła się znowu, nadal nabierając szybkości i blasku. Pulsując miarowo, z rosnącą prędkością sunęła w głąb nieba, rysując jasną linię światła na tle gwiazd. Nawet komuś, kto nie miał pojęcia, w jakiej znajduje się odległości, wrażenie pędu zapierało dech w piersi. A gdy wiedziało się, że odlatujący statek jest gdzieś za Księżycem, w głowie kręciło się na myśl o związanej z tym energii i szybkości.

Jan wiedział, że to, co teraz ogląda, jest ubocznym efektem zastosowania tej energii. Sam statek był już niewidoczny i znajdował się gdzieś daleko przed tym wznoszącym się światłem. Tak jak lecący wysoko odrzutowiec pozostawia za sobą smugę rozrzedzonego powietrza, tak oddalający się statek Zwierzchników zostawiał swój szczególny ślad. Powszechnie przyjęta teoria – niebudząca większych wątpliwości – głosiła, że niesamowite przyspieszenie gwiazdznego silnika powodowało lokalne zniekształcenia przestrzeni. Jan miał świadomość, że to, na co patrzy, jest

światłem dalekich gwiazd zebranych i zogniskowanych tam, gdzie wzdłuż śladu powstały po temu odpowiednie warunki. Był to widomy dowód słuszności teorii względności – ugięcie światła spowodowane kolosalnym polem grawitacyjnym.

Teraz koniec tej ogromnej soczewki mającej kształt ołówka zdawał się poruszać wolniej, lecz i to było złudzeniem spowodowanym perspektywą. W rzeczywistości statek nieustannie zwiększał szybkość – po prostu ślad jego lotu skracał się, w miarę jak kolos oddalał się ku gwiazdom. Jan wiedział, że na statek skierowano w tej chwili wiele teleskopów, ponieważ ziemscy naukowcy nadal usiłowali odkryć tajemnicę jego napędu. Opublikowano już dziesiątki prac na ten temat i Zwierzchnicy niewątpliwie czytali je z najwyższym zainteresowaniem.

Widmowe światelko zaczęło znikać. Teraz było już gasnącą smugą skierowaną, tak jak się tego spodziewał, w serce konstelacji Carina. Gdzieś w tym rejonie była ojczyzna Zwierzchników, ale mogła się znajdować w pobliżu każdej z tysiąca gwiazd w tym sektorze przestrzeni. W żaden sposób nie było można określić jej odległości od Układu Słonecznego.

I już po wszystkim. Chociaż statek dopiero rozpoczął swoją podróż, ludzkie oko nie mogło nic więcej dostrzec. Jednak Jan wciąż widział lśniąca smugę, promień, który nie zgaśnie, póki wystarczy mu ambicji i pragnień.

Przyjęcie skończyło się. Prawie wszyscy goście wzbili się już z powrotem w niebo i rozlecieli w cztery strony świata. Pozostało tylko kilku.

Jednym z nich był poeta Norman Dodsworth, który zalał się w trupa, ale miał na tyle rozsądku, by stracić kontakt z rzeczywistością, zanim trzeba było zastosować wobec niego środki fizycznego przymusu. Bez ceregieli przeniesiono go na trawnik w nadziei, że obudzi go tam wygłodniała hiena. Praktycznie można go więc było uznać za nieobecnego.

Pozostałymi gośćmi byli George i Jean. Nie był to pomysł George'a; chciał wracać do domu. Nie aprobował przyjaźni Jean z Rupertem, chociaż nie ze zwykłych w takich wypadkach pobudek. Greggson chlubił

się tym, że jest praktyczny i zrównoważony, a zainteresowania łączące Jean i Ruperta uważał nie tylko za dziecinadę, ale i rzecz nienormalną. Myśl, że ktoś mógł jeszcze wierzyć w zjawiska nadprzyrodzone, wydawała mu się aberracją i obecność Rashaveraka tutaj zachwiała jego wiarą w Zwierzchników.

Teraz było oczywiste, że Rupert szykuje jakąś niespodziankę, zapewne w zмовie z Jean. George z ponurą rezygnacją czekał na to, co miało nastąpić.

– Próbowałem wszystkiego, zanim skoncentrowałem się na *tym* – oznajmił dumnie Boyce. – Największym problemem jest zredukowanie tarcia, tak by uzyskać całkowitą swobodę ruchu. Staromodny politurowany stół i wirujący talerzyk nie są złe, ale używano ich już od stuleci i byłem pewien, że współczesna nauka potrafi wymyślić coś lepszego. I oto mamy rezultat. Przysuńcie krzesła. Rashy, jesteś absolutnie pewny, że nie chcesz się do nas przyłączyć?

Przez ułamek sekundy zdawało się, że Zwierzchnik się waha. Potem potrząsnął głową. („Czy nauczyli się tego gestu tu, na Ziemi?” – zastanawiał się George).

– Dziękuję. Wolę obserwować. Może innym razem.

– No dobrze, masz jeszcze sporo czasu, żeby zmienić zdanie.

„Czyżby?” – pomyślał George, ponuro spoglądając na zegarek.

Rupert posadził przyjaciół wokół małego, ale solidnego i idealnie okrągłego stolika. Mebel miał płaski plastikowy blat, który gospodarz podniósł, ukazując błyszczące morze ciasno upakowanych kuleczek. Lekko wystająca krawędź stołu nie pozwalała im się rozsypać i George stwierdził, że nie jest w stanie domyślić się, do czego służą. Setki błysków odbitego światła układały się w fascynujący, hipnotyczny wzór, od którego zakręciło mu się w głowie.

Kiedy przysunęli krzesła, Rupert sięgnął pod stół, wyjął krążek mający jakieś dziesięć centymetrów średnicy i położył go na kulkach.

– No i proszę – powiedział. – Połóżcie na nim ręce, a zobaczycie, że porusza się bez oporu.

George obrzucił przyrząd wzrokiem pełnym niesmaku. Zauważył, że na obrzeżu stołu umieszczono w regularnych odstępach, choć nie po kolei, litery alfabetu. Ponadto widniały tam, również w przypadkowej kolejności, cyfry od jeden do dziewięć oraz dwa pola z napisami „Tak” i „Nie”.

– To mi wygląda na jakieś czary – mruknął. – Dziwię się, że w tych czasach ktoś traktuje to poważnie.

Wyraziwszy ten nieśmiały protest pod adresem Jean i Ruperta, poczuł się trochę lepiej. Rupert bynajmniej nie twierdził, że interesuje się tym fenomenem bardziej, niż powinien bezstronny naukowiec. Miał otwarty umysł i nie był naiwny. Jean zaś... O nią George czasami trochę się martwił. Wyglądało na to, że ona naprawdę wierzy, iż w tych historiach o telepatii i prekognicji coś jest.

Dopiero po wygłoszeniu swojej uwagi zdał sobie sprawę, że pośrednio skrytykował Rashaveraka. Spojrzał na niego niespokojnie, lecz Zwierzchnik nie zareagował. Co oczywiście o niczym nie świadczyło.

Wszyscy zajęli swoje miejsca. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara siedzieli kolejno: Rupert, Maja, Jan, Jean, George i Benny Shoenberger. Ruth Shoenberger siedziała poza kręgiem z notatnikiem w ręku. Miała pewne obiekcje co do udziału w seansie, co wywołało kilka sarkastycznych wzmianek Benny’ego o ludziach, którzy wciąż biorą na serio *Talmud*. Jednak nie miała nic przeciwko notowaniu przebiegu eksperymentu.

– Teraz słuchajcie – zaczął Rupert. – Wyjaśnijmy sobie pewne sprawy na użytek sceptyków takich jak George. Czy jest w tym coś nadprzyrodzonego, czy nie, *to działa!* Osobiście uważam, że wyjaśnienie jest bardzo proste. Kiedy kładziemy ręce na dysku, nawet jeśli staramy się unikać świadomego oddziaływania na jego ruchy, podświadomość zaczyna płatać nam figle. Analizowałem wiele seansów i okazało się, że ani razu nie otrzymaliśmy odpowiedzi, której by nie znał lub nie potrafił odgadnąć ktoś z grupy, chociaż czasem ci ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy. Mimo wszystko chciałbym przeprowadzić eksperyment w tych raczej... hmm... szczególnych okolicznościach.

„Szczególne okoliczności” siedziały, obserwując ich w milczeniu, lecz z niewątpliwym zainteresowaniem. George zastanawiał się, co Rashaverak o tym myśli. Czy nie był jak antropolog przyglądający się jakiemuś prymitywnemu obrzędowi? Sytuacja była zupełnie absurdalna i Greggson czuł się tak głupio jak jeszcze nigdy w życiu.

Jeśli pozostali myśleli podobnie, to ukrywali to. Jedynie Jean była podniecona i zaczerwieniona, lecz mógł to być skutek wypitych drinków.

– Wszyscy już siedzą? – zapytał Rupert. – W porządku. – Zrobił dramatyczną pauzę, a następnie, nie zwracając się do nikogo w szczególności, spytał poważnym tonem: – Czy jest tu ktoś?

George poczuł, że dysk lekko drży pod jego palcami. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę nacisk wywierany nań przez ręce sześciorga ludzi. Krążek zatoczył małą ósemkę i wrócił na środek stołu.

– Czy jest tu ktoś? – powtórzył Rupert i dodał: – Często mija dziesięć do piętnastu minut, zanim się zacznie. Jednak czasem...

– Psst! – szepnęła Jean.

Dysk poruszył się. Zaczął szerokim łukiem krążyć między polami z napisem „Tak” i „Nie”. George z trudem stłumił chichot. Ciekawe, co oznaczałaby odpowiedź „Nie”? Przypomniał mu się stary dowcip o uciekinierach ukrywających się w kurniku: „Nikogo tu nie ma, panie, tylko my, kurczaki”.

Jednak odpowiedzią było „Tak”. Dysk szybko wrócił na środek stołu. Teraz zdawał się żywym stworzeniem czekającym na następne pytanie. Wbrew sobie George poczuł lekkie zainteresowanie.

– Kim jesteś? – zapytał Rupert.

Krążek bez wahania zaczął wskazywać litery. Śmigał po stole jak rozumna istota, poruszając się tak szybko, że George momentami z trudem utrzymywał na nim palce. Mógłby przysiąc, że nie miał udziału w jego ruchach. Szybko rozejrzawszy się, nie dostrzegł na twarzach przyjaciół niczego podejrzanego. Byli tak samo spięci i zainteresowani jak on.

– JESTEMWSZYSTKIM – przeliterowała płytka i wróciła do równowagi.

- Jestem wszystkim - powtórzył Rupert. - To typowa odpowiedź. Wymijająca, ale stymulująca. Prawdopodobnie oznacza, że nie ma tu niczego prócz naszych połączonych umysłów. - Przerwał na chwilę, najwidoczniej rozmyślając nad następnym pytaniem. - Czy masz jakieś posłanie dla kogokolwiek z nas?

- NIE - natychmiast odparła płytka.

Boyce popatrzył na przyjaciół.

- Pozostawia nam inicjatywę. Niekiedy samo chętnie udziela informacji, ale tym razem musimy zadawać konkretne pytania. Czy ktoś ma ochotę zacząć?

- Czy jutro będzie padać? - zapytał kpiąco George.

Krażek natychmiast zaczął się poruszać po linii łączącej „Tak” i „Nie”.

- To głupie pytanie - powiedział Rupert. - Gdzieś z pewnością będzie padać, a gdzieś nie. Zadawaj pytania, na które można udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

George poczuł się jak skarcony uczeń. Postanowił oddać głos innym.

- Jaki jest mój ulubiony kolor? - zapytała Maja.

- NIEBIESKI - padła natychmiast odpowiedź.

- Zgadza się.

- Ależ to niczego nie dowodzi. Spośród obecnych wiedzą o tym co najmniej trzy osoby - podkreślił George.

- Jaki jest ulubiony kolor Ruth? - spytał Benny.

- CZERWONY.

- Czy to prawda, Ruth?

Notująca przebieg eksperymentu żona Shoenbergera uniosła głowę.

- Tak, to prawda. Ale wie o tym Benny, a on jest w kręgu.

- Nie wiedziałem - odparł Benny.

- A powinieneś, psiakrew, tyle razy ci o tym mówiłam!

- Pamięć podświadoma - mruknął Rupert. - To się często zdarza. Słuchajcie, nie możemy zadać paru inteligentnych pytań? Teraz, kiedy tak dobrze idzie, nie chciałbym tego zepsuć.

To dziwne, ale trywialność tego zjawiska zaczęła robić wrażenie na George'u. Był pewien, że można je wytłumaczyć, nie odwołując się do sił nadprzyrodzonych. Jak powiedział Rupert, płytka po prostu reagowała na podświadome ruchy ich mięśni. Jednak ten fakt sam w sobie był zaskakujący i robił wrażenie – George nigdy nie uwierzyłby, że można w ten sposób otrzymywać tak szybkie i dokładne odpowiedzi. Za którymś razem próbował sprawić, by krążek podał jego imię. Udało mu się z „G”, lecz reszta była bezsensownym zlepkiem liter. „To rzeczywiście niemożliwe – pomyślał – aby jedna osoba bez udziału pozostałych przejęła kontrolę nad spodkiem”.

Po półgodzinie Ruth miała już zanotowanych kilkanaście wiadomości. Niektóre były dość długie. Czasem zdarzały się błędy ortograficzne lub stylistyczne, ale było ich niewiele. Na czymkolwiek opierało się to zjawisko, George był pewien, że nie mógł świadomie wpłynąć na wyniki. Kilka razy, gdy stolik literował jakieś słowo, usiłował przewidzieć następną literę, a w konsekwencji treść wiadomości. W każdym przypadku płytka zachowywała się nieoczekiwanie i wychodziło coś zupełnie innego. Chwilami – ponieważ nie było przerw wskazujących na koniec jednego słowa i początek następnego – odpowiedź wydawała się pozbawiona sensu, dopóki nie była pełna i dopóki Ruth nie przeczytała jej na głos.

Cały ten eksperyment sprawił, że George miał niesamowite wrażenie obcowania z jakimś skupionym, niezależnym umysłem. A jednak nie było na to żadnego *jednoznacznego* dowodu. Odpowiedzi były tak trywialne, tak ogólnikowe. Cóż, na przykład, można wywnioskować z takiej:

WIERZCIEWCZŁOWIEKAPRZYRODAJESTZWAMI.

Czasem wszakże odpowiedzi sugerowały rzeczy głębsze i bardziej niepokojące:

PAMIĘTAJCIECZŁOWIEKNIEJESTSAMOBOKCZŁOWIEKAJESTKRAINA
INNYCH.

O tym, rzecz jasna, wszyscy wiedzieli. A jednak czy można było mieć pewność, że wiadomość dotyczyła tylko Zwierzchników?

George'owi chciało się już spać. „Najwyższy czas – pomyślał sennie – udać się do domu”. Wszystko to było bardzo intrygujące, ale do niczego nie prowadziło, a nawet smacznym tortem można się przejeść. Rozejrzał się. Benny wyglądał, jakby czuł się podobnie, Maja i Rupert mieli lekko szkliste spojrzenia, a Jean... No cóż, ona brała to wszystko zbyt poważnie. Jej wygląd zaniepokoił Greggsona. Sprawiała wrażenie osoby obawiającej się przerwać seans... a jednocześnie pełnej lęku przed jego kontynuowaniem.

Pozostał więc tylko Jan. George zastanawiał się, co chłopak myśli o swoim ekscentrycznym szwagrze. Młody inżynier nie zadawał dotąd pytań i nie okazywał zdziwienia odpowiedziami krążka. Wydawało się, że traktuje seans jak kolejne zjawisko naukowe wymagające zbadania.

Rupert ocknął się z letargu, w jaki zdawał się zapadać.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział – i będziemy mogli uznać, że poszło nieźle. Może ty, Jan? Jeszcze o nic nie pytałeś.

Zdumiewające było to, że Jan w ogóle się nie zawahał. Wyglądało to tak, jakby miał to pytanie już od dawna przygotowane i tylko czekał na okazję. Spojrzał na nieruchomą sylwetkę Rashaveraka, po czym zapytał wyraźnym, spokojnym głosem:

– Która gwiazda jest słońcem świata Zwierzchników?

Rupert o mało co gwizdnąłby z podziwu. Maja i Benny wcale nie zareagowali. Jean zamknęła oczy i zdawała się spać. Rashaverak pochylił się naprzód, tak że przez ramię Boyce'a mógł widzieć krążek.

Dysk zaczął się poruszać. Kiedy wreszcie się zatrzymał, nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się zdziwiony głos Ruth:

– Co to jest NGS 549672?

Nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ w tejże chwili George zawołał niespokojnie:

– Pomóżcie mi podnieść Jean. Obawiam się, że zemdlą.

Rozdział 9

Ten Boyce – rzekł Karellen. – Opowiedz mi o nim.

Oczywiście Kontroler nie użył tych właśnie słów, a i myśli, które wyraził, były dużo bardziej zawile. Przysłuchujący się temu człowiek odebrałby krótką serię modulowanych dźwięków przypominającą przyspieszony komunikat z nadajnika Morse'a. Chociaż zarejestrowano wiele próbek języka Zwierzchników, opierał się on wszelkim próbom analizy ze względu na zagęszczenie przekazywanych w nim informacji. Szybkość przekazu była tak wielka, że żaden tłumacz, nawet gdyby opanował ten język, nie byłby w stanie dotrzymać kroku normalnie rozmawiającym Zwierzchnikom.

Kontroler stał odwrócony plecami do Rashaveraka i spoglądał w różnobarwną otchłań Wielkiego Kanionu. Dziesięć kilometrów dalej słońce oblewało swym blaskiem niemal niezatarte odległością tarasowate urwisko. Setki metrów niżej, w cieniu ściany, na krawędzi której stał Karellen, karawana mułów podążała krętą ścieżką w głąb kanionu. „To dziwne – pomyślał Karellen – że wciąż tylu ludzi korzysta z każdej okazji, aby zachowywać się prymitywnie”. Gdyby chcieli, mogliby przecież dotrzeć na dno kanionu znacznie szybciej i w dużo wygodniejszy sposób. Jednak woleli męczyć się na szlaku, który prawdopodobnie był tak niebezpieczny, jak na to wyglądał.

Karellen nieznacznie poruszył ręką. Wielka panorama zniknęła, pozostawiając jedynie gęsty mrok. Realia urzędu i zajmowanej pozycji raz jeszcze przytłoczyły Kontrolera.

– Rupert Boyce to dość ciekawa postać – odrzekł Rashaverak. – Odpowiada za stan zdrowia zwierzyny w istotnej części Głównego Rezerwatu Afrykańskiego. Pracuje z zaangażowaniem i ma dobre wyniki. Ponieważ musi obserwować kilka tysięcy kilometrów kwadratowych

powierzchni, dostał jedną z piętnastu kamer panoramicznych, które pożyczaliśmy ludziom, oczywiście ze zwykłymi zabezpieczeniami. Akurat jest to jedyna mająca możliwość pełnej projekcji. Udało mu się przekonująco uzasadnić taką potrzebę, więc poszliśmy mu na rękę.

– Jak to uzasadniał?

– Chciał, by różne dzikie zwierzęta przyzwyczyły się do jego widoku i nie atakowały go, kiedy pojawi się we własnej osobie. Udawało mu się to dość dobrze ze zwierzętami, które bardziej polegają na wzroku niż na węchu, chociaż zapewne w końcu zostałyby zabity. Ponadto był jeszcze jeden powód, dla którego pozwoliliśmy mu korzystać z naszego aparatu.

– Stał się przez to bardziej skłonny do współpracy?

– Właśnie. Początkowo skontaktowałem się z nim, gdyż posiada jeden z najbogatszych na świecie zbiorów bibliotecznych dotyczących parapsychologii i dziedzin pokrewnych. Grzecznie, ale stanowczo odmówił wypożyczenia jakiegokolwiek książki, więc, chcąc nie chcąc, musiałem go poprosić o gościnę. Do tej pory przeczytałem połowę jego zbioru. To ciężka praca.

– Wierzę – rzekł sucho Karellen. – Czy odkryłeś w tych śmieciach coś godnego uwagi?

– Tak. Jedenaście pewnych przypadków częściowego Przebiccia i dwadzieścia siedem prawdopodobnych. Ale materiał jest dobrany tak przypadkowo, że nie można go użyć jako reprezentatywnej próbki dla celów statystycznych. Poza tym rzeczy wartościowe, mogące stanowić pewien dowód, są beznadziejnie zabarwione mistycyzmem, chyba największą aberracją ludzkich umysłów.

– A jaki jest stosunek Boyce'a do tego wszystkiego?

– Udaje otwartego na nowości sceptyka, lecz jest oczywiste, że nie poświęciłby tyle czasu i trudu tym sprawom, gdyby podświadomie w nie nie wierzył. Wykazałem mu to i przyznał, że prawdopodobnie mam rację. Chciałby znaleźć jakiś przekonujący dowód. Zapewne dlatego wciąż przeprowadza te eksperymenty, chociaż udaje, że to tylko zabawa.

– Jesteś pewien, że nie podejrzewa, iż twoje zainteresowanie nie jest jedynie akademickie?

– Całkowicie! Boyce pod wieloma względami jest tępy i prostoduszny. To sprawia, że jego próby badań w tej dziedzinie są skazane na niepowodzenie. Nie ma potrzeby podejmowania jakiegokolwiek dotyczącego akcji.

– Rozumiem. A ta dziewczyna, która zemdląca?

– To najciekawszy element tej sprawy. Niemal na pewno Jean Morrel była kanałem, przez który nadeszła informacja. Jednak ma dwadzieścia sześć lat, stanowczo zbyt wiele, aby mogła być pierwotnym kontaktem. Wynika z tego, że musiał to być ktoś blisko z nią związany. Wniosek jest oczywisty. Może nie będziemy musieli czekać wiele lat. Musimy przenieść ją do kategorii purpurowej. Może się okazać, że jest najważniejsza spośród żyjących ludzi.

– Zrobię to. A co z tym młodym człowiekiem, który zadał to pytanie? Czy była to przypadkowa ciekawość, czy też miał jakiś inny powód?

– Znalazł się tam przypadkowo, jego siostra właśnie wyszła za mąż za Ruperta Boyce'a. Przedtem nie spotkał żadnego z gości. Jestem pewien, że pytanie było niezamierzone, zainspirowane niezwykłymi okolicznościami i prawdopodobnie moją obecnością. Biorąc to pod uwagę, trudno się dziwić, że je zadał. Żywo interesuje się astronautyką. Jest sekretarzem Studenckiego Koła Miłośników Astronautyki na Uniwersytecie Kapsztadzkiem i najwyraźniej zamierza poświęcić tym studiom resztę życia.

– Jego kariera może być interesująca. Przy okazji: jak sądzisz, jakie podejście działania i co mamy z nim zrobić?

– Niewątpliwie sprawdzi kilka rzeczy najszybciej, jak będzie mógł. Jednak w żaden sposób nie uda mu się potwierdzić tej informacji, ze względu zaś na dość szczególnie sposób jej uzyskania jest mało prawdopodobne, aby ją opublikował. A nawet jeśli to zrobi, czy to w ogóle wpłynie na bieg wydarzeń?

– Muszę przeanalizować obie możliwości – odparł Karel. – Chociaż nieujawnianie naszej bazy to część obowiązującej dyrektywy, jest wykluczone, aby ta informacja mogła zostać wykorzystana przeciwko nam.

– Zgadząm się. Rodricks będzie miał niesprawdzoną informację, bez żadnej praktycznej wartości.

– Tak mogłoby się wydawać – rzekł Karellen. – Ale nie bądźmy zbyt pewni siebie. Ludzie są bardzo pomysłowi, a często bardzo uparci. Nie wolno ich nie doceniać, tak więc obserwowanie dalszej kariery pana Rodricksa może się okazać interesujące. Muszę o tym później pomyśleć.

Rupert Boyce nigdy nie pojął, co naprawdę się stało. Kiedy goście, mniej hałaśliwie niż zazwyczaj, pożegnali się i wyszli, w zadumie przetoczył stolik z powrotem w kąt. Wywołany alkoholem lekki szum w głowie zapobiegł głębszej analizie wydarzeń; zresztą fakty zaczęły mu się już nieco zacierać w pamięci. Niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że zdarzyło się coś ważnego, ale nie wiedział co i zastanawiał się, czy nie powinien tego omówić z Rashaverakiem. Przemyślawszy rzecz, doszedł jednak do wniosku, że byłoby to nietaktowne. Mimo wszystko to młody Jan spowodował całe zamieszanie i Rupert był na niego trochę zły. Ale czy to naprawdę wina Jana? Czy w ogóle ktoś tu zawinił? Sam też nie czuł się w porządku, w końcu to był *jego* eksperyment. Stwierdził, że najlepiej zapomnieć o całej sprawie. I udało mu się to.

Może podjąłby jakieś działania, gdyby odnaleziono ostatnią stronę notatek Ruth, ale ta przepadła gdzieś w czasie zamieszania. Jan udawał, że o niczym nie wie, a raczej trudno było oskarżać Rashaveraka. I nikt nie mógł sobie przypomnieć treści wiadomości, nikt też nie pamiętał tych liter, a tylko to, że wydawały się zupełnie bezsensowne.

Najbardziej przejął się owym zdarzeniem George Greggson. Na całe życie zapamiętał uczucie, jakiego doznał, gdy Jean zeszywniała mu w rękach. W jednej chwili przeobraziła się z miłej towarzyszką w bezbroną istotę wymagającą czułości i opieki. Kobiety mdlały, nie zawsze wbrew swej woli, od niepamiętnych czasów, a mężczyźni nieodmiennie zachowywali się wtedy jak należy. Utrata przytomności nastąpiła u Jean zupełnie spontanicznie, lecz nie zrobiłaby większego wrażenia, gdyby była

zaplanowana. W tym momencie George – co później zrozumiał – podjął jedną z najważniejszych decyzji w swoim życiu. Jean z pewnością dużo dla niego znaczyła, mimo iż miewała niesamowite pomysły i jeszcze bardziej niesamowitych przyjaciół. Nie zamierzał rezygnować z Naomi, Joy, Elsy lub – jak jej było na imię? – Denise, ale nadszedł czas na jakiś trwalszy związek. Nie wątpił, że Jean się zgodzi, bo jej uczucia od początku były oczywiste.

Na decyzję tę wpłynął jeszcze inny czynnik, z którego nie zdawał sobie sprawy. Doświadczenie tej nocy osłabiło niechęć i sceptycyzm wobec szczególnych zainteresowań Jean. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale tak właśnie było i ten fakt usuwał ostatnią dzielącą ich barierę.

Patrzył na bladą, lecz spokojną Jean leżącą na odchylonym w tył fotelu glidera. Pod nimi rozciągał się mrok, nad nimi lśniły gwiazdy. George nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje, lecz tysiąc kilometrów w tę czy w tamtą nie robiło mu różnicy. Zajmował się tym automat, który wiózł ich do domu i – co było widać na desce rozdzielczej – miał ich tam doprowadzić za pięćdziesiąt siedem minut.

Jean odpowiedziała mu uśmiechem i delikatnie wyjęła rękę z jego dłoni.

– Zdrętwiałam – wyjaśniła, poruszając palcami. – Chciałabym, żebyś uwierzył, że czuję się już doskonale.

– A jak myślisz, co się stało? Bo chyba *coś* pamiętasz?

– Nie, mam w głowie kompletną pustkę. Usłyszałam pytanie Jana... i nagle wszyscy zaczęliście biegać koło mnie. Jestem pewna, że to jakiś trans. Zresztą...

Przerwała na chwilę, a potem postanowiła nie mówić George'owi, że takie omdlenia zdarzały się jej już wcześniej. Wiedziała, co myśli o takich sprawach, i nie chciała denerwować go jeszcze bardziej, a może nawet odstraszyć.

– Co „zresztą”? – zapytał.

– Och, nic. Zastanawiam się, co o tym wszystkim pomyślał sobie Zwierzchnik. Prawdopodobnie zdobył więcej materiału do rozważań, niż zamierzał. – Jean lekko drgnęła i w jej oczach pojawił się lęk. – George, ja

się boję Zwierzchników. Nie chodzi mi o to, że uosabiają zło czy tym podobne idiotyzmy. Jestem pewna, że pragną naszego dobra i robią dla nas to, co uważają za najlepsze. Zastanawiam się po prostu, jakie są ich plany.

Greggson poruszył się niespokojnie.

– Ludzie próbują to odgadnąć, od kiedy Zwierzchnicy przybyli na Ziemię – powiedział. – Poinformują nas, gdy uznają za stosowne, a prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Zresztą mam na głowie ważniejszą sprawę. – Obrócił się do Jean i ujął ją za rękę. – Co powiedziałaś na to, żebyśmy poszli jutro do Archiwów i podpisali umowę, powiedzmy... na pięć lat?

Jean przez chwilę spoglądała na niego badawczo, po czym doszła do wniosku, że w sumie podoba jej się to, co zobaczyła.

– Niech będzie dziesięć – powiedziała.

Jan czekał, aż nadejdzie jego czas. Nie było powodu do pośpiechu, a chciał wszystko starannie przemyśleć. Wyglądało to niemal tak, jakby bał się to sprawdzić, nie chcąc, aby niezwykła szansa, która pojawiła się przed nim, zniknęła zbyt szybko. Dopóki nie wiedział na pewno, mógł przynajmniej marzyć.

Zresztą, aby podjąć jakiegokolwiek działania, musiałby spotkać się z bibliotekarką obserwatorium. Dobrze znała zarówno jego, jak i jego zainteresowania i na pewno zaciekałaby ją ta prośba. Prawdopodobnie nie miałoby to żadnego znaczenia, ale Jan postanowił niczego nie zostawiać przypadkowi. Wiedział, że jest przesadnie ostrożny, ale dodawało to przedsięwzięciu posmaku przygody. Równie mocno obawiał się śmieszności, jak tego, co mogą zrobić Zwierzchnicy, aby go powstrzymać. Jeśli jego teoria miała się okazać pościgiem za cieniem, wolał, aby nikt o tym nie wiedział.

Miał świetny powód, aby udać się do Londynu – uzgodniono to już kilka tygodni wcześniej. Chociaż zbyt młody i niedostatecznie wykwalifikowany, aby być delegatem, znalazł się jednak w grupie trzech

studentów, którym pozwolono przyłączyć się do oficjalnej delegacji na międzynarodową konferencję Stowarzyszenia Astronomów. Pozostały jakieś wolne miejsca, szkoda więc byłoby stracić okazję, szczególnie że nie był w Londynie od dziecka. Wiedział, że niewiele prelekcji zaprzątnie jego uwagę, nawet gdyby zdołał je zrozumieć. Podobnie jak delegaci na inne konferencje naukowe zapisze się na te odczyty, które wydadzą się najbardziej interesujące, a resztę czasu spędzi na rozmowach z innymi entuzjastami i na zwiedzaniu.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Londyn bardzo się zmienił. Liczył teraz zaledwie dwa miliony ludzi, za to sto razy więcej maszyn. Nie był to już wielki port, odkąd bowiem wszystkie państwa były niemal samowystarczalne, zmienił się całkowicie wzorzec światowego handlu. Niektóre kraje nadal specjalizowały się w wytwarzaniu określonych produktów, ale dostarczano je już drogą powietrzną, bezpośrednio do celu. Szlaki handlowe, które niegdyś zbiegały się w wielkich portach, a potem w portach lotniczych, rozproszyły się, tworząc złożoną sieć pozbawioną większych węzłów.

Mimo to niektóre rzeczy się nie zmieniły. Londyn nadal był centrum administracji, sztuki i nauki. Pod tym względem żadna europejska stolica nie mogła z nim rywalizować – nawet Paryż, choć wielu twierdziło inaczej. Londyńczyk z poprzedniego stulecia wciąż bez problemu, przynajmniej w centrum, odnalazłby się w mieście. Powstały nowe mosty na Tamizie, lecz w dawnych miejscach. Wielkie, ponure dworce kolejowe zniknęły, usunięte na przedmieścia. Budynek Parlamentu jednak wyglądał tak samo, jednooki admirał Nelson wciąż patrzył na Whitehall, a katedra św. Pawła wciąż stała na Ludgate Hill, choć obecnie wyzwanie rzucały jej wyższe budynki.

No i gwardziści ciągle strzegli pałacu Buckingham.

Zdaniem Jana wszystko to mogło poczekać. Były wakacje, a on wraz z dwoma innymi studentami został zakwaterowany w jednym z hosteli uniwersytetu. Bloomsbury również nie zmieniło się w ostatnim stuleciu – nadal była to dzielnica hoteli i pensjonatów, mimo iż nie przylegały już

one do siebie tak ciasno i nie tworzyły niekończących się, identycznych szeregów z zakopanej cegły.

Dopiero drugiego dnia kongresu Jan dostrzegł swoją szansę. Najważniejsze odczyty wygłaszano w wielkiej auli Centrum Nauki, w pobliżu Hali Koncertowej, która w tak dużym stopniu przyczyniła się do tego, że Londyn stał się muzyczną stolicą świata. Rodricks zamierzał wysłuchać pierwszego z zaplanowanych na ten dzień wykładów, o którym wieść niesła, że ma rozbić w proch dotychczasową teorię powstawania planet.

Może istotnie tak się stało, lecz opuszczając salę, Jan był niewiele mądrzejszy niż przedtem. Zbiegł na dół, aby odnaleźć na planie obiekty, które miał zamiar odwiedzić.

Jakiś dowcipny urzędnik umieścił siedzibę Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego na najwyższym piętrze ogromnego budynku, który to gest członkowie towarzystwa w pełni doceniali, gdyż dzięki niemu mieli wspaniały widok na całą północną część miasta na drugim brzegu Tamizy. W pobliżu nie było nikogo, ale Jan, na wszelki wypadek trzymając w ręce swoją kartę uczestnika jak paszport, bez trudu znalazł bibliotekę.

Blisko godzinę zajęło mu odnalezienie tego, czego szukał, i nauczenie się korzystania z wielkich katalogów gwiazd zawierających miliony haseł. Zbliżając się do końca swoich poszukiwań, drżał z niecierpliwości i cieszył się, że w sąsiedztwie nie ma nikogo, kto zobaczyłby, jak bardzo jest zdenerwowany.

Odłożył katalog na miejsce i długą chwilę siedział nieruchomo, wbijając niewidzące spojrzenie w ścianę książek. Potem powoli wyszedł na opustoszały korytarz, minął sekretariat (ktoś tam był, zajęty rozpakowywaniem książek) i ruszył schodami w dół. Nie pojechał windą, bo chciał być sam i mieć swobodę ruchów. W programie figurował jeszcze jeden wykład, którego zamierzał wysłuchać, ale teraz nie było to już takie ważne.

Oparł się o balustradę i usiłując pozbierać myśli, zapatrzył się w niespiesznie podążającą ku morzu Tamizę. Niełatwo było komuś wychowanemu w duchu racjonalistycznym zaakceptować dowód, który

właśnie odkrył. Oczywiście nigdy nie zdobędzie absolutnej pewności, ale prawdopodobieństwo, że istotnie tak jest, było olbrzymie. Wolno idąc wzdłuż balustrady, porządkował kolejne fakty.

Fakt numer jeden: na przyjęciu Ruperta nikt nie mógł przewidzieć, że Jan zamierza zadać to pytanie. Sam tego nie wiedział; w tamtych okolicznościach była to reakcja spontaniczna. Zatem nikt nie mógł przygotować odpowiedzi i czekać na jego pytanie.

Fakt numer dwa: symbol NGS 549672 oznacza cokolwiek prawdopodobnie tylko dla astronoma. Choć *Wielki katalog gwiazd* został skompletowany już przed stu laty, o jego istnieniu wiedziało jedynie kilka tysięcy specjalistów. A wybierając zeń na chybił trafił jakiś numer, absolutnie nie można było przewidzieć z góry, w jakim rejonie nieba leży oznaczona nim gwiazda.

Jednak, i to był fakt numer trzy, który Jan odkrył właśnie przed chwilą, ta mała, niczym niewyróżniająca się gwiazda znana jako NGS 549672 znajdowała się dokładnie we właściwym miejscu. Leżała w centrum konstelacji Carina, na końcu obserwowanego przez niego kilka dni wcześniej lśniącego szlaku wiodącego z Układu Słonecznego w głąb przestrzeni kosmicznej.

Przypadek był wykluczony. NGS 549672 musi być ojczyzną Zwierchników. Jednak zaakceptowanie tego faktu oznaczało dla Jana pogwałcenie wszystkich wpojonych mu zasad naukowego podejścia do każdego zjawiska. Bardzo dobrze, niech idą do diabła! Trzeba pogodzić się z faktem, że zwariowany eksperyment Ruperta w jakiś sposób otarł się o nieznaną do tej pory źródło wiedzy.

Rashaverak? To było najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Wprawdzie Zwierchnik nie był częścią kręgu, ale to pomniejszy problem. Zresztą Jana nie interesowały mechanizmy działań parapsychofizycznych – interesowały go jedynie ich rezultaty.

O NGS 549672 wiedziano bardzo niewiele. Nic jej nie wyróżniało spośród milionów innych gwiazd. Katalog podawał jednak jej wielkość, współrzędne i typ widma. Jan będzie musiał jeszcze trochę poszperać

i wykonać kilka prostych obliczeń, a wtedy, przynajmniej w przybliżeniu, dowie się, jak odległy od Ziemi jest świat Zwierzchników.

Uśmiech powoli wypływał na jego twarz, gdy wracał znad Tamizy ku białej fasadzie Centrum Nauki. Wiedza to potęga, a on był jedynym człowiekiem znającym pochodzenie Zwierzchników. Na razie nie miał pojęcia, jak zużytkuje tę wiedzę. Bezpiecznie ukryta w jego umyśle miała oczekiwać na odpowiedni moment.

Rozdział 10

Ludzka rasa nadal wygrzewała się w ciepłym słońcu długiego, bezchmurnego letniego popołudnia, jakim był okres pokoju i dobrobytu. Czy kiedykolwiek nadejdzie zima? To było nie do pomyślenia. Nareszcie nastąpił wiek rozumu nazbyt szybko ogłoszony dwa i pół wieku wcześniej przez przywódców rewolucji francuskiej. Tym razem nie było pomyłki.

Oczywiście były pewne minusy, chociaż chętnie się na nie godzono. Jedynie bardzo starzy ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że gazety, które drukowano w domach za pomocą telefaksów, były w rzeczywistości bardzo nudne. Minęły kryzysy będące dawniej powodem krzykliwych nagłówków na pierwszych stronach. Nie popełniano już tajemniczych morderstw wystawiających policję na ogień krytyki i rozdymających moralnym potępieniem miliony piersi, w których kryły się często porwy zazdrości. Morderstwa, jakie zdarzały się teraz, nigdy nie były tajemnicze: wystarczyło wybrać odpowiedni numer i można było odtworzyć scenę zbrodni. To, że istniały podobne instrumenty, wywołało początkowo sporą panikę nawet w środowisku obywateli szanujących prawo. Był to fakt, którego nie przewidzieli Zwierzchnicy, choć zdołali poznać większość zakamarków ludzkiej natury. Trzeba było absolutnie niedwuznacznie wyjaśnić, że nikt nie będzie mógł podpatrywać innych i że te urządzenia, które znajdują się w rękach ludzi, są dokładnie kontrolowane.

Na przykład projektor Ruperta Boyce'a miał zasięg ograniczony do obszaru rezerwatu, w którym jedynymi ludźmi byli Maja i on.

Nawet te nieliczne zbrodnie, które zostały popełnione, nie zwróciły na siebie większej uwagi środków przekazu. Dobrze wychowani ludzie nie chcieli czytać o gafach popełnianych przez innych.

Tydzień pracy liczył teraz mniej więcej dwadzieścia godzin, ale ten czas nie był synekurą. Praca, jaką trzeba było wykonać, zawierała niewiele rutynowych, mechanicznych czynności. Ludzkie umysły były zbyt cenne, aby obciążać je zadaniami, które mogło wykonać kilka tysięcy tranzystorów i fotokomórek oraz metr sześcienny obwodów drukowanych. Niektóre fabryki pracowały całymi tygodniami bez potrzeby ingerencji choćby jednego człowieka. Ludzie byli niezbędni tam, gdzie okoliczności wymagały uporania się z kłopotami, gdzie trzeba było podejmować decyzje lub planować przedsięwzięcia. Resztę robiły roboty.

Taki nadmiar wolnego czasu przed stu laty byłby przyczyną ogromnych perturbacji. Z większością nich uporano się poprzez odpowiednią edukację, ponieważ dobrze wykształcony umysł nie musi obawiać się nudy. Ogólna kultura wzniosła się na poziom, który kiedyś wydawałby się fantastyczny. Nic nie wskazywało na to, że wzrosła przy tym inteligencja rasy ludzkiej, ale po raz pierwszy każdy mógł wykorzystać wszystkie możliwości swojego umysłu.

Większość ludzi posiadała dwa domy w bardzo oddalonych od siebie miejscach świata. Teraz, kiedy podbito obszary podbiegunowe, spora część populacji co sześć miesięcy przenosiła się z Arktyki na Antarktydę w pogoni za długim, pozbawionym nocy polarnym latem. Inni ruszyli na pustynie, w góry, a nawet w głąb mórz. Nie było na planecie miejsca, gdzie wiedza i technologia nie potrafiłyby stworzyć odpowiedniego mieszkania komuś, kto bardzo tego pragnął.

Niektóre bardziej ekscentryczne miejsca zamieszkania dostarczały nowych dreszczyków emocji. Nawet w najlepiej urządzonych społeczeństwach zdarzają się wypadki. Być może należało uznać za pozytywny fakt, że ludzie wciąż odczuwali potrzebę ryzykowania i czasami skręcali kark z powodu przytulnej willi przylepionej do zbocza Mount Everestu lub spoglądania przez mgłę kurtyny wodnej Wodospadów Wiktorii. W rezultacie wciąż gdzieś kogoś ratowano. Stało się to rodzajem planetarnych zawodów, niemal sportem.

Ludzi bawiły takie kaprysy, ponieważ mieli zarówno czas, jak i pieniądze. Likwidacja sił zbrojnych prawie natychmiast podwoiła

światowy majątek, a reszty dokonała wzrastająca produkcja. W efekcie trudno było porównywać poziom życia człowieka dwudziestego pierwszego wieku z jakimkolwiek poprzednim. Wszystko było tak tanie, że rzeczy niezbędne do życia otrzymywano za darmo i traktowano je jako świadczenia socjalne, tak jak kiedyś drogi, wodę, oświetlenie uliczne czy kanalizację. Każdy mógł podróżować, dokądkolwiek miał ochotę, i jeść, co chciał, nie wydając ani grosza. Miał do tego prawo jako pracujący członek społeczeństwa.

Oczywiście trafiali się i próżniacy, ale liczba ludzi mających wystarczająco silną wolę, aby oddawać się absolutnej beczynności, jest znacznie mniejsza, niż się powszechnie uważa. Utrzymywanie tych pasożytów było dużo mniej kłopotliwe niż angażowanie armii kontrolerów, sprzedawców, maklerów i tak dalej, których jedynym zadaniem, najogólniej rzecz biorąc, było przenoszenie cyfr z jednej księgi rachunkowej do drugiej.

Jak obliczono, prawie czwartą część energii społeczeństwa pochłaniały teraz różne rodzaje sportu, poczynając od takich spokojnych zajęć jak gra w szachy, a kończąc na tak śmiertelnie niebezpiecznych jak loty paralotniami nad górami. Nieoczekiwanym skutkiem ubocznym był zanik sportu zawodowego. Pojawiło się zbyt wielu utalentowanych amatorów, a zmiana warunków finansowych wykazała absurdalność starego systemu.

Zaraz po sportowym największym przemysłem stała się rozrywka, i to wszelkie jej rodzaje. Po upływie niemal stu lat nadal istnieli ludzie, którzy wierzyli, że stolicą świata jest Hollywood. Teraz mieli jeszcze poważniejsze podstawy, aby tak twierdzić, choć bezpieczniej było mówić, że większość produkcji z lat pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku wydawałaby się niezrozumiale przeintelektualizowana widzom z połowy wieku dwudziestego. Był jednak pewien postęp – sukces kasowy nie decydował już o wszystkim.

Wśród tych różnorodnych zabaw i rozrywek dostępnych na planecie, która zdawała się być na najlepszej drodze do przeistoczenia się w jeden wielki lunapark, wciąż jeszcze trafiali się ludzie mający czas, aby

powtarzać odwieczne, pozostające ciągle bez odpowiedzi pytanie: „Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy?”.

Rozdział 11

Jan nachylił się i oparł dłoń o chropowatą jak pień drzewa skórę słonia. Popatrzył na wielkie ciosy i wygiętą trąbę, którą kunszt dermoplasty uchwycił w geście wyzwania lub pozdrowienia. „Jakie niezwykle stworzenia – rozmyślał – i na jakich nieznanych światach popatrzą kiedyś na tego wygnańca z Ziemi?”

– Ile zwierząt posłałeś Zwierzchnikom? – zapytał Ruperta.

– Co najmniej pięćdziesiąt, ale ten jest oczywiście największy. Wspaniały, prawda? Większość pozostałych eksponatów to małe sztuki: motyle, węże, małpy i tak dalej. Jednak w zeszłym roku dopadłem hipka.

Jan uśmiechnął się krzywo.

– To przerażająca myśl, ale przypuszczam, że w swojej kolekcji mają już też pięknie zabalsamowaną grupkę homo sapiens. Zastanawiam się, komu przypadł ten zaszczyt.

– Pewnie masz rację – powiedział niezbyt przejęty Rupert. – Można to bez trudu załatwić przez szpitala.

– A co stałoby się – kontynuował w zadumie Jan – gdyby ktoś zechciał na ochotnika polecieć do gwiazd jako żywy przedstawiciel gatunku? Zakładając, oczywiście, że zapewniono by mu powrót.

Rupert zaśmiał się nie bez pewnej sympatii.

– Czy to oferta? Mam ją przekazać Rashaverakowi?

Jan przez chwilę rozważał ten pomysł niemal poważnie. Potem potrząsnął głową.

– Eee... Nie, dziękuję. Tylko głośno myślałem. Prawdopodobnie odrzuciliby moją kandydaturę. Ale, ale, często ostatnio widzisz się z Rashaverakiem?

– Skontaktował się ze mną jakieś sześć tygodni temu. Wyszperał gdzieś książkę, której poszukiwałem. To miłe z jego strony.

Jan wolno okrężał wypchanego potwora, podziwiając zręczność, z jaką go utrwalono.

– Odkryłeś może, czego on szuka? – zapytał. – Mam na myśli to, że niełatwo pogodzić naukę Zwierzchników z ich zainteresowaniem okultyzmem.

Rupert spojrzął na Jana nieco podejrzliwie, zastanawiając się, czy swagier nie pokpiwa sobie z jego hobby.

– Zadowolilem się jego wyjaśnieniami. Jako antropologa interesują go wszelkie aspekty naszej kultury. Pamiętaj, że oni mają mnóstwo czasu. Mogą zbadać każdy problem o wiele dokładniej, niż uczyniłby to jakikolwiek człowiek. Przeczytanie całej mojej biblioteki prawdopodobnie stanowiło dla Rashaveraka niewielki wysiłek.

Mogła to być odpowiedź, ale Jan nie był o tym przekonany. Czasami zastanawiał się, czy nie wtajemniczyć we wszystko Ruperta, lecz nie pozwalała mu na to wrodzona ostrożność. Gdyby Boyce ponownie spotkał się ze swoim przyjacielem Zwierzchnikiem, zapewne zdradziłby się z czymś – pokusa byłaby zbyt wielka.

– A przy okazji – rzekł Rupert, zmieniając nagle temat. – Jeżeli uważasz, że to jest poważna praca, to powinieneś zobaczyć zadanie, jakie przypadło Sullivanowi! Obiecał dostarczyć dwa największe stworzenia na świecie: kaszalota i kałamarnicę olbrzymią. Zostaną ukazane podczas śmiertelnej walki. Cóż to będzie za widok!

Jan przez chwilę nic nie mówił. Pomysł, który nagle eksplodował mu w głowie, był zbyt zuchwały, zbyt fantastyczny, aby rozważać go na serio. A jednak właśnie z powodu tej brawury mógł się udać...

– Co się stało? – spytał niespokojnie Rupert. – Znużył cię upał?

Jan z trudem powrócił do rzeczywistości.

– Czuję się świetnie. Po prostu zastanawiałem się, jak Zwierzchnicy zabiorą taką małą paczuszkę jak ta.

- No cóż - powiedział Rupert - jeden z tych ich statków transportowych zejdzie na dół, otworzy luk i wrzuci ją do środka.

- Właśnie tak to sobie wyobrażam - rzekł Jan.

Mogła to być kabina statku kosmicznego, ale nie była. Ściany były pokryte licznikami i wskaźnikami, a zamiast okien przed pilotem znajdował się duży, ciemny ekran. Statek mógł unieść sześciu pasażerów, ale w tej chwili Jan był jedynym obcym na pokładzie.

Z napięciem wpatrywał się w ekran, chłonąc przesuwający się przed jego oczyma krajobraz tego dziwnego, tajemniczego rejonu. Tajemniczego? A jakże! Tak samo jak wszystko, na co mógł się natknąć pośród gwiazd, jeśli jego szalony plan się powiedzie. Oto wkraczał do królestwa koszmarnych stworzeń polujących na siebie w ciemnościach, które panowały od zarania świata. Było to królestwo, nad którym ludzie żeglowali przez tysiące lat, a znajdowało się nie dalej jak kilometr pod stępkami ich statków. A jednak jeszcze przed stu laty ludzie znali je słabiej niż widoczną stronę Księżyca.

Pilot opuszczał się z wyżyn powierzchni oceanu ku wciąż niezbadanym obszarom Basenu Południowopacyficznego. Jan wiedział, że pojazd prowadzi niewidzialna wiązka fal dźwiękowych wytwarzanych przez boje leżące na dnie oceanu. Nadal unosili się nad tym dnem dużo wyżej niż chmury nad powierzchnią Ziemi.

Niewiele można było zobaczyć; skanery łodzi podwodnej na próżno przeszukiwały wodę. Zakłócenia wytwarzane przez silniki odrzutowe prawdopodobnie odstraszały mniejsze ryby, a jeśli pojawi się teraz jakieś stworzenie, pragnąc ustalić przyczynę hałasu, będzie z tych dużych, które w ogóle nie znają strachu.

Małeńka kabina dygotała mocą - mocą, która była zdolna powstrzymać napór niesamowitego ciężaru wody nad ich głowami i wytworzyć ten mały pęcherzyk powietrza i światła, wewnątrz którego mogli żyć ludzie. „Gdyby ta moc zawiodła - pomyślał Jan - stalibyśmy się więźniami metalowego grobowca zakopanego głęboko w mule dna oceanu”.

– Pora sprawdzić pozycję – oznajmił pilot.

Przerzucił szereg przełączników i łódź podwodna powoli wytraciła szybkość, gdy silniki przestały popychać ją do przodu. Statek zastygł w bezruchu, unosząc się w wodzie jak balon w atmosferze.

Sprawdzenie pozycji na ekranie sonaru trwało tylko chwilę. Skończywszy odczytywać wskazania przyrządów, pilot zaproponował, aby przed ponownym uruchomieniem silników sprawdzić, czy nie uda się czegoś usłyszeć.

Małe pomieszczenie wypełnił cichy, jednostajny pomruk. Jan nie potrafił wyłowić żadnego dźwięku, który wyróżniałby się spośród pozostałych. Był to stały szum składający się z wielu zmieszanych odgłosów. Jan wiedział, że słucha niezliczonego mnóstwa mówiących jednocześnie morskich stworzeń. Miał wrażenie, że stoi pośrodku kipiącej życiem puszczy – choć wtedy z pewnością rozpoznałby niektóre odgłosy. Natomiast tutaj, w tej płątanie dźwięków nie zdołał wyróżnić ani zidentyfikować żadnego. Wszystkie zdawały się tak obce, tak odległe od wszystkiego, czego kiedykolwiek doświadczył, że włosy stanęły mu dęba. A przecież była to część jego świata.

Przez rozedrgany szum przedarł się głośny wrzask jak błysk pioruna na tle burzowej chmury. Szybko przeszedł w upiorny skowyt, wycie, które zamarło, lecz chwilę później znów wróciło z oddali. Nagle z głośnika buchnął chór wrzasków, pandemonium, które sprawiło, że pilot sięgnął do regulatora siły dźwięku.

– Na Boga, cóż to takiego? – sapnął Jan.

– Niesamowite, prawda? To szkółka wielorybów, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Wiedziałem, że są tu gdzieś, i pomyślałem, że zechciały ich pan posłuchać.

Jan wzdrygnął się.

– A ja zawsze myślałem, że morze jest ciche! Dlaczego one robią taki harmider?

– Sądzę, że rozmawiają ze sobą. Sullivan mógłby to panu wyjaśnić. Mówią, że umie nawet rozpoznać poszczególne osobniki, chociaż trudno w to uwierzyć. Hej, mamy towarzystwo!

Na ekranie pojawiła się ryba o niewiarygodnie rozwiniętych szczękach. Wyglądała na dość sporą, ale Janowi trudno było ocenić jej rozmiary, ponieważ nie znał skali obrazu. Tuż pod skrzelami miała sterczący do przodu długi wyrostek zakończony jakimś dzwinkowatym organem.

– Widzimy ją w podczerwieni – powiedział pilot. – Spójrzmy na normalny obraz.

Ryba zniknęła. Pozostał tylko kielich na końcu wyrostka świecący jasnym, fosforyzującym blaskiem. Po chwili uwidoczniła się sylwetka stworzenia, gdy wzdłuż jego ciała zabłysła linia światełek.

– To żabnica. Tym światełkiem zwabia inne ryby. Fantastyczne, prawda? Nie rozumiem tylko, jak to się dzieje, że ta przynęta nie zwabia ryb na tyle dużych, aby mogły ją zjeść. Jednak nie możemy tu stać cały dzień. Proszę ją obserwować, gdy uruchomię silniki.

Kiedy statek ruszył do przodu, kabina znów zadygotała. Wielka, lśniąca ryba zamrugła ze strachu wszystkimi światłami i z szybkością meteora zniknęła w mrocznej otchłani.

Po dalszych dwudziestu minutach powolnego schodzenia niewidzialne palce promieni skanerów złapały pierwszy kontakt z oceanicznym dnem. Daleko w dole przesuwiał się łańcuch niskich wzgórz o dziwnie zaokrąglonych wierzchołkach. Jakiegokolwiek nieregularności tych pagórków już dawno zostały zatarte przez nieustanny deszcz spadający na nie z górnych warstw. Nawet tutaj, na środku Pacyfiku, daleko od ujść wielkich rzek wolno splukujących do mórz całe kontynenty, ten deszcz nigdy nie przestawał padać. Jego przyczyną były rzeźbione przez burze zbocza Andów, miliardy żywych stworzeń oraz pył meteoroidów, które od wieków krążyły w przestrzeni i tu wreszcie znalazły miejsce spoczynku. Tutaj, w mroku wiecznej nocy, tworzyły się podstawy przyszłych łądów.

Pagórki zostały w tyle. Były to forpoczty, o czym Jan przekonał się, spoglądając na mapę, rozległej podmorskiej równiny leżącej na zbyt wielkiej głębokości, by mogły ją dosięgnąć skanery.

Łódź podwodna nadal gładko ześlizgiwała się w głębinie. Na ekranie pojawił się kolejny obraz i z powodu dziwnego kąta Jan dopiero po

pewnym czasie zrozumiał, co widzi. Pojął, że zbliżają się do góry wznoszącej się nad podmorską równiną.

Obraz stał się wyraźniejszy; z bliska skanery miały lepszą rozdzielczość i widok był niemal tak dobry jak przy świetle dziennym. Jan mógł już dostrzec szczegóły i obserwować dziwaczne ryby ścigające się wśród skał. Widział, jak groźnie wyglądająca ryba z rozdziawionym pyskiem przepływała nad prawie niewidoczną szczeliną w skale. Tak szybko, że ledwie zdążył uchwycić to okiem, z rozpadliny wystrzeliła długa macka i wciągnęła szamoczącą się ofiarę.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział pilot. – Za minutę zobaczy pan laboratorium.

Wolno przepływali nad skalną ostrogą wystającą z podstawy góry. Powoli ukazywała się pod nimi rozległa równina i Jan domyślił się, że lódź unosi się najwyżej kilkaset metrów nad dnem oceanu. Może kilometr przed nimi dostrzegł pęk kul stojących na trójnogach i połączonych grubymi rurami. Wyglądały tak samo jak zbiorniki fabryki chemicznej i rzeczywiście ich konstrukcja opierała się na podobnych zasadach. Jedyna różnica polegała na tym, że te tutaj musiały opierać się ciśnieniu z zewnątrz, a nie od wewnątrz.

– A to co takiego? – zakrzuszył się Jan.

Drżącym palcem wskazał najbliższą kulę. Intrygująca plątanina linii na jej powierzchni okazała się siecią gigantycznych macek. Kiedy lódź podwodna podpłynęła bliżej, Jan zobaczył, że zbiegają się w jeden wielki, mięsisty wór, z którego lypie para ogromnych oczu.

– To prawdopodobnie Lucyfer – powiedział spokojnie pilot. – Znowu ktoś go dokarmia. – Przerzucił jakiś przełącznik i pochylił się nad pulpitem. – S2 wzywa Lab. Cumujemy. Czy ktoś zechce przegonić waszego pieszczocha?

Odpowiedź przyszła szybko.

– Lab do S2. Okay. Ruszajcie i podłączajcie się. Lucek zejdzie wam z drogi.

Ekran wypełniły zakrzywione metalowe ściany. Jan dostrzegł jeszcze pospiesznie umykające w mrok gigantyczne odnóże usiane przysawkami.

Potem usłyszał stłumiony łomot i serię zgrzytnięć, gdy obejmujące cumownicze wyszukiwały uchwyty na obłym kadłubie łodzi. Po kilku minutach statek został mocno przyciśnięty do ściany bazy, po czym włązy obu zespoliły się i na ogromnej śrubie wsunęły w głąb batyskafu. Rozległ się sygnał wyrównania ciśnienia, otwarto grodzie i droga do Głębinowego Laboratorium Nr 1 stanęła otworem.

Jan odnalazł profesora Sullivana w niewielkim, zagraconym pomieszczeniu łączącym cechy biura, warsztatu i laboratorium. Uczony oglądał za pomocą mikroskopu coś, co wyglądało jak mała bomba. Prawdopodobnie była to kapsuła zawierająca jakichś przedstawicieli głębinowej fauny pluskających się radośnie pod zwykłym dla nich ciśnieniem rzędu paru ton na centymetr kwadratowy.

– No – powiedział Sullivan, odrywając się od okularu. – Jak się miewa Rupert? I co mogę dla ciebie zrobić?

– Rupert czuje się świetnie – odparł Jan. – Przesyła pozdrowienia oraz wiadomość, że chętnie odwiedziłby pana, gdyby nie jego klaustrofobia.

– No tak, mając nad głową pięć kilometrów wody, mógłby istotnie czuć się trochę nieswojo. Skoro o tym mowa, czy tobie to nie przeszkadza?

Jan wzruszył ramionami.

– Nie bardziej niż pobyt na stratoliniowcu. Jeśli coś nawali, rezultaty będą takie same.

– To dość rozsądne podejście, chłopcze, ale zdziwiłbyś się, jak niewielu ludzi podchodzi do tego w ten sposób. – Sullivan pokręcił gałkami mikroskopu, po czym obrzucił Jana badawczym spojrzeniem. – Z przyjemnością cię oprowadzę – powiedział – ale muszę przyznać, że nieco zaskoczyła mnie twoja prośba, którą przekazał mi Rupert. Nie rozumiem, dlaczego jeden z ogarów kosmosu interesuje się naszą pracą. Czy przypadkiem nie pomyliły ci się kierunki? – Zachichotał. – Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, dlaczego tak się tam spieszycie. Miną wieki, zanim wszystko w oceanach zostanie pomierzone i poszufladkowane.

Jan nabrał powietrza. Rad był, że Sullivan sam zahaczył o powód wizyty, ułatwiając mu w ten sposób sprawę. Mimo kpin ichtiologa ich zawody miały wiele podobieństw. Znalezienie wspólnego języka, zdobycie

sympatii i uzyskanie pomocy rozmówcy nie powinno być zbyt trudne. Sullivan był człowiekiem z wyobraźnią, inaczej nie znalazłby się w tym podwodnym świecie. Jednak Jan musiał zachować ostrożność, ponieważ to, o co zamierzał prosić, było, łagodnie mówiąc, niekonwencjonalne.

Jedno dodawało mu pewności siebie. Nawet jeśli Sullivan odmówi pomocy, na pewno dochowa tajemnicy. A tu, w tym małym, spokojnym pomieszczeniu na dnie Pacyfiku chyba nie należało obawiać się, że Zwierzchnicy, jakiegokolwiek posiadali umiejętności, mogą przysłuchiwać się ich rozmowie.

– Profesorze Sullivan – zaczął – gdyby interesował się pan oceanem, a Zwierzchnicy zabroniliby panu zbliżyć się do niego, jak by pan się czuł?

– Niewątpliwie byłbym wściekły.

– Jestem tego pewien. A przypuśćmy, że pewnego dnia pojawiłaby się szansa prowadzenia badań bez ich wiedzy. Co by pan zrobił? Skorzystałby pan z niej?

Sullivan nie wahał się ani chwili.

– Oczywiście. Potem spróbowałbym to wyjaśnić.

„O to mi chodziło! – pomyślał Jan. – Teraz nie może się wycofać, chyba że obawia się Zwierzchników. A wątpię, czy jest na świecie coś, czego Sullivan się boi”. Pochylił się nad zawalonym ekspozatami stołem i szykował się do przedstawienia swojej sprawy.

Profesor Sullivan nie był jednak głupcem. Zanim Jan otworzył usta, wargi jego rozmówcy wykrzywił sardoniczny uśmiech.

– A więc o to chodzi, tak? – powiedział powoli. – To bardzo, bardzo ciekawe! Teraz wal śmiało i powiedz mi, dlaczego miałbym ci pomóc.

Rozdział 12

Sto lat wcześniej uważano by profesora Sullivana za kosztowny kaprys.

Nakłady na jego badania były porównywalne z kosztami niewielkiej wojny, a jego samego można było porównać do generała prowadzącego walkę z wrogiem, który nigdy nie przegrywał. Przeciwnikiem Sullivana było morze, które używało przeciw niemu takich broni, jak zimno i mrok oraz najgroźniejszej: ciśnienia. Profesor ze swej strony przeciwstawiał wrogowi inteligencję i umiejętności techniczne. Wielokrotnie odnosił sukcesy, ale morze było cierpliwe – mogło poczekać. Sullivan wiedział, że pewnego dnia popełni błąd. Pocieszał się tylko myślą, że na pewno się nie utopi. Nie będzie na to czasu.

Kiedy Jan poprosił go o pomoc, nie zadeklarował jej od razu, ale wiedział już, co zrobi. Nadarzała się okazja przeprowadzenia najbardziej interesującego eksperymentu. Żałował jedynie, że nie pozna rezultatów doświadczenia, ale to często się zdarzało w pracy naukowej. Sam rozpoczynał programy, które miały się zakończyć po kilkudziesięciu latach.

Profesor Sullivan był inteligentnym i odważnym człowiekiem, ale patrząc wstecz na swoją karierę, był świadom tego, że nie przyniesie mu ona sławy utrwalającej imię w pamięci przyszłych pokoleń. Teraz miał szansę – nieoczekiwaną, lecz tym bardziej nęcącą – zapisania się w historii ludzkości. Nie była to ambicja, którą zdradziłby komukolwiek, i należy sprawiedliwie przyznać, że pomógłby Janowi, nawet gdyby jego udział w spisku miał pozostać tajemnicą.

Natomiast Jana właśnie zaczęły dręczyć wątpliwości. Aż do tej chwili ponosił go impet odkrycia. Prowadził śledztwo, ale nie podjął żadnych działań, by urzeczywistnić swoje marzenia. Jednak za kilka dni będzie musiał dokonać wyboru. Jeśli profesor Sullivan zgodzi się mu pomóc, nie

będzie już mógł się wycofać. Będzie musiał stawić czoło losowi, który wybrał, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

Ostatecznie przekonała go myśl, że jeśli odrzuci tę niewiarygodną szansę, to nigdy sobie tego nie wybaczy. Resztę życia spędzi, żałując niewykorzystanej okazji, a nic nie mogło być gorsze.

Kilka godzin później znalazł już odpowiedź Sullivana i wiedział, że kości zostały rzucone. Powoli, bo miał jeszcze mnóstwo czasu, zaczął porządkować swoje sprawy.

Droga Maju! (tak zaczynał się list)

Wszystko to zapewne będzie dla Ciebie – łagodnie mówiąc – niespodzianką. Kiedy otrzymasz ten list, mnie już nie będzie na Ziemi. Nie mam na myśli tego, że wybieram się na Księżyc, jak to zrobiło tylu innych. Nie, będę już w drodze do ojczyzny Zwierzchników. Zostanę pierwszym człowiekiem, który kiedykolwiek opuścił Układ Słoneczny.

Skladam ten list u przyjaciela, który mi pomaga. Zatrzyma go do chwili, gdy upewni się, że mój plan się powiodł, a przynajmniej pierwsza jego faza, i że jest już za późno, aby Zwierzchnicy zdołali coś zrobić. Będę wtedy tak daleko, podróżując z taką szybkością, że wątpię, czy jakakolwiek wiadomość odwołująca podróż zdoła mnie dogonić. Nawet gdyby tak się stało, jest mało prawdopodobne, by zawrócono statek ku Ziemi. Zresztą bardzo wątpię, abym był aż tak ważną osobą.

Pozwól, że wyjaśnię Ci, co mnie do tego popchnęło. Wiesz, że zawsze interesowały mnie loty kosmiczne i że byłem rozgoryczony tym, iż nigdy nie dano nam ruszyć ku innym planetom ani dowiedzieć się czegokolwiek o cywilizacji Zwierzchników. Gdyby się nie wtrącili, zapewne do tej pory dotarlibyśmy na Marsa i Wenus. Choć muszę przyznać, że równie prawdopodobne jest, że unicestwilibyśmy się bombami wodorowymi oraz innymi rodzajami broni masowego rażenia, jakie wytwarzano w dwudziestym wieku. Jednak czasem chciałbym, aby dano nam szansę samodzielności.

Zwierzchnicy mają prawdopodobnie jakieś powody, dla których trzymają nas w żłobku, i być może ich pobudki są bardzo szlachetne. Ale

nawet gdybym je znał, wątpię, czy miałyby to wpływ na moje postanowienia i działania.

Tak naprawdę wszystko zaczęło się na tym przyjęciu Ruperta. (Przy okazji – on o niczym nie wie, mimo iż podsunął mi ciekawy pomysł). Pamiętasz ten głupi seans, który zorganizował? Ten, który zakończył się omdleniem – zapomniałem, jak jej na imię – dziewczyny? Zapytałem wtedy, która gwiazda jest ojczyzną Zwierzchników. Odpowiedź brzmiała: „NGS 549672”. Prawdę mówiąc, nie oczekiwałem żadnej odpowiedzi i aż do tej chwili całą sprawę traktowałem jako żart. Ale kiedy uświadomiłem sobie, że symbol ten oznacza numer w katalogu gwiazd, postanowiłem to sprawdzić. Stwierdziłem, że odpowiada on gwiazdzie w konstelacji Carina, a jedną z niewielu rzeczy, jakie wiemy o Zwierzchnikach, jest to, że przybywają z tamtego rejonu.

Nie podejmuję się teraz wyjaśnić, w jaki sposób dotarła do nas ta informacja ani skąd pochodziła. Czyżby ktoś czytał w myślach Rashaveraka? Gdyby nawet tak było, jest mało prawdopodobne, by wiedział, jaki jest katalogowy numer jego słońca w naszej klasyfikacji. Rzecz jest zupełnie niepojęta i pozostawiam ją takim ludziom jak Rupert. Niech próbują to rozgryźć, jeśli potrafią. Mnie zadowala sama informacja i możliwość jej wykorzystania.

Dzięki obserwacjom wiemy sporo o startach i szybkości statków Zwierzchników. Opuszczają Układ Słoneczny z takim przyspieszeniem, że już po niecałej godzinie osiągają prędkość światła. To świadczy o tym, że posiadają napęd, który działa na każdy atom ich statku, w przeciwnym razie wszystko na pokładzie natychmiast zostałoby zniszczone. Zastanawiam się, dlaczego potrzebują tak kolosalnych przyspieszeń, skoro do nabrania szybkości mają tyle przestrzeni, ile dusza zapagnie, a i czasu też im chyba nie brakuje. Przypuszczam, że potrafią w pewnym stopniu wykorzystywać pola energetyczne gwiazd i dlatego muszą startować i zatrzymywać się w pobliżu słońc. Jednak to tak tylko przy okazji...

Najważniejsze, że wiem, dokąd się udają, i stąd mogę przewidzieć czas podróży. NGS 549672 leży w odległości czterdziestu lat świetlnych od Ziemi. Statek Zwierzchników osiąga ponad dziewięćdziesiąt dziewięć

procent prędkości światła, tak więc podróż musi trwać czterdzieści lat. Według *naszej* miary czasu. A to kluczowe.

Może słyszałaś, że przy prędkości bliskiej prędkości światła dzieją się dziwne rzeczy. Czas zaczyna płynąć w różny sposób, w tym wypadku wolniej, tak że miesiące upływające na Ziemi będą dniami na pokładzie statku. Ten efekt jest skutkiem jednego z podstawowych praw fizyki, został odkryty ponad sto lat temu przez wielkiego Einsteina.

Opierając się na tym, co wiemy o gwiazdnym silniku, i posługując się od dawna potwierdzonym doświadczalnie aparatem teorii względności, wykonałem pewne obliczenia.

Dla pasażerów statku Zwierzchników podróż do NGS 549672 potrwa *nie dłużej niż dwa miesiące*, mimo że na Ziemi upłynie czterdzieści lat. Wiem, że wygląda to na paradoks, i jedynym pocieszeniem jest, że najtęższe umysły Ziemi borykały się z tym, od czasu gdy Einstein ogłosił swoją teorię.

Może lepiej wyjaśni ci to przykład ilustrujący, co może się zdarzyć. Jeśli Zwierzchnicy natychmiast odeślą mnie na Ziemię, powrócę do domu starszy o cztery miesiące, ale na samej Ziemi minie osiemdziesiąt lat. Sama więc rozumiesz, Maju, że jest to list pożegnalny...

Jak dobrze wiesz, niewiele łączy mnie z Ziemią i mogę ją porzucić z czystym sumieniem. Jeszcze nic nie mówiłem matce. Wpadłaby w histerię, a tego nie mógłbym znieść. Tak jest lepiej. Od śmierci ojca próbowałem nawiązać z nią kontakt... No cóż, teraz i tak nie ma sensu znów tego wałkować.

Przerwałem studia i powiadomiłem władze uczelni, że z powodów rodzinnych przenoszę się do Europy. Wszystko już załatwiłem i nie powinnaś się o nic martwić.

W tej chwili myślisz pewnie, że zwariowałem, ponieważ dotychczas nikomu nie udało się dostać na którykolwiek ze statków Zwierzchników. Jednak ja wymyśliłem sposób. Taka okazja nie trafia się często, a w przyszłości może się już nie powtórzyć, gdyż jestem przekonany, że Karellen nigdy nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Czy znasz

legendę o drewnianym koniu, za pomocą którego Grecy dostali się do Troi? A w Starym Testamencie jest jeszcze lepsza historia.

– Na pewno będzie ci dużo wygodniej niż Jonaszowi – powiedział Sullivan. – Nie ma żadnych dowodów, że korzystał z elektrycznego oświetlenia czy łazienki. Jednak będzie ci potrzebna żywność i widzę, że bierzesz tlen. Czy w tak ograniczonej przestrzeni zmieścisz zapasy na dwumiesięczną podróż?

Postukał palcem w rysunek, który Jan położył na stole. Jeden brzeg szkicu przycisnął mikroskopem, a drugi czaszką jakiejś niesamowitej ryby.

– Mam nadzieję, że tlen nie będzie mi potrzebny – rzekł Jan. – Wiemy, że Zwierzchnicy mogą oddychać naszym powietrzem, choć niezbyt to lubią, ale ich atmosfera może mi zupełnie nie odpowiadać. Co do zapasów, użycie narkozaminy winno rozwiązać ten problem. Zaraz po starcie zrobię sobie zastrzyk, po którym powinienem zasnąć na mniej więcej sześć tygodni. Wtedy prawdopodobnie będziemy już niedaleko. Szczerze mówiąc, martwi mnie nie tlen i żywność, ale perspektywa nudy.

Profesor Sullivan w zadumie skinął głową.

– Zgadzam się, narkozamina jest niezła i można dość dokładnie obliczyć dawkę. Ale pamiętaj, mój drogi, że będziesz miał pod ręką mnóstwo żywności, lecz kiedy się ockniesz, będziesz otumaniony i słaby jak kocię. A jeśli zagłodzisz się na śmierć, bo zabraknie ci sił, aby otworzyć konserwę?

– Pomyślałem i o tym – odparł nieco dotknięty Jan. – Jak zwykle w takich wypadkach oprę się na słodyczach i czekoladzie.

– Dobrze. Miło mi słyszeć, że dokładnie wszystko przemyślałeś i nie traktujesz tego jak wyczynu, z którego zawsze możesz się wycofać, jeśli przestanie cię bawić. Wprawdzie ryzykujesz swoje życie, ale nie chciałbym mieć poczucia winy, że pomogłem ci popełnić samobójstwo.

Podniósł czaszkę ryby i zważył ją w dłoni. Jan szybko złapał szkic, zapobiegając zwinieniu się rysunkowi.

– Na szczęście – mówił dalej profesor – potrzebne ci wyposażenie jest dość typowe i można je skompletować w ciągu paru tygodni. A gdybyś się rozmyślił...

– Nie rozmyślę się – powiedział Jan.

Rozważyłem ryzyko, które podejmuję, ale wydaje mi się, że mój plan nie ma słabych punktów. Po sześciu tygodniach wyjdę jak każdy pasażer na gapę i oddam się w ręce dowódcy statku. Jednak wtedy – pamiętaj, według *mojego* czasu – będziemy już niemal na miejscu. Będziemy podchodzili do lądowania na planecie Zwierzchników.

Oczywiście to, co się stanie potem, zależy od nich. Prawdopodobnie odeślą mnie do domu pierwszym statkiem, ale przynajmniej *coś* zobaczę. Mam czteromilimetrową kamerę i tysiące metrów taśmy. Jeśli nie uda mi się z tego skorzystać, to nie z mojej winy. Nawet gdyby miało dojść do najgorszego, udowodnię im, że nie da się na zawsze zamknąć człowieka w klatce. Stworzę precedens, który zmusi Karellena do działania.

I to już, droga Maju, wszystko, co chciałem Ci powiedzieć. Wiem, że nie bardzo odczujesz brak mojej osoby. Bądźmy raz uczciwi wobec siebie i przyznajmy, że niewiele nas łączyło, a teraz, kiedy wyszłaś za Ruperta, będziesz szczęśliwa w swoim świecie. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Żegnam Cię więc i życzę Ci szczęścia. Kiedyś postaram się spotkać z Twoimi wnukami – zrób coś, żeby o mnie wiedziały, dobrze?

Twój kochający brat

Jan

Rozdział 13

Kiedy Jan zobaczył to po raz pierwszy, omal nie uległ złudzeniu, że patrzy na montowany właśnie kadłub małego sterowca. Metalowy szkielet miał dwadzieścia metrów długości, idealnie opływowe kształty i był otoczony jasno oświetlonym pomostem, na którym krzątali się uzbrojeni w narzędzia robotnicy.

– Tak – odparł Sullivan na jego pytanie. – Korzystamy z doświadczeń przemysłu lotniczego, a większość tych ludzi pracowała przedtem przy budowie samolotów. Niełatwo uwierzyć, że coś o takich rozmiarach może być żywe, prawda? Albo że potrafi samo wyskoczyć z wody, a nieraz to widziałem.

Wszystko, co Jan oglądał, było wręcz fascynujące, ale musiał teraz myśleć o innych rzeczach. Uważnie obejrzał ogromny szkielet, szukając kryjówki dla swojej małej celi – „trumny z klimatyzacją”, jak ją nazwał Sullivan. Przynajmniej jeden z trapiących Jana problemów zniknął. Wewnątrz było wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić nawet dwunastu pasażerów na gapę.

– Szkielet jest już prawie skończony – powiedział Rodricks. – Kiedy będziecie naciągali skórę? Wieloryba chyba już złapaliście, bo inaczej skąd wiedzilibyście, jak wielki ma być szkielet.

Ta uwaga niezwykle ubawiła Sullivana.

– Wcale nie mieliśmy zamiaru łapać wieloryba. Zresztą one nie mają skóry w normalnym znaczeniu tego słowa. Ponadto okrywanie szkieletu powłoką grubości dwudziestu centymetrów byłoby kłopotliwe. Zrobimy ją z plastiku i odpowiednio pomalujemy. Kiedy skończymy, nikt nie zauważy różnicy.

„W tym przypadku – pomyślał Jan – Zwierzchnicy postąpiliby rozsądniej, gdyby sfotografowali zwierzę i wykonali u siebie model w skali

jeden do jednego. Ale, być może, statki zaopatrzeniowe wracają puste i taki drobiazg jak dwudziestometrowy wieloryb nie zrobi im różnicy. Ktoś, kto ma taką wiedzę i środki, może sobie nie zawracać głowy drobnymi kosztami...”

Profesor Sullivan stał obok jednego z tych wielkich posągów, które od odkrycia Wyspy Wielkanocnej stanowiły wyzwanie dla archeologów. Gdy profesor patrzył na wytwór swoich rąk, król, bóg czy ktokolwiek to był, zdawał się śledzić go niewidzącym spojrzeniem. Naukowiec był dumny z tego, co zrobił, i żałował, że jego dzieło zniknie niebawem na zawsze z oczu ludzi.

Mógłby je stworzyć szalony artysta, w dodatku cierpiący na delirium tremens. A jednak to Natura je wyrzeźbiła – patrzył na nadzwyczaj wierną kopię żywego zwierzęcia. Zanim doprowadzono do perfekcji technikę zdjęć podwodnych, taką scenę widziało bardzo niewielu ludzi, a i wtedy obserwowano ją tylko wówczas, gdy gigantyczni, spleceni w walce przeciwnicy wypływali na powierzchnię. Te boje staczano w wiecznych mrokach oceanicznych głębi, w których żerowały kaszaloty. Lecz ten żer stawiał zaciekle opór...

Długa dolna szczęka otwierała się szeroko, gotowa zatrzaskać się na zdobyczy. Łeb wieloryba był niemal całkowicie okryty skłębioną masą białych, mięsistych ramion, za pomocą których gigantyczna kałamarnica walczyła o życie. Wyraźne ślady przyssawek o średnicy dwudziestu i więcej centymetrów znaczyły skórę walenia w miejscach, gdzie przyczepiły się macki. Jednak głowa mięczaka zwisała już bezwładnie i nie było żadnych wątpliwości co do ostatecznego wyniku zmagania. Kiedy dwa największe z żyjących na Ziemi stworzeń zwierały się w walce, zwycięzcą zawsze zostawał kaszalot. Pomimo ogromnej siły wijących się ramion jedyną nadzieją kałamarnicy była ucieczka, zanim te cierpliwie rozwarte szczęki rozedrą ją na strzępy. Wielkie, bezmyślne, półmetrowe ślepia stworzenia wpatrywały się w swego pogromcę, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa przeciwnicy nie mogli się widzieć w tej mrocznej otchłani.

Całość miała ponad trzydzieści metrów długości i była otoczona klatką z aluminiowych prętów, do których przymocowano łapy podnośnika. Wszystko było przygotowane, aby usatysfakcjonować Zwierzchników. Sullivan miał nadzieję, że cała operacja przebiegnie dość szybko; nerwowe napięcie zaczynało mu już doskwierać.

Ktoś wyszedł z biura na jasne światło dnia, najwyraźniej szukając profesora. Sullivan poznał głównego księgowego i podszedł do niego.

– Cześć, Bill. Co to za zamieszanie?

Tamten trzymał w ręku blankiet telegramu i wyglądał na zadowolonego.

– Dobre wiadomości, profesorze. Spotkał nas nie lada zaszczyt! Sam Kontroler zamierza przybyć i obejrzeć eksponat przed wysyłką. Proszę pomyśleć o rozgłosie! To bardzo nam pomoże, kiedy będziemy się ubiegać o nowe fundusze. Miałem nadzieję, że coś takiego się zdarzy.

Sullivan z trudem przełknął ślinę. Nie miał nic przeciwko rozgłosowi, ale obawiał się, że tym razem może go mieć trochę za wiele.

Karellen zatrzymał się przy głowie wieloryba i spojrzał w górę, na wielki, tępo ścięty pysk. Ukrywając niepokój, Sullivan zastanawiał się, o czym myśli Kontroler. Jego zachowanie nie wskazywało na to, że cokolwiek podejrzewa, a wizytę można było z powodzeniem uznać za kurtuazyjną. Jednak profesor cieszyłby się, gdyby wreszcie dobiegła końca.

– Na naszej planecie nie ma tak dużych zwierząt – powiedział Karellen.

– To jeden z powodów, dla których prosiliśmy, abyście zrobili tę grupę. Spodoba się moim... hmm... ziomkom.

– Ze względu na niską grawitację na waszej planecie – odparł Sullivan

– podejrzewałbym, że żyjące tam zwierzęta są dość duże. Proszę spojrzeć choćby, o ile jesteście od nas wyżsi!

– No tak, ale u nas nie ma mórz. A pod względem rozmiarów mieszkańców łąd nie wytrzymuje porównania z wodą.

„To prawda” – pomyślał Sullivan. O ile też wiedział, ten fakt dotyczący ojczyzny Zwierzchników nie był dotychczas znany. Gdyby Jan to usłyszał,

byłby bardzo zaciekawiony.

Młody człowiek siedział w tej chwili w odległej o kilometr chatce, niespokojnie obserwując inspekcję za pomocą lornetki. Powtarzał sobie w duchu, że nie ma powodu do obaw. Oględziny wieloryba, nawet dość szczegółowe, nie mogły ujawnić jego sekretu. Ale zawsze istniała możliwość, że Karellen coś podejrzewa i bawi się z nimi jak kot z myszą.

To samo podejrzenie wykiełkowało w umyśle Sullivana, gdy Kontroler zajrzał w przepastną paszczę.

– Wasza Biblia – powiedział Zwierzchnik – zawiera świetną historię o hebrajskim proroku, niejakim Jonaszu, połkniętym przez wieloryba i przeniesionym bezpiecznie na ląd po tym, jak został wyrzucony z okrętu. Czy myśli pan, że u źródeł tej legendy mogły leżeć prawdziwe wydarzenia?

– Uważam – odparł ostrożnie profesor – że istnieje przynajmniej jeden dobrze osadzony w realiach opis wydarzenia, w którym łowca wielorybów został połknięty i wypłuty bez uszczerbku dla zdrowia. Oczywiście udusiłby się, gdyby przebywał w żołądku wieloryba dłużej niż kilka sekund. Ta historia jest bardzo niewiarygodna, ale teoretycznie możliwa.

– To bardzo interesujące – powiedział Karellen.

Stał jeszcze chwilę, przyglądając się ogromnym szczękom, a potem zaczął oglądać kałamarnicę. Sullivan miał nadzieję, że Zwierzchnik nie usłyszał jego westchnienia ulgi.

– Gdybym wiedział, przez co będę musiał przejść – rzekł profesor Sullivan – wyrzuciłbym cię z biura, kiedy przyszedłeś zarazić mnie swoim szaleństwem.

– Przykro mi z tego powodu – odparł Jan. – Jednak udało się.

– Mam nadzieję. Tak czy owak, powodzenia. Gdybyś się rozmyślił, masz jeszcze co najmniej sześć godzin.

– Nie będę ich potrzebował. Teraz jedynie Karellen może mnie powstrzymać. Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Jeśli wrócę i napiszę książkę o Zwierzchnikach, zadedykuję ją panu.

– Dużo mi z tego przyjdzie – rzucił ponuro Sullivan. – Od dawna będę już nieboszczykiem!

Ku swemu zaskoczeniu i lekkiej konsternacji, bo nie był człowiekiem sentymentalnym, odkrył, że to pożegnanie zaczyna go wzruszać. W ciągu minionych kilku tygodni zdążył polubić Jana. Teraz rodziła się w nim obawa, że pomaga chłopakowi popełnić skomplikowane samobójstwo.

Przytrzymał drabinę, gdy Jan wspinał się ku wielkiej paszczy. Przy świetle latarki elektrycznej zobaczył, jak Rodricks obrócił się, pomachał mu ręką i zniknął w przepastnej głębi. Usłyszał jeszcze odgłos otwierania i zamykania pneumatycznego włazu, a potem zapadła cisza.

W świetle księżyca, które przemieniło walczące ze sobą zwierzęta w scenę z nocnego koszmaru, profesor Sullivan wolno wracał do swojej pracowni. Myślał o tym, co zrobił i jakie to może mieć skutki. On, oczywiście, nigdy się niczego nie dowie. Jan może kiedyś tu wróci, straciwszy nie więcej niż parę miesięcy życia na podróż do ojczyzny Zwierzchników i powrót na Ziemię. Jeśli tak się stanie, chłopak znajdzie się po drugiej stronie nieprzekraczalnej bariery czasu, osiemdziesiąt lat w przyszłości.

Gdy tylko Jan zatrzasnął wewnętrzne drzwi włazu, w niewielkiej cylindrycznej kapsule zapaliły się światła. Nie tracił czasu na rozmyślenia, lecz natychmiast rozpoczął kolejne, starannie przećwiczone czynności. Wszystkie zapasy i pożywienie zostały zapakowane kilka dni wcześniej, ale ostatnia kontrola pozwoli mu zachować przytomność umysłu i da absolutną pewność, że niczego nie zaniedbał.

Godzinę później zadowolony zakończył przegląd. Położył się na gąbczastym materacu i po raz kolejny punkt po punkcie przebiegł w myślach cały plan. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichutki pomruk elektrycznego zegara z kalendarzem, który ostrzeże go, że podróż zbliża się ku końcowi.

Wiedział, że tu, w tej celi nie odczuje niczego, ponieważ potężne siły poruszające statek Zwierzchników muszą być idealnie skompensowane. Upewnił się o tym Sullivan, twierdząc, że jego grupa rozpadnie się, jeżeli

zostanie poddana przeciążeniu większemu niż kilka g. Jego... klienci zapewnili, że nie powinien się tego obawiać.

Jednak nastąpi dość znaczna zmiana ciśnienia atmosferycznego. To też nie było istotne, gdyż puste w środku modele mogły „oddychać” kilkoma otworami. Przed opuszczeniem kontenera Jan będzie musiał wyrównać różnicę. Zakładał, że atmosfera na statku Zwierzchników nie nadaje się do oddychania. Zwykła maska na twarz i tlen powinny wystarczyć; nie trzeba stosować niczego wymyślnego. Jeśli będzie mógł oddychać bez pomocy urządzeń mechanicznych, na pewno to zrobi.

Nie było sensu dłużej zwlekać, tylko bardziej się zdenerwuje. Wyjął małą strzykawkę napelnioną starannie przygotowanym środkiem. Narkozaminę odkryto w trakcie badań nad hibernacją żywych istot, lecz błędne było twierdzenie, w które powszechnie wierzono, że powodowała zawieszenie wszystkich procesów życiowych. Po prostu znacznie je spowalniała – przemiany metaboliczne zachodziły nadal, tyle że z dużo mniejszą intensywnością. Mówiąc obrazowo, równało się to przygaszeniu ogniska życia przy pozostawieniu żaru pod popiołem. Kiedy zaś, po tygodniach lub miesiącach, przeminie efekt działania specyfiku, żar ponownie buchnie ogniem i śpiący obudzi się. Narkozamina była środkiem absolutnie pewnym. Od wielu milionów lat Natura używała jej, aby niektórym swym dzieciom oszczędzić zimowego głodu.

Tak więc Jan zasnął. Nie czuł nagłego szarpnięcia, gdy potężny metalowy szkielet uniósł się do ładowni frachtowca Zwierzchników. Nie słyszał, jak zatraskują się luki, by otworzyć się dopiero 3 × 1014 kilometrów dalej. Nie usłyszał też odległego, stłumionego przez grube ściany gniewnego wycia rozdzieranej atmosfery Ziemi, gdy statek szybko zmierzał ku swemu naturalnemu środowisku.

Nawet nie poczuł, że włączono gwiazdny silnik.

Rozdział 14

Podczas cotygodniowych spotkań sala konferencyjna była zawsze pełna, ale dziś panował taki tłok, że reporterom trudno było robić notatki. Po raz setny utyskiwali na konserwatyzm Karellena i jego brak zrozumienia. Gdzie indziej mieliby kamery, magnetofony i inne narzędzia tego wysoce techniczowanego zawodu. Tutaj musieli korzystać z tak archaicznych pomocy, jak papier i ołówek, a nawet – wprost niewiarygodne! – *stenografia*.

Oczywiście swego czasu podjęto kilka prób przemycenia magnetofonów. Udało się nawet wynieść je z powrotem, ale jedno spojrzenie na dymiące wnętrze wykazało bezowocność tych wysiłków. Wtedy wszyscy zrozumieli, dlaczego zawsze ostrzegano ich, aby dla własnego dobra przed wejściem na salę konferencyjną zostawiali zegarki i inne metalowe obiekty.

Sprawę pogarszał fakt, że Karellen filmował przebieg spotkania. Reporterów, którzy niedokładnie przekazywali lub – to akurat zdarzało się bardzo rzadko – celowo przeinaczali jego wypowiedzi, podwładni Karellena wzywali na krótkie i nieprzyjemne rozmowy, podczas których winowajcy musieli wsłuchiwać się w przebieg odtwarzanej konferencji i zwracać uwagę na to, co *naprawdę* powiedział Kontroler. Tych lekcji nigdy nie trzeba było powtarzać.

Tu i ówdzie rozchodziły się dziwne pogłoski. Wprawdzie nie podawano wcześniej żadnych informacji, ale jak zawsze, gdy Karellen miał przekazać coś istotnego, a zdarzało się to nie częściej niż dwa lub trzy razy w roku, było pełno ciekawskich.

Kiedy wielkie drzwi otworzyły się i Kontroler wyszedł na podium, nad rozgorączkowanym zgromadzeniem zapadła głucha cisza. Przygaszono światła, by zbliżyć nieco warunki do tych, jakie panują na odległej

planecie Zwierzchnika, i by Kontroler mógł zdjąć ciemne okulary, które zazwyczaj nosił na otwartej przestrzeni.

Na bezładny chór powitań odpowiedział formalnym „Dzień dobry wszystkim!” i zwrócił się do wysokiego człowieka stojącego w pierwszym szeregu gości. Pan Golde, senior Klubu Dziennikarzy, mógłby być inspiracją dla starego żartu o lokaju zapowiadającym gości: „Teraz trzej reporterzy, madame i dżentelmen z »Timesa«”. Ubierał się i zachowywał jak dyplomata starej daty; wszyscy bez wahania obdarzali go zaufaniem i nikt potem nigdy tego nie żałował.

– Niezły mamy tu dziś tłum, panie Golde. Pewnie nie macie o czym pisać.

Dżentelmen z „Timesa” uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że coś pan na to poradzi, panie Karellen.

Spojrzał bacznie na zastanawiającego się nad odpowiedzią Kontrolera. Wydawało się nie fair, że nieruchome jak maski twarze Zwierzchników nie zdradzały żadnych uczuć. Wielkie oczy o źrenicach zwężonych nawet w tym słabym świetle z nieodgadnionym wyrazem wpatrywały się w zaciekawione oczy człowieka. Dwie szpary oddechowe na policzkach, jeśli te żłobkowane, bazaltowoczarne wypukłości można było nazwać policzkami, wydawały cichy, świszczący dźwięk, z jakim prawdopodobnie płuca Karellena pracowały w rzadkim ziemskim powietrzu. Golde widział kurtynę białych, delikatnych włosów powiewających zgodnie z rytmem oddechu Zwierzchnika. Powszechnie uważano, iż są to filtry przeciwpylowe, i na tej kruchej podstawie zbudowano wiele skomplikowanych teorii na temat atmosfery świata Zwierzchników.

– O tak, mam dla was parę informacji. Jak na pewno wiecie, ostatnio wystartował z Ziemi jeden z naszych statków zaopatrzeniowych powracających do bazy. Właśnie odkryliśmy na jego pokładzie pasażera na gapę.

Sto ołówków nagle znieruchomiło i sto par oczu wbiło się w Karellena.

– Powiedział pan „pasażer na gapę”, Kontrolerze? – rzekł Golde. – Czy wolno mi spytać, kim jest i jak dostał się na pokład?

- Nazywa się Jan Rodricks i studiował inżynierię na Uniwersytecie Kapsztadzkiem. Pozostałe szczegóły niewątpliwie odkryjecie sami, korzystając z własnych, niezwykle skutecznych sposobów.

Karellen uśmiechnął się. Uśmiech Zwierzchnika był dość nietypowy. Pozostawał jedynie w oczach; sztywne, pozbawione warg usta prawie się nie poruszyły. Golde zastanawiał się, czy to kolejny z ludzkich zwyczajów z taką zręcznością naśladowanych przez Karellena. Jednak mimo wszystko sprawiał wrażenie uśmiechu i rozmówcy właśnie tak go odbierali.

- Jeśli chodzi o to, w jaki sposób - kontynuował Kontroler - ma to mniejsze znaczenie. Mogę zapewnić zarówno was, jak i każdego potencjalnego astronautę, że tego wyczynu nie da się powtórzyć.

- Co stanie się z tym młodym człowiekiem? - zapytał Golde. - Czy zostanie odesłany na Ziemię?

- Chociaż sprawa nie podlega mojej jurysdykcji, przypuszczam, że powróci następnym statkiem. Stwierdzi, że tam, dokąd dotarł, warunki są zbyt... odmienne, aby człowiek mógł się w nich dobrze czuć. I w ten sposób dochodzimy do głównego tematu dzisiejszego spotkania. - Karellen przerwał i zapadła jeszcze głębsza cisza. - Młodszy i bardziej romantyczny członek waszej rasy skarżą się na to, że przestrzeń kosmiczna została przed wami zamknięta. Mieliśmy w tym swój cel; nie wydajemy zakazów dla samej przyjemności zakazywania. Czy kiedykolwiek zadaliście sobie trud, by rozważyć, jeśli wybaczycie mi tę mało pochlebną analogię, co czułby człowiek z epoki kamiennej, który znalazłby się nagle we współczesnym mieście?

- Ależ - zaprotestował przedstawiciel „Herald Tribune” - to zasadnicza różnica. Jesteśmy przyzwyczajeni do zdobyczy nauki. W waszym mieście na pewno nie potrafilibyśmy zrozumieć wielu rzeczy, ale nie wydałyby się nam one cudami.

- Jesteście tego zupełnie pewni? - spytał Karellen tak cicho, że trudno było dosłyszeć jego słowa. - Wiek elektryczności od wieku pary dzieli zaledwie sto lat, lecz cóż począłby inżynier z epoki królowej Wiktorii z odbiornikiem telewizyjnym albo elektroniczną maszyną liczącą? I jak długo udałoby mu się przeżyć, gdyby zaczął badać zasady ich działania?

Przepaść między dwiema technologiami może łatwo stać się tak wielka, że próba jej przeskoczenia może skończyć się śmiercią.

– Hej – szepnął Reuters do BBC. – Mamy szczęście. Właśnie zamierza złożyć jakąś ważną deklarację dotyczącą całej ich polityki. Znam te objawy.

– Są też inne powody, dla których zamknęliśmy rasę ludzką na Ziemi. Patrzcie.

Światła przygasły, a potem zgasły zupełnie. Równocześnie na środku pokoju zaczęła się formować fosforyzująca plama. Po chwili znieruchomiała, tworząc gwiazdny wir, spiralną mgławicę widzianą z ogromnej odległości – z punktu położonego daleko poza najbardziej oddalonym od centrum słońcem.

– Tego widoku nie oglądał jeszcze żaden człowiek – rozległ się w ciemności głos Kontrolera. – Widzicie swój wszechświat, galaktykę, w której żyjecie, i wasze Słońce z odległości pół miliona lat świetlnych.

Zapadło długie milczenie. Po chwili Karellen podjął wątek, ale teraz w jego głosie pojawiło się coś, co można by uznać za litość zmieszaną ze wzgardą.

– Wasza rasa wykazała godną podziwu niezdolność do uporania się z problemami własnej, niezbyt dużej planety. Kiedy przybyliśmy, byliście o włos od samounicestwienia za pomocą sił, jakie przedwcześnie dała wam nauka. Gdybyśmy nie zmienili biegu wydarzeń, Ziemia byłaby dziś radioaktywną pustynią. Teraz macie zjednoczony świat i ludzkość. Wkrótce będziecie już na tyle cywilizowani, aby zarządzać własną planetą bez naszej pomocy. Może uda się wam też kiedyś uporać z problemami całego Układu Słonecznego. Ale czy naprawdę wyobrażacie sobie, że kiedykolwiek sprostacie *temu*?

Mgławica zaczęła gwałtownie rosnać. Obok dziennikarzy przelatowały pojedyncze gwiazdy, pojawiając się i znikając jak skry z paleniska. A każda z tych ulotnych iskerek oznaczała słońce i ktoś zgadnie ile krążących wokół niego światów.

– W jednej tylko, naszej galaktyce – mruzczał Karellen – jest osiemdziesiąt siedem miliardów słońc. Jednak nawet ta liczba daje słabe

pojęcie o rozmiarach i przestrzeni. Stając z tym twarzą w twarz, będziecie jak mrówki próbujące zbadać i sklasyfikować wszystkie ziarnka piasku na wszystkich pustyniach waszego świata. W obecnym stadium ewolucji wasza rasa nie zdoła sprostać tej niezwyklej próbie. Jednym z moich obowiązków jest chronić was przed potęgami i siłami kryjącymi się wśród gwiazd, siłami przewyższającymi wszystko, co moglibyście sobie wyobrazić.

Obraz wirującej, ognistej galaktycznej mgły nagle zbladł i zniknął, a w nagłej ciszy wielkiej sali znów zapaliło się światło.

Karellen odwrócił się, aby wyjść – audyencja była skończona. Przy drzwiach zatrzymał się i raz jeszcze spojrzął na milczące zgromadzenie.

– To gorzka myśl, ale musicie do niej przywyknąć. Być może któregoś dnia zawładniecie planetami. Ale gwiazdy nie są dla człowieka.

„Gwiazdy nie są dla człowieka”. O tak, to, że zatrzaśnięto im przed nosem bramy niebios, mocno ich rozzłości. Jednak muszą wreszcie spojrzeć prawdzie w twarz, a przynajmniej w ten jej fragment, który litościwie mógł im pokazać.

Samotny na wyżynach stratosfery Karellen patrzył na planetę i lud, które – choć niechętnie – wziął pod opiekę. Myślał o przyszłości, o tym, czym ten świat będzie zaledwie za kilka lat.

Nawet nie dowiedzą się, jakie mieli szczęście. Przez okres jednego pokolenia ludzkość zaznała tyle radości, ile nie było dane żadnej rasie przed nią. Był to Złoty Wiek. Lecz złoty jest również kolorem schyłku, barwą jesieni... i tylko uszy Karellena były w stanie usłyszeć pierwsze zawodzenia zimowych zawiei.

I tylko Karellen wiedział, z jaką nieubłaganą szybkością nadchodzi koniec Złotego Wieku.

CZEŚĆ TRZECIA

OSTATNIE POKOLENIE

Rozdział 15

Spójrz na to! – wybuchnął George, ciskając gazetę w stronę Jean.

Dziennik zatrzymał się dopiero na skraju stołu. Cierpliwie zeszkrobała dżem ze strony i starając się okazywać dezaprobatę, przeczytała notatkę, która wywołała takie oburzenie męża. Niezbyt jej to wyszło, bo zwykle podzielała zdanie krytyków. Najczęściej zatrzymywała swoje świętokradcze opinie dla siebie, i to nie tylko dla świętego spokoju. George znakomicie przyjmował pochwały, zresztą nie tylko od niej, lecz jeśli ośmielała się krytykować jego prace, natychmiast częstował ją wykładem, który z miażdżącą logiką wykazywał jej kompletny brak artystycznego gustu.

Przeczytała recenzję dwukrotnie i poddała się. Artykuł wydawał się jej dość przychylny i dała temu wyraz.

– Chyba spodobało mu się przedstawienie. Co cię tak zdenerwowało?

– To! – prychnął George, pukając palcem w środek kolumny. – Przeczytaj jeszcze raz.

– „Szczególnie miła dla oka była delikatna pastelowa zieleń tła w scenie baletowej”. No i co z tego?

– To *nie była* zieleń. Straciłem masę czasu, aby uzyskać właściwy odcień błękitu. I co się dzieje? Albo jakiś, szlag by go trafił, technik w studiu spartolił balans barw, albo ten bałwan krytyk ma rozregulowane kolory w telewizorze. Słuchaj, a jak to wyglądało na *naszym* ekranie?

– Hmm... Nie mogę sobie przypomnieć – wyznała Jean. – Małeństwo zaczęło wtedy płakać i musiałam wyjść, żeby zobaczyć, co jej jest.

– Och – rzekł pozornie uspokojony, ale w rzeczywistości kipiący wewnątrz George.

Jean wiedziała, że w każdej chwili należy oczekiwać kolejnego wybuchu. Jednak kiedy do tego doszło, był on utrzymany w granicach

rozsądku.

– Właśnie wymyśliłem nową definicję telewizora – mruknął ponuro. – Podejrzewam, że jest to urządzenie do *zakłócania* komunikacji między artystą a widownią.

– I co w związku z tym zamierzasz zrobić? – odparła Jean. – Wrócić do teatru na żywo?

– A dlaczego nie? – zapytał George. – Właśnie o tym myślałem. Czytałaś list, który dostałem od mieszkańców Nowych Aten? Napisałi do mnie ponownie. Tym razem zamierzam im odpowiedzieć.

– Naprawdę? – rzuciła lekko zaniepokojona Jean. – Uważam, że to banda dziwaków.

– No cóż, jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Zamierzam pojechać tam za dwa tygodnie i spotkać się z nimi. Muszę powiedzieć, że literatura, którą piszą, wydaje się zupełnie normalna. I mają tam paru bardzo dobrych ludzi.

– Jeżeli myślisz, że zacznę gotować na ognisku albo chodzić ubrana w skóry, to czeka cię...

– Och, nie bądź głupia! Te historie to po prostu bzdury. Kolonia ma wszystko, co potrzebne do cywilizowanego życia. Oni po prostu uważają, że ekstrawaganckie zachcianki niczemu nie służą, to wszystko. A przy okazji zauważ, że minęło już parę lat, od kiedy ostatni raz widziałem Pacyfik. Oboje zrobimy sobie wycieczkę.

– Co do tego jesteśmy zgodni – powiedziała Jean. – Ale nie mam zamiaru pozwolić, aby Junior i Maleństwo wyrosli na parę polinezyjskich dzikusów.

– Nie wyrosną – odparł George. – To mogę ci obiecać.

Miał rację, ale niezupełnie tak, jak sobie to wyobrażał.

– Jak zauważyliście w czasie lotu – powiedział niewysoki człowiek po drugiej stronie werandy – Kolonia składa się z dwu wysp połączonych groblą. Ta, na której się znajdujemy, to Ateny, tę drugą nazwaliśmy Spartą. Jest dzika i skalista, wspaniałe miejsce do uprawiania sportu.

Obrzucił szybkim spojrzeniem brzuchy oraz biodra gości i George niespokojnie poruszył się na wiklinowym fotelu.

– Nawiasem mówiąc, Sparta to wygasły wulkan. A przynajmniej geologowie twierdzą, że wygasł, ha, ha! Jednak wróćmy do Aten. Idea przyświecającą powstaniu Kolonii, jak się domyślacie, jest stworzenie niezależnej, trwałej grupy o własnych artystycznych tradycjach. Powinniście wiedzieć, że zanim rozpoczęliśmy to przedsięwzięcie, przeprowadziliśmy szeroko zakrojone badania. To naprawdę niezły kawał socjologicznej roboty oparty na solidnych podstawach matematycznych i nie będę udawał, że coś z tego rozumiem. Wiem tylko tyle, że socjologowie i matematycy wyliczyli, jak duża powinna być Kolonia, z ilu i jakich ludzi powinna się składać, a przede wszystkim, jaką powinna mieć konstytucję, aby przez długie lata mogła zachować stabilność. Wszystkim kieruje rada ośmiu dyrektorów reprezentujących działy: produkcji, energii, socjologii, ekonomii, sztuki, nauki, sportu oraz filozofii. Funkcja przewodniczącego nie jest stała. Pełni ją kolejno przez rok każdy z dyrektorów. Populacja Kolonii liczy obecnie trochę ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, to znaczy nieco poniżej pożądanego optimum. Właśnie z tego powodu chętnie widzimy ochotników. Ponadto w tym wszystkim kryje się pewien przykry fakt: nie jesteśmy jeszcze samowystarczalni w kilku bardziej specjalistycznych dziedzinach. Tu, na tej wyspie, próbujemy uratować to, co pozostało z niezależności ludzkiej rasy i jej kulturowego dziedzictwa. Nie żywimy wrogich uczuć wobec Zwierzchników, chcemy jedynie, aby zostawiono nas w spokoju. Kiedy położyli kres istnieniu dawnych narodów i sposobowi życia, jaki ludzie znali od zarania dziejów, wraz z rzeczami złymi zniknęło również wiele dobrych. Dzisiejszy świat jest spokojny, bezbarwny i kulturalnie martwy. Od pojawienia się Zwierzchników nie powstało żadne istotne dzieło. Nie zostało nic, o co warto byłoby walczyć, jest też zbyt wiele rozrywek i rzeczy rozprasających uwagę. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że codziennie z odbiorników telewizyjnych na różnych kanałach płynie potok ponad pięćuset godzin programu? Gdybyście zrezygnowali ze snu i nie robili nic innego, zdołalibyście uczestniczyć w zaledwie dwudziestej

części rozrywki, jaką zapewnia wam zwykłe dotknięcie włącznika! Nic dziwnego, że ludzie stają się intelektualnie pasywni jak gąbka: niczego nie tworzą, tylko absorbują. Czy wiecie, że średnio każdy spędza teraz dziennie trzy godziny przed telewizorem? Niebawem ludzie przestaną żyć własnym życiem. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę będą śledzili losy bohaterów telewizyjnych seriali! Tutaj, w Atenach, rozrywka zajęła należne jej miejsce. Co więcej, jest to zabawa czynna, a nie bierne obserwowanie przeżyć kogoś innego. W społeczeństwie tak niewielkim jak nasze możliwe jest uczestnictwo w zabawie całej populacji, z wszystkimi tego konsekwencjami dla aktorów i artystów. Mamy na przykład bardzo dobrą orkiestrę symfoniczną, prawdopodobnie jedną z sześciu najlepszych na świecie. Wcale nie chcę, byście mi uwierzyli na słowo. Zazwyczaj potencjalni obywatele przebywają tu kilka dni, poznając miejsce i ludzi. Jeśli postanawiają przyłączyć się do nas, poddajemy ich całej serii testów psychologicznych, które są naszą jedyną obroną. Mniej więcej jedna trzecia kandydatów odpada, i to z powodów, które wydają się im nieistotne i które gdzie indziej w ogóle nie byłyby brane pod uwagę. Ci, którzy przechodzą testy, udają się do domów, aby pozalać swoje sprawy, a potem wracają do nas. Niektórzy zmieniają zdanie, ale zdarza się to rzadko i zawsze z powodów osobistych, na które nie mają wpływu. Nasze testy dają teraz niemal stuprocentową pewność: ludzie, którzy je przechodzą, naprawdę chcą się do nas przyłączyć.

– A jeśli ktoś zmieni zdanie *później*? – spytała niespokojnie Jean.

– Może odejść. Nikt nie będzie go zatrzymywał. Zdarzyło się to raz czy dwa razy.

Nastała chwila ciszy. Jean spojrzała na George'a, który w zadumie gładził bokobrody będące obecnie w modzie wśród cyganerii artystycznej. Póki nie palili za sobą mostów, nie przejmowała się zbyt. Kolonia wydawała się interesującym miejscem i na pewno nie była takim szaleństwem, jak Jean początkowo sądziła. I dzieciom spodoba się tutaj. A to liczyło się najbardziej.

Przeprowadzili się sześć tygodni później. Parterowy domek był niewielki, ale całkowicie wystarczał rodzinie składającej się z czterech osób i nieplanującej nowych członków. Był wyposażony we wszystkie urządzenia ułatwiające prace domowe i Jean musiała przyznać, że nie grozi jej powrót do ponurych wieków mozolnej krzątaniny. Jednak obecność kuchni była pewnym zaskoczeniem. W tak dużej społeczności należało raczej oczekiwać, że wystarczy zadzwonić do Centrum Żywnościowego, zaczekać pięć minut i otrzymać wybrany posiłek. Indywidualizm jest dobrą rzeczą, ale to była chyba lekka przesada. Jean zastanawiała się, czy oprócz przygotowywania posiłków dla całej rodziny będzie musiała też szyć ubrania. Ale między zmywarką i kuchenką mikrofalową nie zauważyła wrzeciona, więc może trochę przesadziła z obawami.

Oczywiście reszta domku wyglądała bardzo pusto i surowo. Byli jego pierwszymi gospodarzami i wiedzieli, że musi upłynąć nieco czasu, zanim to aseptyczne wnętrze zamieni się w ciepły ludzki dom. Niewątpliwie dzieci skutecznie przyspieszą ten proces. Jeffrey (choć Jean nic jeszcze o tym nie wiedziała) stał się już ofiarą nieszczęśliwego wypadku w czasie ćwiczeń ze wstrzymywaniem oddechu podczas kąpieli w łazience. Powodem była nieznamość podstawowej różnicy między wodą słodką a słoną.

Jean podeszła do okna pozbawionego jeszcze zasłon i popatrzyła na Kolonię. Z całą pewnością miejsce było piękne. Dom stał na zachodnim zboczu wzgórza, które z braku rywali dominowało nad całą wyspą. Dwa kilometry na północ widziała groblę, wąskie ostrze tnące wodę, która prowadziła do Sparty. Ta skalista wysepka, nad którą wznosił się wulkaniczny stożek, stanowiła tak niezwykły kontrast z tym pięknym, spokojnym miejscem, że Jean czasem to przerażało. Zastanawiała się, skąd naukowcy mieli pewność, że wulkan nie obudzi się któregoś dnia i nie pochłonie ich wszystkich.

Jej wzrok przyciągnęła postać pedałuująca zygzakiem pod górę i, niezgodnie z zasadami ruchu drogowego, trzymająca się tej strony drogi,

która była ocieniona przez palmy. George wracał ze swej pierwszej konferencji. Najwyższy czas przestać marzyć i zająć się domem.

Metaliczny trzask oznajmił przybycie George'a i jego pojazdu. Jean zastanawiała się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim nauczą się jeździć na rowerze. Był to jeden z wielu nieoczekiwanych aspektów życia na wyspie. Używanie samochodów osobowych było zakazane; zresztą nie było takiej potrzeby, ponieważ dwa najbardziej oddalone od siebie punkty Kolonii dzieliło niecałe piętnaście kilometrów. Nielicznym pojazdom służącym całej społeczności – ciężarówkom, ambulansom, wozom straży pożarnej – z wyjątkiem nagłych wypadków, ograniczono prędkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W rezultacie mieszkańcy Aten mieli sporo ruchu, a ponadto nie wiedzieli, co to korki uliczne i wypadki drogowe.

George machinalnie cmoknął żonę w policzek i z westchnieniem ulgi opadł na najbliższy fotel.

– O rany! – sapnął, ocierając pot z czoła. – Pod górę wszyscy mnie wyprzedzali, więc chyba można się do tego przyzwyczaić. Straciłem już chyba z dziesięć kilogramów.

– I jak ci dziś poszło? – zapytała znająca swoje obowiązki Jean.

Miała nadzieję, że George nie jest zbyt wyczerpany, aby pomóc jej przy rozpakowywaniu.

– Bardzo ciekawie. Oczywiście nie zapamiętałem nazwisk połowy ludzi, których poznałem, ale wszyscy wydają się bardzo mili. A teatr jest właśnie taki, jak się spodziewałem. W przyszłym tygodniu rozpoczynamy pracę nad *Powrotem do Matuzalema* Shawa. Dali mi wolną rękę w sprawie scenografii. Nareszcie tuzin facetów nie mówi mi, czego nie mogę zrobić. Wiesz, myślę, że polubimy to miejsce.

– Mimo rowerów?

George zebrał resztki energii i uśmiechnął się.

– Tak! – powiedział. – Za parę tygodni nawet nie zauważę tej górki.

Wcale w to nie wierzył, ale okazało się, że miał absolutną rację. A przed upływem następnego miesiąca Jean przestała tęsknić za samochodem i odkryła, ile rzeczy można zrobić we własnej kuchni.

Nowe Ateny nie rozrastały się tak naturalnie i spontanicznie jak miasto, którego imię nosiły. Wszystko, co dotyczyło Kolonii, było starannie zaplanowane i stanowiło wynik wielu lat pracy oraz badań grupy naprawdę nietuzinkowych ludzi. Początkiem był otwarty sprzeciw wobec Zwierzchników, wyzwanie rzucone ich polityce w obliczu niemożności przeciwstawienia się ich sile. Założyciele Kolonii byli prawie pewni, że Karellen zręcznie pokrzyżuje im plany, lecz Kontroler nie podjął żadnej akcji, dosłownie żadnej. Bynajmniej nie dodało im to tyle otuchy, ile należałoby oczekiwać. Karellen miał mnóstwo czasu – mógł szykować jakieś przeciwdziałanie. Albo był tak pewny klęski ich przedsięwzięcia, że nie uważał za konieczne podejmowania jakiegokolwiek akcji.

Większość ludzi przepowiadała upadek Kolonii. Jednak nawet w przeszłości, na długo przed tym, zanim stworzono choćby podwaliny wiedzy o dynamice ruchów społecznych, istniały społeczności ukierunkowane na cele religijne lub filozoficzne. To prawda, że ich żywot z reguły nie trwał długo, ale niektóre pomyślnie przeszły próbę czasu. A podstawy istnienia Nowych Aten były tak solidne, jak tylko mogła to zapewnić nowoczesna nauka.

Wiele przemawiało za tym, żeby eksperyment przeprowadzić na wyspie. Jednym z bardziej istotnych elementów był aspekt psychologiczny. W erze łatwo dostępnego transportu powietrznego ocean nie stanowił istotnej przeszkody, lecz nadal zapewniał poczucie odosobnienia. Co więcej, ograniczony obszar sprawiał, że Kolonia nie mogła być nazbyt liczna. Górną granicę jej populacji określono na sto tysięcy ludzi; przekroczenie tej liczby zniwelowałoby korzyści wynikające z życia w małej, zwartej społeczności. Jednym z celów, jakie wytyczyli sobie założyciele, było, aby każdy obywatel Nowych Aten znał osobiście wszystkich tych, którzy podzielali jego zainteresowania, i jeden, może dwa procent pozostałych.

Człowiek, którego energia napędzała całe przedsięwzięcie, był Żydem. I podobnie jak Mojżeszowi, nie było mu dane dotrzeć do ziemi obiecanej, ponieważ Kolonia powstała trzy lata po jego śmierci.

Urodził się w Izraelu – państwie, które ostatnie uzyskało niepodległość, a co za tym idzie, najkrócej istniało jako samodzielny twór. Izraelczycy dotkliwiej niż inni odczuli utratę narodowej niezależności, ponieważ niełatwo wyrzec się marzeń, o których realizację walczone całe wieki.

Ben Salomon nie był fanatykiem, ale wspomnienia z dzieciństwa musiały wywrzeć znaczny wpływ na filozofię, którą wcielał w życie. Ledwie pamiętał, jaki był świat przed przybyciem Zwierzchników, i wcale nie zamierzał przywracać tego stanu. Wraz z wcale pokaźną liczbą inteligentnych i szlachetnych ludzi potrafił cieszyć się efektami dokonań Karellena, a jednocześnie martwić się, co wyniknie z jego długofalowych planów. Czyż nie jest możliwe – mówił sobie niekiedy – że mimo ogromnej inteligencji Zwierzchnicy naprawdę nie pojmują rodzaju ludzkiego i, kierując się najszlachetniejszymi intencjami, popełniają straszliwy błąd? Przypuśćmy, że powodowani atawistycznym umiłowaniem porządku i sprawiedliwości postanowili przekształcić nasz świat, ale nie zdawali sobie sprawy z tego, że niszczą istotę człowieczeństwa.

Schyłek dopiero się rozpoczynał, ale nietrudno było dostrzec jego pierwsze objawy. Salomon nie był artystą, lecz miał doskonałe rozeznanie w sztuce i wiedział, że jego stulecie w żadnej dziedzinie nie może się równać z osiągnięciami poprzednich wieków. Być może to poprawi się z czasem, kiedy minie szok wywołany spotkaniem z cywilizacją Zwierzchników. Ale wcale nie musiało się tak stać i rozsądny człowiek powinien rozważyć podjęcie odpowiednich przeciwdziałań.

Takim działaniem były Nowe Ateny. Założenie Kolonii trwało dwadzieścia lat i pochłonęło kilka miliardów funtów – w sumie drobny ułamek światowego dochodu. Przez pierwsze piętnaście lat nic się nie działo. Wszystko wydarzyło się przez ostatnie pięć.

Salomon nie zdołałby osiągnąć swojego celu, gdyby nie udało mu się przekonać paru najbardziej znanych na świecie artystów, że jego plan jest wart rozważenia. Przystali nań, ponieważ mile połechnęli ich próżność; znaczenie dzieła dla rasy ludzkiej o wiele mniej ich interesowało. Skoro jednak przekonali się do projektu, świat dał im posłuch, wyrażając

niezbędne poparcie moralne i materialne. Za spektakularną fasadą chwilowej popularności przystąpili do dzieła prawdziwi architekci Kolonii.

Społeczeństwo składa się z jednostek, których indywidualnych zachowań nie da się przewidzieć. Niemniej jeśli zebrać dostateczną liczbę jednostek, zaczynają się zarysowywać pewne prawidłowości, co już dawno temu odkryły towarzystwa ubezpieczeniowe. Nie można przewidzieć, które jednostki umrą w określonym terminie, ale ogólną liczbę zgonów da się przewidzieć z dość dużą dokładnością.

Były i inne, bardziej precyzyjne prawa, a pierwsze z nich odkryli już na początku dwudziestego wieku matematycy Wiener i Rashevsky. Udowodnili oni, że takie zjawiska, jak kryzysy ekonomiczne, wyniki wyścigu zbrojeń, stabilność grup społecznych, rezultaty wyborów i tak dalej, można analizować, używając odpowiednich metod matematycznych. Spory kłopot sprawiała przy tym mnogość zmiennych, z których wiele trudno było wyrazić w postaci liczbowej. Nie można było wykreślić kilku krzywych i stwierdzić autorytatywnie: „Kiedy dojdziemy do tej linii, będzie to oznaczało wojnę”. Nie można było także nie dostrzegać wpływu takich absolutnie nieprzewidywalnych wydarzeń, jak zabójstwa pewnych kluczowych postaci, lub efektów niektórych odkryć naukowych, a tym bardziej katastrof żywiołowych, takich jak trzęsienia ziemi czy powodzie, które mogły mieć ogromne znaczenie dla dużej liczby ludzi i całych grup społecznych.

Dzięki wiedzy pracowicie gromadzonej w ciągu ostatnich stu lat udało się wszakże sporo osiągnąć. Zadanie byłoby niewykonalne bez pomocy gigantycznych komputerów, które w ułamkach sekund potrafiły wykonać pracę obliczeniową setek tysięcy rachmistrzów. Tę pomoc w pełni wykorzystano podczas opracowywania planów Kolonii.

Jednak nawet uwzględniając to wszystko, założyciele Kolonii byli w stanie stworzyć co najwyżej glebę i klimat, w jakich upragniona roślina mogła, lecz nie musiała zakwitnąć. Sam Salomon określił to tak: „Możemy być pewni talentu, ale o geniusz musimy się już modlić”. Niemniej ci, którzy uważali, że w tak zagęszczonym roztworze muszą zajść jakies

interesujące reakcje, mieli trochę racji. Niewielu artystom sprzyja samotność, a nie ma potężniejszego bodźca niż konflikt umysłów o podobnych zainteresowaniach.

Jak do tej pory wynikiem owych konfliktów były cenne osiągnięcia w dziedzinie rzeźby, muzyki, krytyki literackiej i reżyserii filmowej. Przedwcześnie byłoby oceniać, czy grupa zajmująca się badaniami historycznymi spełni nadzieje sponsorów, którzy otwarcie liczyli na odrodzenie dumy z własnych osiągnięć, jaką niegdyś odczuwała ludzkość. Wciąż podupadające malarstwo z kolei wykazywało słuszność twierdzeń tych, którzy uważali, że statyczne, dwuwymiarowe formy sztuki wyczerpały już możliwości rozwoju.

Jednakże zauważono, chociaż nie udało się znaleźć zadowolającego wyjaśnienia tego zjawiska, że w najciekawszych osiągnięciach artystycznych Kolonii decydującą rolę odgrywał czas. Nawet tworzone tu rzeźby rzadko były nieruchome. Intrygujące bryły i krzywe Andrew Carsona przekształcały się powoli na oczach widza zgodnie z pewnym zbiorem zasad, które cieszyły umysł, nawet jeśli nie były w pełni zrozumiałe. W rzeczy samej Carson twierdził, zresztą nie bez racji, że doprowadził zrodzone sto lat wcześniej „mobile” do formy ostatecznej, dokonując w ten sposób zaślubin rzeźby i baletu.

Większość eksperymentów muzycznych Kolonii, zgodnie z zamierzeniami artystów, skupiała się na tym, co można byłoby nazwać „rozciągłością czasową”. Jaka była najkrótsza nuta wychwytywana przez ludzkie ucho, a jaką najdłuższą mogło ono znieść bez znużenia? Czy można to zmienić, używając innej orkiestracji lub inaczej dyrygując? Dyskutowano o tym bez końca, a argumenty nie zawsze były wyłącznie akademickiej natury. W wyniku tych sporów powstawały niekiedy bardzo interesujące kompozycje.

Jednak najciekawsze doświadczenia w Nowych Atenach dotyczyły filmów animowanych i ich nieograniczonych możliwości. Sto lat po Disneyu nadal były one środkiem przekazu, w którym pozostało najwięcej do zrobienia. Pod względem realizmu filmy te były czasem trudne do

odróżnienia od kręconych zwykłymi technikami filmowymi – ku sporemu wzburzeniu tych artystów, którzy reprezentowali szkołę abstrakcyjną.

Wśród grup artystów i naukowców jedyną niewykazującą szczególnych postępów była ta, której osiągnięcia budziły największe zainteresowanie, ale i największe obawy. Był to zespół pracujący nad „całkowitą identyfikacją”. Wskazówkę dla ich działalności stanowiła historia filmu. Najpierw dźwięk, potem barwa, stereoskopia i panoramiczny ekran coraz bardziej zbliżały stare „ruchome obrazy” do rzeczywistości. Do czego to miało doprowadzić? Można było przypuszczać, że ostatecznym wynikiem postępu w tej dziedzinie będzie film, podczas którego widzowie zapomną o tym, że są tylko widzami, i staną się uczestnikami akcji. Aby to osiągnąć, trzeba by oddziaływać na wszystkie zmysły, a może też posłużyć się hipnozą, lecz wielu uważało, że gra jest warta świeczki. Kiedy to nastąpi, ludzkie doznania ogromnie się wzbogacą. Człowiek będzie mógł zostać, przynajmniej na krótko, kimś innym, uczestniczyć w każdej przygodzie, prawdziwej czy urojonej. Będzie nawet mógł stać się rośliną lub zwierzęciem, jeśli możliwy okaże się zapis odtwarzający wrażenia zmysłowe innych żywych stworzeń. A kiedy „program” się skończy, w jego pamięci pozostaną wrażenia tak żywe jak wspomnienia autentycznych przeżyć, w istocie niedające się odróżnić od rzeczywistych.

Ta perspektywa była oszałamiająca. Wielu ludzi uważało, że jest też przerażająca, i miało nadzieję, że całe przedsięwzięcie spełni na niczym. Ale w głębi serca i oni wiedzieli, że jeśli nauka raz uzna jakiś pomysł za wykonalny, to nie uda się uniknąć jego realizacji.

Takie więc były Nowe Ateny i niektóre marzenia żyjących tam ludzi. Stały się tym, czym mogłyby się stać stare Ateny, gdyby zamiast niewolników miały maszyny, a zamiast przesądów i zabobonów – naukę. Jednak, mimo wszystko, eksperyment trwał jeszcze zbyt krótko, aby można było mówić o jego powodzeniu.

Rozdział 16

Jak do tej pory Jeffrey Greggson był jedynym mieszkańcem wyspy niezajmującym się ani nauką, ani estetyką, które stanowiły główne przedmioty zainteresowania starszych. Jednak z powodów osobistych z całej duszy aprobował Kolonię. Fascynowało go morze, a tu nigdzie nie było do niego dalej niż kilka kilometrów. Większą część swojego niedługiego życia spędził w głębi lądu i fakt, że nowe miejsce zamieszkania ze wszystkich stron otacza woda, był dla niego czymś nowym i niezwykłym. Pływał dobrze i często jeździł z przyjaciółmi na rowerowe wycieczki, zabierając płetwy i maskę, by eksplorować płytkie wody laguny. Początkowo Jean nie była tym szczególnie zachwycona, ale gdy sama zanurkowała kilka razy, przestała obawiać się morza z jego dziwnymi stworzeniami i pozwoliła Jeffreyowi cieszyć się nim do woli, pod warunkiem że nigdy nie będzie pływał samotnie.

Innym członkiem rodziny Greggsonów, któremu zmiana miejsca zamieszkania wyszła na dobre, była Fey, piękna golden retrieverka nominalnie należąca do George'a, ale rzadko widywana bez Jeffreya. Ta dwójka przez cały dzień tworzyła nierozłączną parę i gdyby nie stanowczy sprzeciw Jean, tak samo byłoby i w nocy. Fey pozostawała w domu tylko wówczas, gdy Jeffrey jechał gdzieś na rowerze; leżała wtedy niespokojnie przed drzwiami i złożywszy pysk na przednich łapach, patrzyła na drogę wilgotnymi, smutnymi oczami. Irytowało to George'a, który przecież zapłacił za Fey i jej rodowód okrągłą sumkę. Wyglądało na to, że jeśli chce mieć swojego psa, musi poczekać na następny miot, co powinno nastąpić za trzy miesiące. Jean miała całkiem inny pogląd na tę sprawę. Lubiła Fey, ale uważała, że jeden pies w domu zupełnie wystarczy.

Jedyną osobą, która nie mogła się zdecydować, czy lubi Kolonię, była Jennifer Anne. Jednak nie należało się temu dziwić, ponieważ na razie nie

widziała świata poza plastikowymi ściankami dzieciennego kojca i nie podejrzewała, że coś takiego w ogóle istnieje.

George Greggson nieczęsto myślał o przeszłości – całkowicie pochłaniały go plany na przyszłość, praca i zabawy z dziećmi. Naprawdę rzadko wspominał tamten wieczór w Afryce i nigdy nie rozmawiał o tym z Jean. Zgodnie z milczącą umową unikali tego tematu, nigdy też nie odwiedzili ponownie Boyce'ów mimo wielokrotnie ponawianych zaproszeń. Kilka razy do roku dzwonili do Ruperta z przeprosinami, aż w końcu przestał im zawracać głowę. Ku ogólnemu zaskoczeniu jego małżeństwo z Mają okazało się bardzo udane.

Jednym z następstw tamtego przyjęcia było to, że Jean straciła zapał do babrania się w tajemnicach obrzeży wiedzy. Naiwny, bezkrytyczny zachwyt, który przyciągał ją do Ruperta i jego doświadczeń, zniknął zupełnie. Być może została przekonana i nie potrzebowała żadnych dowodów; George wolał o to nie pytać. Równie prawdopodobne było, że to troski macierzyństwa przegnały z jej myśli te zainteresowania.

George wiedział, że nie ma sensu rozmyślać o tajemnicy, której nie da się wyjaśnić, a jednak czasem budził się w środku nocy i myślał. Wspominał swoje spotkanie z Janem Rodricksem na dachu domu Ruperta i te kilka słów, jakie zamienił z jedynym człowiekiem, któremu udało się obejść zakaz Zwierzchników. Ze wszystkich nadprzyrodzonych zjawisk, myślał, nic nie wydaje się bardziej niesamowite niż prosty naukowy fakt, iż choć od jego rozmowy z Janem upłynęło prawie dziesięć lat, znajdujący się gdzieś daleko podróżnik postarzał się ledwie o kilkanaście dni.

Wszechświat był ogromny, lecz to przerażało George'a mniej niż jego tajemnice. Nie był osobą, która poświęcałaby tym problemom wiele uwagi, ale czasami zdawało mu się, że ludzie są jak dzieci bawiące się na wydzielonym placu zabaw i chronione przed zetknięciem się z brutalną rzeczywistością zewnętrznego świata. Jan Rodricks nie znosił tej ochrony, uciekł... i nikt nie wiedział, co go spotkało. Ale w tej sprawie George całkowicie popierał Zwierzchników. Wcale nie ciekawiło go, co kryje się

w niezgłębianych mrokach tuż za małym kręgiem światła rzucanym przez lampę wiedzy.

– Jak to się dzieje – powiedział żałośnie George – że zawsze kiedy jestem w domu, Jeff gdzieś przepada? Dokąd poszedł tym razem?

Jean podniosła wzrok znad szydełkowania, archaicznego zajęcia, które ostatnio wróciło do łask. Takie mody regularnie nawiedzały wyspę. Głównym rezultatem tego szaleństwa było obdarowywanie wszystkich mężczyzn różnokolorowymi swetrami o wiele za ciepłymi w dzień, ale całkiem użytecznymi po zachodzie słońca.

– Razem z kilkoma przyjaciółmi pojechał na Spartę – odparła Jean. – Obiecał wrócić na obiad.

– Właściwie wróciłem do domu, żeby trochę popracować – rzekł George w zadumie. – Jednak skoro mamy taki ładny dzień, to pójdę popływać. Jaką rybę ci przynieść?

George nigdy niczego nie złowił, a ryby w lagunie były zbyt cwane, aby dać się schwytać. Jean właśnie zamierzała mu to powiedzieć, kiedy ciszę popołudnia zakłócił dźwięk, który w tym wieku spokoju i bezpieczeństwa nadal mroził krew w żyłach i jeżył włosy na głowie.

Ryk syreny, miarowo unosząc się i opadając, słał w morze sygnał grożącego niebezpieczeństwa.

Od prawie stu lat w płonącej otchłani pod dnem oceanu powoli wzrastały napięcia. Choć podwodny kanion uformował się w starszych epokach geologicznych, udręczone skały nigdy nie pogodziły się ze swoim położeniem. Mnóstwo razy warstwy geologiczne trzeszczały i przesuwwały się pod niewyobrażalnie wielkim ciężarem wody. Właśnie były gotowe zrobić to jeszcze raz.

Jeff penetrował skaliste zatoczki wzdłuż wąskiej plaży Sparty; zajęcie to nigdy go nie nużyło. Nigdy też nie można było przewidzieć, na jakie egzotyczne stworzenie człowiek się tu natknie, bo morskie zwierzęta chętnie chroniły się w tym miejscu przed falami biegnącymi nieustannie

przez Pacyfik i rozbijającymi się o przybrzeżne rafy. Dla dziecka była to baśniowa kraina, a w tej chwili miał ją wyłącznie dla siebie, bo jego przyjaciele poszli na wzgórze.

Dzień był cichy i spokojny. Nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie przeleciało po wodzie, a i nieustanny huk fal bijących o rafy ścichł, zmieniając się w poszum. Oślepiające słońce odbyło już połowę swej wędrówki po niebie, lecz opalone na ciemny brąz ciało chłopca było teraz uodpornione na jego ataki.

Plaża była w tym miejscu wąskim pasem piasku ostro opadającym ku lagunie. Spoglądając w kryształowo czystą toń, Jeff widział podwodne skały znane mu równie dobrze, jak góry na wyspie. Na głębokości dziesięciu metrów obrośnięte wodorostami wręgi starego szkunera unosiły swe krzywizny ku światu, który opuściły prawie dwieście lat wcześniej. Jeff i jego przyjaciele kilkakrotnie przeszukali wrak, lecz ich nadzieje na znalezienie skarbu nie ziściły się. Wydobyli jedynie obrośnięty małżami kompas okrętowy.

Coś stanowczo wzięło plażę w dłoń i szarpnęło nią energicznym ruchem. Wstrząs trwał tak krótko, że Jeff nie był pewny, czy w ogóle się zdarzył. Może ogarnęło go chwilowe znużenie, bo wszystko wokół pozostało niezmienione. Wody laguny nie wzburzyły się, niebo było nadal bezchmurne i pogodne. A potem zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy.

Szybciej niż w czasie jakiegokolwiek odpływu woda zniknęła z brzegu. Mocno zaintrygowany Jeff bez obawy patrzył na odsłonięty, lśniący w promieniach słońca piach. Ruszył za cofającym się oceanem, postanowiwszy wykorzystać nieoczekiwaną szansę, jaką zesłał mu los, otwierając przed nim podwodny świat. Wody cofnęły się tak daleko, że złamany maszt starego wraku sterczał w powietrzu, a porastające go glony zwisały ciężko pozbawione płynnego oparcia. Jeff pobiegł przed siebie, chcąc jak najszybciej zobaczyć inne cuda.

Wtedy zwrócił uwagę na odgłos dochodzący zza raf. Nigdy nie słyszał czegoś podobnego; zatrzymał się, aby to przemyśleć, i jego bosa stopy powoli zapadły się w wilgotny piach. Kilka kroków dalej wielka ryba

rzucała się w skurczach agonii, ale Jeff ledwie na nią spojrział. Stał, słuchając w napięciu narastającego hałasu zza raf.

Był to bulgoczący, ssący dźwięk, ryk rzeki mknącej wąskim korytem. Był to odgłos niechętnie wycofującego się morza, rozłoszczonego utratą, choćby chwilową, swoich prawowitych włości. Przez rozgałęzienia koralu, przez odkryte podwodne pieczary miliony ton wody wyciekały z laguny w otchłań Pacyfiku.

Ale niebawem miały wrócić, i to bardzo szybko.

Kilka godzin później jedna z ekip ratowniczych znalazła Jeffa na wielkim bloku koralu, który został wypchnięty dwadzieścia metrów nad zwykłą poziom wody. Chłopiec nie był nawet specjalnie przestraszony, tylko zirytowany utratą roweru. Był także bardzo głodny, bo częściowo zniszczona grobla uniemożliwiła mu powrót do domu. Uratowano go w chwili, gdy zamierzał popłynąć do Aten, co niewątpliwie by mu się udało, chyba że nastąpiłaby jakaś radykalna zmiana kierunku prądów morskich.

Kiedy tsunami uderzyło w wyspę, Jean i George widzieli wszystko ze swego domu na wzgórzu. Mimo iż niżej położone rejony Aten poważnie ucierpiały, nikt nie stracił życia. Sejsmografy ostrzegły mieszkańców zaledwie z piętnastominutowym wyprzedzeniem, lecz to wystarczyło, aby ewakuować wszystkich poza strefę zagrożenia. Teraz Kolonia lizała rany i tworzyła legendę, która w przyszłości miała jeżyć włos na głowie słuchaczy.

Jean wybuchnęła płaczem, kiedy zwrócono jej syna, ponieważ była przekonana, że zabrało go morze. Przecież widziała na własne, przerażone oczy, jak czarna, spieniona ściana wody nadciągnęła z rykiem zza horyzontu, by rąbnąć w skały Sparty młotem piany i fal. Wydawało się niemożliwe, żeby Jeff zdążył uciec na czas.

W tym, że nie potrafił w racjonalny sposób wytłumaczyć tego, co się stało, nie było niczego dziwnego. Kiedy już się najadł i położył do łóżka, Jean i George pochylili się nad nim.

– Spróbuj zasnąć, kochanie, i zapomnij o wszystkim – powiedziała Jean. – Jesteś już bezpieczny.

– Ale mam, to było zabawne – zaprotestował Jeff. – Tak naprawdę wcale się nie bałem.

– To świetnie – odezwał się George. – Jesteś dzielnym chłopcem i dobrze, że byłeś mądry i w porę uciekłeś. Słyszałem już o tych wielkich falach. Wielu ludzi utonęło, kiedy poszli na odsłonięte dno, żeby zobaczyć, co się stało.

– Ja też tak zrobiłem – przyznał się Jeff. – Zastanawiam się, kto mi pomógł.

– Co ty mówisz? Nikogo z tobą nie było. Pozostali chłopcy byli na wzgórzach.

Jeff wyglądał na zaskoczonego.

– Jednak ktoś kazał mi uciekać.

Jean i George spojrzeli na siebie nieco zaniepokojeni.

– Chcesz powiedzieć, że wydawało ci się, że słyszysz jakiś głos?

– Och, daj mu już spokój – może zbyt pospiesznie wtrąciła się Jean.

Lecz George był uparty.

– Chcę to wyjaśnić do końca. Powiedz mi, Jeff, co tam się właściwie stało.

– No, byłem na dole, na plaży, przy tym starym wraku, kiedy usłyszałem ten głos.

– I co ci powiedział?

– Dokładnie nie pamiętam, ale chyba coś takiego: „Jeffreyu, wejdź na wzgórze najszybciej jak potrafisz. Utopisz się, jeśli tu pozostaniesz”. Jestem pewien, że nazwał mnie Jeffreyem, nie Jeffem. A więc nie mógł to być nikt, kogo znam.

– Czy to był głos człowieka? Skąd dobiegał?

– Słyszałem go tuż obok. I przypominał głos człowieka...

Jeff zawahał się i George ponaglił go:

– No, dalej! Wyobraź sobie, że znów jesteś tam, na plaży, i opowiedz nam dokładnie, co się wtedy stało.

– No, ten głos nie przypominał żadnego z tych, które kiedykolwiek słyszałem. Myślę, że to był *bardzo duży* człowiek.

– Czy to wszystko, co ci powiedział?

– Tak... dopóki nie zacząłem wspinać się na wzgórze. Wtedy zdarzyło się coś jeszcze śmiesznieszego. Znasz tę ścieżkę pod górę?

– Znam.

– Pobiegłem nią, bo to była najkrótsza droga. Wiedziałem już, co się dzieje, bo widziałem tę nadlatującą wielką falę. Zresztą robiła okropny hałas. I wtedy zobaczyłem, że na drodze leży wielki głaz. Przedtem go tam nie było i nie mogłem go ominąć.

– Musiał spaść pod wpływem wstrząsu – powiedział George.

– Ciii! Mów dalej, Jeff.

– Nie wiedziałem, co robić, a słyszałem, że ta fala jest coraz bliżej. I wtedy ten głos powiedział: „Jeffreyu, zamknij oczy i zasłoń twarz dłońmi”. Wydawało mi się to śmieszne, ale zrobiłem tak, jak mi kazał. Potem był wielki błysk, czułem to dokładnie, a kiedy otworzyłem oczy, skała zniknęła.

– Zniknęła?

– No tak, po prostu jej tam nie było. Pobiegłem dalej i właśnie wtedy prawie poparzyłem sobie stopy, bo ścieżka była okropnie gorąca. Kiedy woda do niej dotarła, to aż syczała, ale wtedy nie mogła mnie już złapać; byłem wysoko na górze. I to wszystko. Kiedy nie było już fal, zszedłem na dół. No i wtedy zobaczyłem, że nie mam roweru i że rozmyło drogę do domu.

– Nie martw się o rower, kochanie – powiedziała Jean, przyciskając syna do siebie. – Dostaniesz inny. Liczy się tylko to, że jesteś bezpieczny. Nieważne, *jak* to się stało.

Oczywiście nie mówiła prawdy, bo zaraz po tym, jak opuścili pokój dziecienny, zaczęli się nad tym zastanawiać. Wprawdzie nie doszli do żadnych konkretnych wniosków, ale narada miała swoje następstwa. Następnego dnia, nic nie mówiąc George’owi, Jean zabrała syna do dziecięcego psychologa Kolonii. Wysłuchał on uważnie historii, którą

wcale niespeszony otoczeniem Jeff opowiedział jeszcze raz. Później, gdy niczego niepodejrzewający pacjent bawił się zabawkami w sąsiednim pokoju, doktor uspokajał Jean:

– W jego karcie nie ma niczego, co sugerowałoby jakiegokolwiek odchylenia od normy psychicznej. Musi pani pamiętać, że chłopiec przeżył okropny szok i świetnie sobie z tym poradził. Jest dzieckiem o bardzo rozwiniętej wyobraźni i prawdopodobnie wierzy w swoją historię. Proszę więc ją zaakceptować i niczym się nie martwić, chyba że pojawią się inne objawy. Wtedy, oczywiście, proszę mnie natychmiast zawiadomić.

Tego samego wieczoru Jean przekazała opinię lekarza mężowi. Nie wyglądało na to, by poczuł ulgę, jakiej się spodziewała, ale złożyła to na karb szkód, jakie poniósł jego ukochany teatr. Mruknął po prostu: „To doskonale”, i wrócił do najnowszego wydania „Sceny i studia”. Wydawało się, że cała sprawa go nie interesuje, i Jean trochę to rozżłościło.

Jednak trzy tygodnie później, w dniu, w którym przywrócono ruch na grobli, George żwawo pomknął na swym rowerze w kierunku Sparty. Plaża była jeszcze usłana odłamkami koralu, a bariera rafy w jednym miejscu wyglądała na przerwaną. George zastanawiał się, ile czasu zajmie miliardom cierpliwych polipów naprawienie uszkodzenia.

Na skały prowadziła tylko jedna ścieżka i kiedy odsapnęła, ruszył nią w górę. Kilka zeschniętych glonów tkwiących między głazami znaczyło granicę, do której sięgnęły fale.

George Greggson dłuższą chwilę stał na pustej dróżce, spoglądając na pasmo stopionej skały pod nogami. Próbował sobie wmówić, że to ślad pozostawiony przez dawno wygasły wulkan, ale niebawem dał spokój daremnym próbom. Wrócił myślami do tej nocy przed wielu laty, gdy razem z Jean uczestniczyli w tym idiotycznym eksperymencie Ruperta Boyce'a. Nikt w pełni nie pojął tego, co się wtedy stało, i George wiedział, że w jakiś niepojęty sposób łączy się to z ostatnim wydarzeniem. Najpierw Jean, potem jej syn. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy martwić. W duchu odmówił dziękczynną modlitwę: „Dzięki ci, Karellenie, za to, co

twoi zrobili dla Jeffa, cokolwiek to było. Jednak bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego go ocalili”.

Powoli poszedł w dół, ku plaży, a wielkie białe mewy skrzeczały wokół niego zaskoczone tym, że nie przyniósł nic do jedzenia i nie rzucał im, gdy krążyły po niebie.

Rozdział 17

Żądanie Karellena, chociaż można było się tego spodziewać od chwili założenia Kolonii, wywarło piorunujące wrażenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Ateny znalazły się w kryzysowej sytuacji, i nikt nie potrafił powiedzieć, czy wizyta obróci się na dobre, czy na złe.

Aż do tej pory Kolonia rozwijała się bez jakichkolwiek prób nacisku ze strony Zwierzchników. Zostawili ją w spokoju, podobnie jak ignorowali większość ludzkich działań, o ile nie były destrukcyjne lub niezgodne z ich kodeksem postępowania. Trudno było ocenić, czy cele, ku którym dążyli mieszkańcy Kolonii, można by nazwać destrukcyjnymi. Nie dotyczyły polityki, lecz niosły wezwanie do niezależności artystycznej i intelektualnej. Któż mógł przewidzieć, do czego to doprowadzi? Prawdopodobnie Zwierzchnicy widzieli przyszłość Aten wyraźniej niż założyciele Kolonii i niewykluczone, że nie spodobało im się to, co zobaczyli.

Oczywiście, jeśli Karellen chciał przysłać obserwatora, inspektora czy jak tam by go nazwał, nic nie można było na to poradzić. Dwadzieścia lat wcześniej Zwierzchnicy oznajmili, że zrezygnowali z korzystania ze swoich aparatów śledzących, tak więc ludzkość nie powinna już czuć się podpatrywana. Jednak urządzenia te istniały, co oznaczało, że przed Zwierzchnikami niczego nie dało się ukryć, jeśli naprawdę chcieli się czegoś dowiedzieć.

Byli na wyspie i tacy, którzy uznali tę wizytę za szansę rozstrzygnięcia jednego z wielu zagadnień dotyczących psychologii Zwierzchników, a mianowicie ich stosunku do sztuki. Czy uważali ją za dziecinną aberrację ludzkiej rasy? Czy oni sami mieli jakikolwiek rodzaj sztuki? A jeśli tak, to czy cel tej wizyty był wyłącznie estetyczny, czy też motywy Karellena były mniej niewinne?

Wszystkie te problemy roztrząsano bez końca, jednocześnie przygotowując się na przyjęcie gościa. O przybywającym Zwierzchniku nie wiadano niczego, lecz zakładano, że może wchłonąć nieograniczoną liczbę wytworów kultury. Przynajmniej tak to zaplanowano, a reakcje ofiary miał obserwować cały sztab bardzo bystrych umysłów.

Aktualnym przewodniczącym rady był filozof Charles Yan Sen, szyderca, ale w zasadzie miły człowiek, który nie ukończył jeszcze sześćdziesięciu lat, a zatem miał całe życie przed sobą. Platon widziałby w nim przykład filozofa-polityka, ale Yan Sen niezbyt lubił Platona, gdyż podejrzewał go o błędną interpretację myśli Sokratesa. Był jedynym wyspiarzem, który zamierzał wykorzystać wizytę Zwierzchnika choćby po to, żeby mu udowodnić, iż ludzie mają jeszcze mnóstwo pomysłów i nie zostali – jak to określał – „całkowicie udomowieni”.

W Atenach nie robiono niczego bez utworzenia odpowiedniego komitetu, tej firmowej nalepki demokracji. W rzeczy samej, ktoś kiedyś określił Kolonię jako system wzajemnie uniemożliwiających sobie pracę komitetów. Jednak system ten funkcjonował, co należało przypisać cierpliwym studiom psychosocjologów, którzy byli rzeczywistymi założycielami Aten. Społeczność wyspy nie była zbyt liczna i każdy jej członek mógł uczestniczyć w zarządzaniu nią, stając się tym samym obywatelem w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Było niemal pewne, że stojący wysoko w hierarchii artystycznej George wejdzie w skład komitetu powitalnego. Niemniej upewnił się, że tak się stanie, pociągając za kilka sznurków. Jeśli Zwierzchnicy chcieli przyjrzeć się Kolonii, on chciał przyjrzeć się Zwierzchnikom. Jean nie była tym zachwycona. Od owego wieczoru u Boyce'ów czuła dziwną niechęć do Zwierzchników, chociaż nie potrafiła wyjaśnić jej przyczyn. Po prostu wolała mieć z nimi jak najmniej do czynienia i jedną z największych atrakcji wyspy była według niej domniemana niezależność Kolonii. Teraz obawiała się, że tej niezależności może coś zagrażać.

Zwierzchnik przybył bez wielkiej pompy, w gliderze zbudowanym przez ludzi, rozczarowując tych, którzy oczekiwali czegoś bardziej widowiskowego. Mógł to być nawet Karellen we własnej osobie, ponieważ

nikt nie potrafił odróżnić jednego Zwierzchnika od drugiego. Wszyscy wyglądali jak odlewy wykonane w tej samej formie. Może dzięki jakimś procesom biologicznym tak właśnie było.

Po pierwszym dniu wypiarze ledwie zwracali uwagę na przejeżdżający samochód gościa odbywającego kolejną wycieczkę krajoznawczą. Prawdziwe imię przybysza – Thanthalteresco – było zbyt trudne do wymówienia, aby używać go na co dzień, tak więc wkrótce zaczęto nazywać go Inspektorem. Ta nazwa świetnie pasowała do jego nienasyconej ciekawości i apetytu na informacje.

Charles Yan Sen był bardzo zmęczony, gdy dobrze po północy odprowadził Inspektora do glidera służącego mu za hotel. Niewątpliwie Zwierzchnik zamierzał kontynuować pracę w nocy, kiedy ludzie, ulegając jednej ze swoich słabostek, pogrążą się we śnie.

Pani Sen z ulgą powitała wracającego męża. Stanowili dobraną parę, mimo że on zwykł nazywać ją Ksantypą. Ona od dawna odgrażała się, że wyciągnie z tego wnioski i uwarzy mu puchar cykuty, lecz na szczęście wywar z tej rośliny nie był stosowany w Nowych Atenach tak często jak w starych.

– Udało się? – zapytała, gdy mąż zasiadł do spóźnionej kolacji.

– Chyba tak, chociaż nikt nie ma pojęcia, co się dzieje w tych wspaniałych umysłach. Był bardzo zainteresowany, a nawet powiedział komplementy. Przy okazji przeprosiłem go za to, że nie zapraszam go do domu. Powiedział, że doskonale to rozumie i nie ma ochoty rozbijać sobie głowy o nasze sufity.

– A co pokazałeś mu dzisiaj?

– Sposób, w jaki funkcjonuje Kolonia, co chyba nie nudzi go tak bardzo jak mnie. Zadawał najrozmaitsze pytania dotyczące produkcji, równoważenia budżetu, zasobów naturalnych, wskaźnika urodzin, gospodarki żywnościowej i tak dalej. Całe szczęście, że był ze mną sekretarz Harrison, który chyba wykuł na pamięć wszystkie sprawozdania roczne od czasu powstania Kolonii. Szkoda, że nie słyszałaś, jak przerzucali się danymi statystycznymi. Inspektor pożyczył sporo materiałów i jestem gotów założyć się, że kiedy zobaczymy się z nim jutro,

będzie odtwarzał z pamięci wszystkie liczby. Ta ich nadzwyczajna pamięć jest okropnie przygnębiająca. – Ziewnął i bez szczególnego entuzjazmu zaczął jeść. – Jutrzejszy dzień powinien być bardziej interesujący. Idziemy do szkół i do Akademii. Kiedy już tam będziemy, dla odmiany ja zadam mu parę pytań. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Zwierzchnicy wychowują swoje dzieciaki, zakładając oczywiście, że w ogóle je posiadają.

Na to pytanie Charles Yan Sen nigdy nie otrzymał odpowiedzi, lecz w innych sprawach Inspektor okazał się zaskakująco rozmowny. W sposób godny podziwu potrafił unikać odpowiedzi na kłopotliwe pytania, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, stawał się gadatliwy.

Pierwsza nić sympatii zawiązała się między nimi, gdy wyjeżdżali ze szkoły będącej największą chlubą Kolonii.

– Kształcenie tych młodych umysłów dla przyszłości – zauważył Yan Sen – to wielka odpowiedzialność. Na szczęście ludzkie istoty są nadzwyczaj odporne i trzeba się sporo natrudzić, żeby im naprawdę zaszkodzić. Nawet jeśli nasze cele są źle wybrane, nasze małe ofiary prawdopodobnie to przetrzymają. A jak pan widział, wyglądają na bardzo szczęśliwe.

Przerwał i spojrzał figlarnie na swojego wysokiego towarzysza. Inspektor był od stóp do głów spowity w jakiś odbijający światło srebrzysty materiał, tak że ani centymetr jego ciała nie ucierpiał od ostrych promieni słonecznych. Yan Sen wiedział, że za jego ciemnymi okularami kryją się oczy niewyrażające żadnych uczuć lub wyrażające uczucia, których nigdy nie zdoła zrozumieć.

– Nasze problemy z wychowywaniem dzieci są, jak przypuszczam, podobne do tych, jakie macie z wychowaniem rasy ludzkiej. Czy zgadza się pan z tym stwierdzeniem?

– W pewnym sensie – rzekł poważnym tonem Zwierzchnik. – Jednak może lepszą analogię dałoby się znaleźć w historii waszych podbojów kolonialnych. Z tych powodów zawsze interesowały nas imperium rzymskie i brytyjskie. Szczególnie pouczający jest przypadek Indii. Zasadniczą różnicą między nami a Brytyjczykami w Indiach jest to, że oni

nie mieli żadnych powodów, aby podbijać półwysep... żadnych rozsądnych powodów, pomijając tak trywialne i irracjonalne, jak ekspansja handlowa czy wrogość innych państw europejskich. Imperium wpadło im w ręce, zanim zdecydowali, co z nim zrobić, i nie zaznali spokoju, dopóki się od niego nie uwolnili.

– A czy wy – zapytał Yan Sen, nie mogąc oprzeć się pokusie – uwolnicie się od waszego imperium, kiedy nadejdzie właściwy czas?

– Bez chwili wahania – odparł Inspektor.

Yan Sen wołał nie rozwijać tego tematu. Szczerłość odpowiedzi wcale nie była pochlebstwem. Ponadto właśnie przybyli do Akademii, gdzie zebrani pedagodzy chcieli wypróbować ostrość swych umysłów na prawdziwym, żywym Zwierzchniku.

– Jak już powiedział panu nasz znakomity kolega – rzekł profesor Chance, rektor Uniwersytetu Nowych Aten – naszym głównym celem jest *probudzanie* umysłów wychowanków i sprawianie, aby uświadamiali sobie swoje możliwości. Obawiam się, że poza granicami tej wyspy – tu jednym gestem objął i odrzucił resztę świata – rasa ludzka straciła *inicjatywę*. Ludzkość ma pokój, ma dobrobyt, ale nie ma *perspektyw rozwoju*.

– Natomiast tutaj...? – przerwał beznamiętnie Zwierzchnik.

Profesor Chance, który był pozbawiony poczucia humoru, ale niejasno zdawał sobie sprawę, że próbowano z niego zadrwić, obrzucił gościa podejrzliwym spojrzeniem.

– My tutaj nie cierpimy na starą obsesję – mówił dalej – że lenistwo jest złem. Jednak nie uważamy też, iż wystarczy bierne uczestnictwo. Każdy mieszkaniec wyspy ma jedną ambicję, którą można wyrazić w dwóch prostych słowach. *Zrobić cokolwiek*, choćby to było coś naprawdę niewielkiego, lepiej niż ktokolwiek inny. To, rzecz jasna, ideał, który nie wszyscy osiągną. Niemniej we współczesnym świecie już samo *dążenie* do ideału jest wielką sprawą. Osiągnięcie go jest znacznie mniej istotne.

Wydawało się, że Inspektor nie zamierza tego komentować. Zdjął już swój strój ochronny, ale nawet w przyćmionym świetle auli nadal nosił

ciemne szkła. Oczywiście uniemożliwiały one i tak daremne próby odczytania myśli Zwierzchnika. Rektor zastanawiał się, czy to konieczność fizjologiczna, czy po prostu kamuflaż. Jednak najwidoczniej nie miał on ochoty oponować przeciw temu nieco prowokującemu stwierdzeniu ani przeciw krytyce polityki, jaką jego rasa prowadziła wobec Ziemi.

Rektor zamierzał atakować dalej, kiedy przewodniczący Wydziału Nauki, profesor Sperling, postanowił włączyć się do dyskusji, nie popierając żadnej ze stron.

– Jak pan zapewne wie, sir, jednym z największych problemów naszej cywilizacji był rozdźwięk między nauką a sztuką. Bardzo chciałbym poznać pańską opinię w tej sprawie. Czy zgodziłby się pan z poglądem, że wszyscy artyści są nienormalni? Albo że ich dzieła, a przynajmniej pobudki ich działań, są efektem pewnego głęboko ukrytego w podświadomości rozczarowania?

Profesor Chance chrząknął znacząco, ale Inspektor go uprzedził.

– Powiedziano mi, że każdy człowiek jest w pewnym sensie artystą, jako że każdy może stworzyć coś nowego, nawet jeśli nie jest to rzecz wielka. Na przykład wczoraj w waszej szkole zauważyłem, jaki nacisk kładliście na umiejętność wypowiadania się poprzez malarstwo, rysunek i rzeźbę. Wydawało mi się, że oczekujecie tego od wszystkich uczniów, nawet tych, którzy w przyszłości mają zostać naukowcami. Zatem jeśli wszyscy artyści są nienormalni i wszyscy ludzie są artystami, dochodzimy do ciekawego sylogizmu...

Wszyscy oczekiwali, że dokończy zdanie. Ale Zwierzchnicy, jeśli chcieli, potrafili wykazać zadziwiające wyczucie taktu.

Inspektor wysłuchał do końca koncertu symfonicznego połączonego z efektami świetlnymi, czego niestety nie dało się powiedzieć o wielu obecnych na sali. Jedynym ustępstwem na rzecz popularnych gustów była *Symfonia psalmów* Strawińskiego; pozostałe utwory były agresywnie modernistyczne. Niezależnie jednak od poglądu na ten rodzaj muzyki trzeba przyznać, że wykonanie było wspaniałe, ponieważ przechwałki Kolonistów, że mają jedną z najlepszych orkiestr na świecie, nie były

wyssane z palca. Koncert poprzedziły liczne kłótnie rywalizujących ze sobą kompozytorów o to, komu przypadnie zaszczyt włączenia jego dzieła do programu, mimo iż kilku cyników zastanawiało się, czy w ogóle w tym wypadku można mówić o zaszczycie. Chociaż wszyscy zakładali, że jest inaczej, mogło się okazać, że Zwierzchnik jest głuchy jak pień.

Zauważono wszakże, że po koncercie Thanthalteresco odszukał trzech obecnych na sali kompozytorów i pogratulował im tego, co nazwał „wybitną pomysłowością”. Odeszli zadowoleni, ale i nieco zdziwieni.

George Greggson dopiero trzeciego dnia wizyty miał okazję spotkać Inspektora. W teatrze przygotowano składankę: dwie jednoaktówki, monodram w wykonaniu światowej sławy aktora i scenę baletową. I tym razem całość wypadła wspaniale i przepowiednia jednego z krytyków: „Teraz przynajmniej dowiemy się, czy Zwierzchnicy potrafią ziewać”, nie spełniła się. Inspektor nawet zaśmiał się kilka razy, i to we właściwych momentach.

A jednak i tu nie można było mieć pewności. Mógł w końcu wspaniale udawać, odbierając wyłącznie treść przedstawienia i nie czując przy tym absolutnie nic, tak jak antropolog uczestniczący w jakimś prymitywnym obrzędzie. Fakt, że wydawał prawidłowe dźwięki i reagował jak należy, niczego nie dowodził.

Choć George naprawdę starał się porozmawiać z Inspektorem, nic z tego nie wyszło. Po spektaklu zamienili kilka zdawkowych słów, gdy ich sobie przedstawiano, a potem gość został porwany przez tłum. Odizolowanie go od tych wszystkich ludzi okazało się absolutnie niemożliwe i George wrócił do domu strasznie rozczarowany. Nie miał pojęcia, co by powiedział, gdyby nadarzyła się okazja, lecz był przekonany, że potrafiłby skierować rozmowę na Jeffa. Tymczasem okazja przeszła koło nosa.

Jego zły humor trwał dwa dni. Wśród obustronnych zapewnień o wzajemnej życzliwości Inspektor odleciał swoim gliderem, a potem okazało się, że historia ta ma jednak dalszy ciąg. Nikomu nie przyszło do głowy, aby zapytać Jeffa, chłopiec zaś musiał długo o tym rozmyślać, zanim postanowił zwrócić się do George'a.

- Tato - powiedział tuż przed pójściem do łóżka - znasz tego Zwierzchnika, który nas odwiedził?

- Tak - mruknął ponuro George.

- Wiesz, on przyszedł do naszej szkoły i słyszałem, jak rozmawiał z niektórymi nauczycielami. Nie bardzo rozumiałem, co mówił, ale myślę, że poznałem jego głos. To on kazał mi uciekać, zanim nadeszła wielka fala.

- Jesteś tego zupełnie pewien?

Jeff zawahał się.

- Zupełnie nie, ale jeśli to nie on, to musiał to być inny Zwierzchnik. Zastanawiałem się, czy mu nie podziękować. Ale on już poleciał, prawda?

- Tak - odparł George. - Obawiam się, że już odleciał. Myślę jednak, że jeszcze nadarzy ci się okazja. A teraz idź do łóżka jak grzeczny chłopiec i nie myśl o tym więcej.

Kiedy Jeff był już w łóżku, a Jenny wykąpana i nakarmiona zasypiała w kojcu, Jean przyszła i usiadła na dywanie, opierając się o nogi George'a. Ten sentymentalny zwyczaj denerwował go trochę, lecz nie uważał, aby było warto kruszyć o to kopie. Starał się tylko przyjąć możliwie elegancką pozycję.

- I co teraz o tym myślisz? - zapytała zmęczonym, obojętnym głosem. - Czy wierzysz, że to w ogóle się stało?

- Wierzę - odparł. - Ale może niemądrze robimy, martwiąc się na zapas. W końcu większość rodziców na naszym miejscu byłaby po prostu wdzięczna... i oczywiście ja też jestem wdzięczny. Wyjaśnienie może być całkiem proste. Wiemy, że Zwierzchnicy interesowali się Kolonią, więc z pewnością obserwowali nas mimo obietnic, jakie złożyli. Założmy, że któryś z nich zerkał na nas za pomocą swoich urządzeń i zobaczył zbliżającą się falę. Ostrzeżenie wszystkich, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie, byłoby czymś naturalnym.

- Nie zapominaj, że on znał imię Jeffa. Nie, musimy być obserwowani. Jest w nas coś szczególnego, coś, co przyciąga ich uwagę. Czułam to od przyjęcia u Ruperta. Zabawne, jak zmieniło ono nasze życie.

George spojrział na nią z sympatią, lecz to było wszystko, co do niej teraz czuł. Dziwne, jak bardzo ktoś może się zmienić w tak krótkim czasie. Kiedyś dałby się za nią posiekać – urodziła mu dzieci i stała się częścią jego życia. Lecz ile pozostało z miłości, jaką czuł niezbyt dziś dobrze pamiętany przez niego facet nazywający się George Greggson do ulotnego marzenia zwanego Jean Morrel? Teraz dzielił swoją miłość między Jeffa, Jennifer i Carole. Nie sądził, aby Jean wiedziała o Carole, i zamierzał jej o wszystkim powiedzieć, zanim zrobi to ktoś inny. Tylko jakoś nigdy się nie składało.

– No więc dobrze: Jeff jest obserwowany, a właściwie chroniony. Czy nie sądzisz, że to powód do dumy? Może Zwierzchnicy planują dla niego świetlaną przyszłość? Zastanawiam się, co też mają dla niego.

Wiedział, że mówi tak, aby dodać Jean otuchy. Sam nie był zbytnio zaniepokojony, raczej zbity z tropu i zaintrygowany. Całkiem nieoczekiwanie przyszła mu do głowy pewna myśl – coś, na co powinien spaść wcześniej. Spojrział w kierunku pokoju małej.

– Zastanawiam się, czy chodzi im tylko o Jeffa – rzekł.

W odpowiednim czasie Inspektor złożył raport. Wyspiarze dałoby wiele, żeby go zobaczyć. Wszystkie dane statystyczne i wyniki wprowadzono do nienasyconej pamięci komputerów, które były jednym, choć nie jedynym, źródłem potęgi Karellena. Jednak nim te bezcielesne elektroniczne umysły doszły do swoich wniosków, Inspektor wydał własną opinię. Wyrażona w słowach i pojęciach rasy ludzkiej miałyby następujący sens:

– Nie musimy podejmować żadnej akcji przeciw Kolonii. To interesujący eksperyment, ale żadną miarą nie wpłynie na przyszłość. Ich przedsięwzięcia artystyczne nie dotyczą nas, nie ma też dowodów, że badania naukowe zdążają w niebezpiecznym kierunku. Tak jak planowałem, udało mi się, nie budząc podejrzeń, zobaczyć wyniki nauczania Obiektu Zero. Interesujące nas dane dołączyłem do raportu i można stwierdzić, że nadal nie ma nadzwyczajnych osiągnięć. Ale, jak wiemy, Przebicie rzadko jest poprzedzone sygnałami ostrzegawczymi. Spotkałem też ojca Obiektu i odniosłem wrażenie, że chciał ze mną

porozmawiać. Na szczęście udało mi się tego uniknąć. Z pewnością czegoś się domyśla, lecz nigdy nie odgadnie prawdy i nie ma wpływu na bieg wydarzeń.

Coraz bardziej żał mi tych ludzi.

George Greggson podpisałby się oburącz pod werdyktem Inspektora, że Jeff jest całkowicie normalnym chłopcem. Był tylko ten jeden niezwykle wypadek, zaskakujący jak uderzenie gromu w długi, pogodny dzień. Jedno zdarzenie i nic poza tym.

Jeff wykazywał energię i docieklivość typowego siedmiolatka. Był inteligentny, kiedy mu na tym zależało, ale daleko mu było do geniusza. Czasami Jean myślała ze zniechęceniem, że doskonale określa go klasyczna definicja małego chłopca: „Hałas otoczony brudem”. Chociaż jeśli chodzi o brud, to trudno było to sprawdzić, warstewki musiały bowiem nakładać się na siebie przez dłuższy czas, aby można je było odróżnić od normalnej opalenizny.

Jeff potrafił być niezwykle podniecony, a zaraz potem przygnębiony, zachowywać rezerwę i za chwilę działać impulsywnie. Nie wykazywał nadmiernego przywiązania do żadnego z rodziców i przyjście na świat siostrzyczki przyjął bez oznak zazdrości. Jego karta zdrowia była idealnie czysta; nie chorował nawet przez jeden dzień. Jednak w tych czasach i w tym klimacie nie było w tym niczego niezwykłego.

Inaczej niż to bywa u niektórych chłopców, towarzystwo ojca nigdy nie nudziło Jeffa i nie szukał każdej sposobności, aby znaleźć się wśród rówieśników. Było rzeczą oczywistą, że odziedziczył po George’u uzdolnienia artystyczne i ledwie nauczył się chodzić, został stałym gościem za kulisami teatru Kolonii. Zespół traktował go jako swoją maskotkę i chłopiec nabrał niezwyklej wprawy we wręczaniu bukietów gościnnie występującym znakomitościom sceny i ekranu.

Tak, Jeff był zupełnie przeciętnym chłopcem.

To właśnie powtarzał sobie George, uspokajając sam siebie, kiedy spacerowali lub jeździli rowerami po niezbyt rozległej wyspie. Rozmawiali

ze sobą tak, jak to czynili ojcowie i synowie od niepamiętnych czasów, jeśli pominąć fakt, że ten wiek dostarczał znacznie więcej tematów do rozmowy. Choć Jeff nigdy nie był poza wyspą, mógł do woli oglądać świat oczyma wszędobylskiej telewizji. Jak wszyscy Koloniści czuł lekką pogardę dla reszty rodzaju ludzkiego. Oni byli elitą, forpocztą postępu. Zaprowadzą ludzkość na wyżyny, które osiągnęli Zwierzchnicy, a może jeszcze wyżej. Nie jutro, rzecz jasna, ale pewnego dnia...

Nawet nie przeczuwali, że ten dzień nadejdzie aż nazbyt szybko.

Rozdział 18

Sześć tygodni później zaczęły się sny.

W mroku tropikalnej nocy George Greggson powoli wypływał na powierzchnię świadomości. Nie wiedział, co go obudziło, i przez chwilę leżał otępiały. Potem zdał sobie sprawę z tego, że jest sam. Jean wstała i poszła na palcach do pokoju dziecinnego. Mówiła coś do Jeffa, ale zbyt cicho, by George mógł zrozumieć, o co chodzi.

Ospale wstał z łóżka i poszedł do żony. Maleństwo dość często robiło im nocne alarmy, ale wtedy hałas był taki, że nie było mowy o spaniu. Teraz rzecz miała się zupełnie inaczej i George zastanawiał się, co obudziło Jean.

Jedynym źródłem światła w pokoju były fosforyzujące wzory na ścianach. W tym słabym blasku ujrzał Jean siedzącą przy łóżku Jeffa. Gdy wszedł, obróciła się do niego i szepnęła:

– Nie zbudź Maleństwa. Wiedziałam, że Jeff mnie potrzebuje, i to mnie obudziło.

Rzeczowość tego stwierdzenia spowodowała, że George zadrzał, przeczuwając coś niedobrego. „»Wiedziałam, że Jeff mnie potrzebuje«. Skąd wiedziała?” – pomyślał. Jednak zapytał tylko:

– Ma złe sny?

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Jean. – Wydaje się, że teraz wszystko jest w porządku. Ale kiedy tu weszłam, był przerażony.

– Nie byłem przerażony, mamusiu – rozległ się cichy, urażony głosik. – Ale to było takie dziwne miejsce.

– Jakie miejsce? – zapytał George. – Opowiedz mi o nim.

– Tam były góry – powiedział sennie Jeff. – Były takie wysokie i nie leżał na nich śnieg tak jak na innych górach, które już widziałem. A niektóre paliły się.

– Chcesz powiedzieć, że to były wulkany?

– Niezupełnie. One całe się paliły, takimi błękitnymi płomieniami.

A jak patrzyłem na to wszystko, to wzeszło słońce...

– Mów dalej. Dlaczego przerwałeś?

Zaskoczony i zdziwiony Jeff spojrział na ojca.

– Bo to jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Ono bardzo szybko poszło w górę i było o wiele za duże. I nie miało właściwego koloru. Było śliczne i niebieskie.

Nastąpiła długa, mroząca krew w żyłach chwila ciszy. Potem George zapytał łagodnie:

– Czy to wszystko?

– No. Poczuję się trochę samotnie, a wtedy przyszła mamusia i obudziła mnie.

George jedną ręką pogładził zmierzwione włosy synka, drugą zaś poprawił szlafrok. Nagle poczuł się mały i zziębnięty. Ale gdy znów odezwał się do Jeffa, w jego głosie nie było śladu tych uczuć.

– To po prostu głupi sen, za dużo zjadłeś na kolację. Bądź rozsądnym chłopcem, zapomnij o tym i śpij.

– Dobrze, tato – odparł Jeff. Chwilę milczał, a potem dodał w zadumie:

– Chyba spróbuję pójść tam jeszcze raz.

– Błękitne słońce? – zapytał Karellen po kilku godzinach. – To musi bardzo ułatwiać identyfikację.

– Tak – odparł Rashaverak. – Niewątpliwie to Alphanidon 2. Góry Siarczane są potwierdzeniem tego faktu. Interesująca jest także różnica w upływie czasu. Planeta bardzo wolno obraca się wokół swojej osi. Chłopak musiał w ciągu kilku minut zaobserwować to, co w rzeczywistości trwało wiele godzin.

– I to wszystko, co zdołałeś odkryć?

– Tak, chyba że zapytam chłopca wprost.

– Tego nie wolno nam uczynić. Wydarzenia muszą biec swoim naturalnym trybem, bez naszej ingerencji. Kiedy rodzice nas poproszą...

wtedy, być może, wy pytamy go.

– Mogą wcale się do nas nie zwrócić. A nawet jeśli to zrobią, może już być za późno.

– Obawiam się, że nic na to nie możemy poradzić. Nie wolno nam zapominać, że nasza ciekawość nie ma znaczenia. Teraz liczy się jedynie szczęście rodzaju ludzkiego. – Sięgnął ręką do wyłącznika. – Oczywiście nie przerywajcie obserwacji i meldujcie mi o wszystkim. Jednak w żaden sposób nie ingerujcie.

Kiedy Jeff obudził się, nadal był tym samym chłopcem. „Przynajmniej za to – pomyślał George – możemy dziękować losowi”. Ale w głębi serca był coraz bardziej przerażony.

Dla Jeffa była to jedynie zabawa; jeszcze nie zaczął się bać. Sen to po prostu sen – jakkolwiek dziwny mógł się wydawać. I chłopiec nie czuł się już samotny w światach, które otwierały się przed nim we śnie. Tylko owej pierwszej nocy jego umysł wzywał Jean przez te nieprzebyte otchłanie, jakie ich dzieliły. Teraz bez obawy ruszał samotnie we wszechświat, który się przed nim otwierał.

Każdego ranka rodzice wypytywali go, a on opowiadał, co zdołał zapamiętać. Czasami brakowało mu słów i milkł, nie potrafiąc opisać scen, które przekraczały nie tylko jego doświadczenie, ale i ludzką wyobraźnię.

Podpowiadali mu nowe słowa, pokazywali barwy i obrazy, usiłując odświeżyć mu pamięć i odnaleźć sens w jego odpowiedziach. Często nic z tego nie wychodziło, chociaż wyglądało na to, że w umyśle Jeffa te światy ze snów są jasne i wyraziste. Po prostu nie potrafił przekazać swoich wrażeń rodzicom. Jednak niektóre były dość proste...

Przestrzeń – żadnego krajobrazu, żadnej planety ni świata pod stopami. Jedynie gwiazdy otoczone aksamitnym mrokiem i zawieszzone w głębi wielkie czerwone słońce, kurczące się i powiększające jak serce. Ogromne i zamglone w jednej chwili, w następnej zaczynało się kurczyć i jaśnieć,

jakby do piekielnego ogniska dorzucano opału. Wspinało się po skali widmowej aż do granicy żółci i bieli, a potem proces się odwracał – gwiazda powiększała się i stygła, zmieniając w poszarpaną, czerwoną chmurę płomieni.

(– Typowy pulsar o przemiennym cyklu – szybko określił Rashaverak. – Również oglądany ze straszliwym przyspieszeniem. Nie mogę dokładnie go umiejscowić, ale najbliższą gwiazdą tego typu jest Rhamsandron 9. Może to też być Pharanidon 12.

– Gdziekolwiek to jest – odparł Karellen – chłopak sięga coraz dalej od domu.

– O wiele dalej – przytaknął Rashaverak).

Mogłaby to być Ziemia. Na błękitnym niebie usianym uciekającymi przed burzą chmurami wisiało białe słońce. Zbocze góry łagodnie opadało ku oceanowi rozpylanemu przez szalejący wiatr. Jednak nic się nie poruszało – cała scena zamarła jak utrwalona nagłym błyskiem piorunu. A daleko, daleko na horyzoncie było coś, co nie istniało na Ziemi: szereg ledwie widocznych słupów wznoszących się z morza, lekko zwięzających ku górze i ginących w podstawie chmur. Z idealną precyzją były rozmieszczone na obwodzie planety, zbyt ogromne jak na sztuczne twory i zbyt regularne jak na naturalne.

(– Sideneus 4 i Kolumny Świtu – powiedział Rashaverak z niepokojem. – Dotarł do centrum wszechświata...

– A przecież dopiero co rozpoczął swoją podróż – odparł Karellen).

Planeta była przeraźliwie płaska. Straszliwa grawitacja już dawno skruszyła góry wypiętrzone w czasach bujnej młodości globu – szczyty, z których najwyższe nie miały więcej niż kilka metrów. Ale i tu kwitło życie, gdyż powierzchnię planety pokrywały miliardy geometrycznych wzorów pełzających, poruszających się i zmieniających barwy jak w kalejdoskopie. To był dwuwymiarowy świat zamieszkały przez istoty, których grubość nie przekraczała ułamków centymetra.

A na niebie płonęło słońce, którego nie wyobraziłby sobie w najdzikszych snach żaden palacz opium. Zbyt jasne, by określić je jako białe, było zimnym widmem na granicy ultrafioletu, palącym planety promieniowaniem zabójczym dla wszelkich ziemskich form życia. Na miliony kilometrów rozpościerało wielkie chmury gazów i pyłu, a zasłona ta jarzyła się fosforescencją niezliczonych barw, gdy przebijały się przez nią rozbłyski ultrafioletu. W porównaniu z tą gwiazdą Słońce było zaledwie błyskiem świetlika w samo południe.

(– Hexanerax 2. W znanym nam wszechświecie jest tylko jedno takie miejsce – powiedział Rashaverak. – Kilku naszym statkom udało się tam dotrzeć, ale nigdy nie zaryzykowano lądowania, bo któż mógł przypuszczać, że na takich planetach istnieje życie.

– Wygląda na to – odparł Karelle – że wy, naukowcy, nie byliście tak dokładni, jak sądziliście. Jeśli te... *wzory* to inteligentne istoty, to porozumienie się z nimi może być niezwykle interesującym problemem. Zastanawiam się, czy one wiedzą cokolwiek o trzecim wymiarze).

Był to świat, który nigdy nie poznał znaczenia nocy i dnia, lat i pór roku. Na jego niebie krążyło sześć kolorowych słońc, tak że następowała jedynie zmiana barwy światła i planeta nie wiedziała, co to mrok. Szarpana i popychana przeciwstawnymi polami grawitacyjnymi, podążała po swojej skomplikowanej orbicie, nigdy nie odbywając dwukrotnie tej samej drogi. Każdy punkt tej orbity był wyjątkowy: konfiguracja, jaką w danej chwili tworzyło sześć słońc, miała się już nigdy nie powtórzyć po tej stronie wieczności.

Jednak nawet tam było życie. Chociaż planeta mogła być osmalona płomieniami w jednej, a skuta lodem na zewnętrznej orbicie w drugiej epoce, ona również była siedliskiem rozumu. Wielkie, wielopłaszczyznowe kryształy tworzące skomplikowane bryły, nieruchome w erach chłodnych, rozrastały się wolno wzdłuż żył minerałów, gdy powracało ciepło. To nieważne, że dokończenie rozpoczętej myśli zajmowało im tysiąc lat. Wszechświat był wciąż młody, a przed sobą miały niezmierzone obszary czasu...

(- Przejrzałem wszystkie nasze zapisy – powiedział Rashaverak. – Nic nie wiemy o takim świecie ani o takiej kombinacji gwiazd. Gdyby istniał gdzieś w naszym wszechświecie, odkryliby go astronomowie, nawet jeśli znajdowałby się poza zasięgiem naszych statków.

– A więc chłopak sięgnął poza Galaktykę.

– Tak. Teraz to już długo nie potrwa.

– Co możemy o tym wiedzieć? On tylko śni. Kiedy się budzi, pozostaje nadal zwyczajnym chłopcem. To wciąż pierwsze stadium. Jednak kiedy zaczną się zmiany, dowiemy się o tym szybko...)

– Spotkaliśmy się już kiedyś, panie Greggson – powiedział poważnie Zwierzchnik. – Nazywam się Rashaverak. Na pewno mnie pan pamięta.

– Tak – odparł George. – Na przyjęciu u Ruperta Boyce’a. Mało prawdopodobne, żebym zapomniał. Tak myślałem, że się jeszcze spotkamy.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego prosił pan o spotkanie.

– Myślę, że pan już wie...

– Niewykluczone, ale dla nas obu będzie lepiej, jeśli pan sam mi to powie. Może to pana zdziwi, ale ja także próbuję coś z tego zrozumieć i w niektórych sprawach moja niewiedza jest równie wielka jak pańska.

George spojrział na Zwierzchnika ze zdumieniem. Taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Podświadomie przyjmował, że Zwierzchnicy posiadli całą wiedzę oraz dysponują absolutną potęgą i dlatego doskonale zdają sobie sprawę, co się dzieje z Jeffem, a może nawet są za to odpowiedzialni.

– Zakładam – powiedział – że widzieliście raporty, które przedłożyłem psychologowi Kolonii, a więc wiecie o tych snach.

– Tak, wiemy o nich.

– Nigdy nie uważałem ich za wytwór dziecięcej wyobraźni. Były tak niewiarygodne, że chociaż wiem, iż to brzmi śmiesznie, muszą mieć oparcie w rzeczywistości.

Popatrzył niespokojnie na Rashaveraka, nie wiedząc, czy spodziewać się zaprzeczenia, czy potwierdzenia. Zwierzchnik nic nie powiedział; po prostu spoglądał na niego swoimi wielkimi, spokojnymi oczyma. Siedzieli niemal twarzą w twarz, gdyż pokój, najwidoczniej zaprojektowany z myślą o takich spotkaniach, miał dwa poziomy i solidne krzesła Zwierzchnika stało dobry metr niżej niż fotel George'a. To był przyjazny gest, poprawiający samopoczucie ludzi, którzy prosili o takie spotkanie i rzadko byli w beztróskim nastroju.

- Początkowo trochę się martwił, ale uważaliśmy, że to nic poważnego. Po przebudzeniu Jeff zachowywał się zupełnie normalnie i wcale nie przejmował się tymi snami. Jednak potem przyszła taka noc...

- Zawahał się i popatrzył na Zwierzchnika, jakby szukał u niego pomocy. - Nigdy nie wierzyłem w zjawiska nadprzyrodzone. Nie jestem naukowcem, ale myślę, że wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć.

- Oczywiście - powiedział Rashaverak. - Wiem, co pan zobaczył. Obserwowałem was.

- Zawsze to podejrzewałem. Ale Karellen obiecywał, że nie będziecie nas szpiegować swoimi instrumentami. Dlaczego złamał pan tę obietnicę?

- Nie złamałem jej. Karellen powiedział, że rodzaj ludzki nie będzie już więcej śledzony. To obietnica, której musimy dotrzymać. Obserwowałem wasze dzieci, nie was.

Minęło kilka sekund, zanim George w pełni zrozumiał znaczenie słów Rashaveraka. Potem krew odpłynęła mu z twarzy.

- Chce pan powiedzieć... - szepnął, lecz głos go zawiódł i musiał zacząć jeszcze raz. - Na miłość boską, czymże więc są moje dzieci?

- To właśnie - odparł poważnie Rashaverak - próbujemy ustalić.

Jennifer Anne Greggson, dawniej znana jako Małeństwo, leżała na plecach i mocno zaciskała powieki. Od dawna ich nie otwierała i już nigdy ich nie otworzy, ponieważ były jej zbyt ciężkie, tak jak byłyby niepotrzebne mieszkańcowi morskich głębin posiadającemu wiele innych zmysłów.

Wiedziała, co się dzieje w otaczającym ją świecie. Prawdę mówiąc, wiedziała dużo więcej.

W wyniku dziwnego przeistoczenia z krótkiego dzieciństwa pozostał jej jeden odruch. Cieszący ją niegdyś dźwięk grzechotki rozbrzmiewał teraz bez końca w skomplikowanym, wciąż zmieniającym się rytmie. Właśnie te niezwykle synkopy obudziły Jean i kazały jej przybiec do pokoju dzieci. Ale nie sam dźwięk był powodem, dla którego zaczęła głośno wołać George'a.

Sprawił to widok zwykłej, jaskrawo malowanej grzechotki drgającej samoistnie w powietrzu pół metra od podłogi, podczas gdy zadowolona Jennifer Anne leżała na plecach z mocno zaciśniętymi tłściutkimi rączkami, uśmiechając się spokojnie.

Zaczęła później, ale robiła szybkie postępy. Wkrótce miała wyprzedzić swojego brata, ponieważ musiała zapomnieć o wiele mniej niż on.

– Mądrze postąpiliście – powiedział Rashaverak – nie próbując dotykać jej zabawki. Nie sądzę, żeby udało wam się ją ruszyć. Jednak gdyby wam się powiodło, dziewczynka mogłaby się zirytować. Nie wiadomo, co mogłoby się wtedy stać.

– Czy chce pan powiedzieć – rzekł ponuro George – że nic nie możecie zrobić?

– Nie będę pana oszukiwał. Możemy badać i obserwować, tak jak to właśnie czynimy. Ale nie możemy ingerować, bo nie rozumiemy tego zjawiska.

– Cóż więc mamy robić? I dlaczego to wszystko przydarzyło się właśnie nam?

– Komuś musiało się przytrafić. W waszej rodzinie nie było niczego szczególnego, podobnie jak w pierwszym neutronie rozpoczynającym reakcję łańcuchową w bombie atomowej. On po prostu jest pierwszy. Mógłby to być każdy inny neutron, tak jak zamiast Jeffreya mógłby być każdy inny siedmiolatek na świecie. Obserwowane zjawisko nazywamy Przebicciem Totalnym. Teraz nie ma już powodu, aby trzymać wszystko

w tajemnicy, i bardzo mnie to cieszy. Czekaliśmy na to od chwili, gdy dotarliśmy do Ziemi. W żaden sposób nie mogliśmy przewidzieć, gdzie i kiedy do tego dojdzie, póki nie spotkaliśmy się przypadkowo na przyjęciu u Ruperta Boyce'a. Od tamtej pory wiedziałem, byłem prawie pewien, że pańskie dzieci będą pierwszymi.

– Przecież wtedy jeszcze nie byliśmy małżeństwem. My nawet nie...

– Tak, wiem. Jednak umysł panny Morrel był kanałem, przez który dotarła do nas wiedza, której nie mógł posiadać żaden z żyjących w owym czasie ludzi. Ta wiedza mogła pochodzić jedynie z innego umysłu pozostającego z nią w bliskim kontakcie. Fakt, że ten umysł jeszcze się nie narodził, nie był tak istotny, czas bowiem jest czymś o wiele dziwniejszym, niż pan sądzi.

– Zaczynam pojmować. Jeff to widzi, dostrzega inne światy i może powiedzieć, skąd przybyliście. A Jean w jakiś sposób przechwyciła jego myśli, mimo że chłopak jeszcze się nie narodził.

– Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż pan myśli, lecz nie przypuszczam, aby kiedykolwiek był pan bliższy prawdy niż w tej chwili. W całej historii ludzkości pojawiali się osobnicy dysponujący niewytłumaczalnymi siłami, które zdawały się niezależne od czasu i przestrzeni. Oni sami nigdy tego nie rozumieli, a wszyscy usiłowali tłumaczyć to zjawisko i prawie zawsze wychodził z tego bezsensowny bełkot. Wiem o tym aż za dobrze, bo dość się tego naczytałem! Istnieje jednak pewna analogia, która... hmm... dostarcza niejakich wskazówek i może nam się przydać. Często przewija się w waszej literaturze. Proszę sobie wyobrazić, że każdy umysł jest wyspą na oceanie. Każda jest pozornie odizolowana od innych, lecz w istocie łączy je skalne podłoże, z którego wyrosły. Gdyby ocean zniknął, byłyby to koniec wysp. Wszystkie stałyby się częścią kontynentu, chociaż zatraciłyby swą indywidualność. Telepatia, jak ją nazywacie, jest czymś w tym rodzaju. W odpowiednich warunkach umysły mogą łączyć się i dzielić swoją zawartością, a kiedy ponownie odizolują się od siebie, są bogatsze o nowe doświadczenia i wspomnienia. W swojej najdoskonalszej formie siły te nie podlegają

zwykłym ograniczeniom czasu i przestrzeni. Właśnie dlatego Jean mogła przejść tę wiedzę od swego nienarodzonego jeszcze syna.

Nastąpiła długa cisza, w czasie której George borykał się z tymi zdumiewającymi myślami. Powoli wszystko zaczęło się układać. Prawda wynikająca z owych informacji zdawała się niewiarygodna, ale miała swoją wewnętrzną logikę. Wyjaśniała także, jeśli w ogóle można było użyć tego słowa wobec spraw tak niepojętych, wszystko, co wydarzyło się od tamtego przyjęcia u Ruperta Boyce'a. Nagle George zrozumiał, że to wyjaśnia również zainteresowanie Jean zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– Co zapoczątkowało ten proces? – zapytał. – I do czego to doprowadzi?

– Na te pytania nie potrafimy odpowiedzieć. We wszechświecie jest wiele ras i niektóre z nich odkryły tę siłę na długo przed tym, zanim na scenie pojawiliście się wy lub my. One czekają na was. Czekają, aż przyłączycie się do nich, i teraz nadeszła ta chwila.

– A jaka jest *wasza* rola w tym wszystkim?

– Jak większość ludzi, pan zapewne uważał nas za swoich władców. To nie tak. Nigdy nie byliśmy nikim więcej niż strażnikami wykonującymi obowiązki narzucone nam przez kogoś stojącego nad nami. Ten obowiązek czy służbę niełatwo zdefiniować. Może najlepszym porównaniem byłyby położne asystujące przy trudnym porodzie. Pomagamy w narodzinach czegoś nowego i niezwykłego. – Rashaverak zawahał się. – Tak, jesteśmy położnymi. *Jednak sami jesteśmy rasą bezpłodną.*

W tym momencie George zrozumiał, że stoi w obliczu tragedii okropniejszej od jego własnej. To było nieprawdopodobne i w pewnym sensie sprawiedliwe. Mimo całej swej potęgi i świetności Zwierzchnicy utknęli w ewolucyjnym ślepych zaułku. Oto miał przed sobą przedstawiciela wielkiej i szlachetnej rasy pod każdym niemal względem górującej nad ludźmi, lecz niemającej żadnej przyszłości i świadomej tego. W obliczu takiej tragedii problemy George'a wydawały się błahe.

– Teraz już wiem – powiedział – dlaczego obserwowaliście Jeffrey'a. Był królikiem doświadczalnym w tym eksperymencie.

- Dokładnie tak, chociaż nie mieliśmy żadnego wpływu na ten eksperyment. Nie my go rozpoczęliśmy. Po prostu próbujemy go obserwować. Nie mieszamy się do niczego, chyba że jesteśmy do tego zmuszeni.

„Tak – pomyślał George. – Ta wielka fala. Nie mogli pozwolić, aby cenny okaz został zniszczony”.

Lecz zaraz poczuł wstyd, wiedząc, że jego rozgoryczenie i gniew były nie na miejscu.

- Mam tylko jeszcze jedno pytanie – powiedział. – Co mamy robić z naszymi dziećmi?

- Dopóki możecie, cieszcie się nimi – odparł łagodnie Rashaverak. – Nie zostaną z wami długo.

Taką radę można było dać rodzicom wszystkich dzieci w minionych wiekach, lecz teraz kryły się w niej groźba i strach, których nigdy przedtem w niej nie było.

Rozdział 19

I nadszedł czas, kiedy sny Jeffreya nie oddzielały się już od rzeczywistości. Przestał chodzić do szkoły i życie rodzinne Jean i George'a całkowicie się zmieniło. Wkrótce zresztą tak samo stało się na całym świecie.

Unikali wszystkich znajomych, jakby już teraz zdawali sobie sprawę, że niebawem nikt nie będzie ich darzył sympatią. Czasami, w mroku nocy, kiedy wiedzieli, że nie spotkają zbyt wielu ludzi, wychodzili razem na spacer. Byli sobie teraz bliżsi niż kiedykolwiek od czasu miodowego miesiąca. Zjednoczeni w obliczu wielkiego nieszczęścia, które niedługo miało na nich spaść.

Z początku mieli poczucie winy, zostawiając w domu śpiące dzieci, ale wkrótce zrozumieli, że Jeff i Jenny potrafią sami zadbać o siebie w niezrozumiały dla otoczenia sposób. A ponadto byli pod obserwacją Zwierzchników. Ta myśl dodawała Greggsonom otuchy; czuli, że nie są osamotnieni w obliczu swojego problemu i że wraz z nimi czuwają mądre, współczujące oczy.

Jennifer spała; nie można było trafniej opisać stanu, w jakim się znajdowała. Zewnętrznie pozostała niemowlęciem, lecz wyczuwało się otaczającą ją moc i było to tak przerażające, że Jean nie potrafiła się zmusić, by wejść do pokoju dzieciennego.

Nie było już zresztą takiej potrzeby. Istota, która kiedyś była Jennifer Anne Greggson, jeszcze nie ukształtowała się w pełni, lecz nawet w tym larwalnym stadium posiadała taką władzę nad otoczeniem, że sama umiała się zatroszczyć o swoje sprawy. Jean tylko raz próbowała ją nakarmić – bezskutecznie. Jennifer Anne wolała odżywiać się w wybranym przez siebie czasie i na swój sposób.

Żywność zniknęła z lodówki wolnym i regularnym strumieniem, chociaż mała nigdy nie opuszczała łóżeczka.

Grzechotanie ustało i porzucona zabawka leżała teraz na podłodze pokoju dziecinnego, jednak nikt nie ośmielił się jej dotknąć. Jennifer Anne mogła przecież znów jej zapragnąć. Czasami sprawiała, że meble same ustawiały się w dziwaczne wzory, a George'owi wydawało się, że fosforyzująca farba na ścianach pokoju świeci dużo jaśniej niż przedtem.

Jennifer Anne nie sprawiała żadnych kłopotów; trwała poza ich obecnością i miłością. To było nie do zniesienia i w czasie, jaki im pozostał, rozpaczliwie lgnęli do Jeffa.

On także się zmieniał, ale nadal ich rozpoznawał. Chłopiec, którego rozwój obserwowali od niemowlęcia, tracił swoją osobowość – zanikała na ich oczach z godziny na godzinę. A mimo to czasem rozmawiał z nimi tak jak przedtem, opowiadając o swoich zabawkach i przyjaciółach, jakby nieświadomy tego, co go czeka. Lecz przeważnie nie dostrzegał ich i nic nie wskazywało na to, że zdaje sobie sprawę z ich obecności. W ogóle przestał sypiać, podczas gdy oni musieli, mimo iż z całych sił próbowali jak najlepiej wykorzystać nieliczne pozostałe im chwile.

W przeciwieństwie do Jenny chłopiec najwyraźniej nie posiadał niezwykłej władzy nad przedmiotami – może dlatego, że był już na tyle duży, iż nie potrzebował jej tak bardzo. Jego niezwykłość ograniczała się do życia wewnętrznego, którego sny były teraz tylko niewielką częścią. Potrafił całymi godzinami stać bez ruchu z zamkniętymi oczami, jakby słuchał dźwięków, które nie docierały do nikogo poza nim. Jego umysł czerpał wiedzę – nie wiadomo, jak i kiedy – która wkrótce miała opanować i zniszczyć na pół uformowane stworzenie będące kiedyś Jeffreyem Angusem Greggsonem.

A Fey będzie siadywała, spoglądała na niego smutnymi, zdziwionymi ślepiami i zastanawiała się, dokąd odszedł jej pan i kiedy do niej wróci.

Jeff i Jenny byli pierwsi, ale niebawem nie byli już sami. Jak epidemia przenosząca się błyskawicznie z kraju do kraju, metamorfoza objęła cały

rodzaj ludzki. Praktycznie dotknęła wszystkich dzieci do dziesięciu lat i nikogo ze starszych.

To był koniec cywilizacji, kres wszystkiego, ku czemu ludzie dążyli od niepamiętnych czasów. W ciągu kilku dni ludzkość utraciła przyszłość, bo gdy się traci wszystkie swoje dzieci, ten cios łamie serce i odbiera chęć do życia.

Nie było paniki, jaka mogłaby wybuchnąć sto lat wcześniej. Świat popadł w otępienie, a wielkie miasta pozostały milczące. Działy tylko służby niezbędne do ich istnienia i zaspokajające podstawowe ludzkie potrzeby. Planeta pogrążyła się w żałobie, oplakując wszystko to, co odeszło na zawsze.

A wtedy, jak uczynił to w dawno zapomnianych czasach, Karellen po raz ostatni przemówił do ludzkości.

Rozdział 20

Moja praca tutaj dobiega końca – powiedział Karellen z milionów radioodbiorników. – A teraz, po stu latach, nareszcie mogę wam zdradzić, na czym polegała. Wiele musieliśmy przed wami ukrywać, także my sami przez połowę pobytu na Ziemi kryliśmy się przed człowiekiem. Wiem, że niektórzy z was uważali, że nie było to potrzebne. Przywykliście do naszej obecności i nie możecie już sobie wyobrazić, jak zareagowaliby na nasz widok wasi przodkowie. Jednak teraz możecie zrozumieć przesłanki takiego postępowania i wiecie, że były to ważne powody. Największym sekretem, jakiego strzegliśmy przed wami, był cel naszego przybycia na Ziemię – cel, który wywoływał niekończące się spekulacje. Aż do tej pory nie mogliśmy go wam wyjawić, ponieważ ta tajemnica nie należała do nas. Sto lat temu przybyliśmy do waszego świata, ratując was przed samozagładą. Nie sądzę, aby ktoś chciał temu zaprzeczyć, chociaż nikt nie podejrzewał, pod jaką postacią przyszłaby ta zagłada. Groźba fizycznego unicestwienia zniknęła, gdyż zakazaliśmy używania broni jądrowej i wszystkich tych śmiercionośnych zabawek, które zgromadziliście w swoich arsenałach. Myśleliście, że było to jedyne niebezpieczeństwo. Chcieliśmy, byście tak uważali, lecz nie była to prawda. Największe zagrożenie, w obliczu którego stanęliście, było zupełnie innej natury i nie wy jedni znaleźliście się w jego cieniu. Wiele ras docierało do skrzyżowania dróg z napisem „potęga jądrowa”, unikało samozagłady i zaczynało budować wspaniałe pokojowe cywilizacje... a mimo to były doszczętnie niszczone przez siły, o których nie zdążyły się niczego dowiedzieć. W dwudziestym wieku i wy coraz częściej zaczęliście się stykać z tymi siłami. Z tego właśnie powodu nasza ingerencja stała się konieczna. Przez cały ten wiek ludzkość powoli dryfowała ku przepaści, nawet nie podejrzewając jej istnienia. Nad tą przepaścią przerzucono

tylko jeden most. Niewiele ras odnalazło go samodzielnie. Niektóre cofnęły się w porę, unikając niebezpieczeństwa, ale i tracąc szansę na zwycięstwo. Ich światy stały się elizejskimi wyspami spokoju i nie odgrywają już żadnej roli we wszechświecie. Nie taki jednak byłby wasz los. Wasza rasa była zbyt witalna. Runęłaby w przepaść, zabierając ze sobą inne, bo wy nigdy nie znaleźlibyście mostu. Obawiam się, że prawie wszystko, co mam wam do powiedzenia, muszę przekazywać za pomocą analogii. W waszej mowie brakuje wielu słów i pojęć dla rzeczy, o których chciałbym wam powiedzieć, a i nasza wiedza o nich jest żałośnie nikła i niezadowolająca. Aby to zrozumieć, musicie wrócić do przeszłości i odnaleźć wiele z tego, co było rzeczywistością waszych przodków, a o czym my pomogliśmy wam zapomnieć. Cały nasz pobyt tutaj bowiem był oparty na wielkim oszustwie i ukrywaniu prawdy, na której przyjęcie nie byliście jeszcze gotowi. W stuleciach poprzedzających nasze przybycie wasi naukowcy odkryli tajemnice świata materialnego i poprowadzili was od energii parowej do atomowej. Pozbyliście się zabobonów – jedyną religią ludzkości stała się nauka. To był prezent, jaki mniejszość Zachodu podarowała rodzajowi ludzkiemu, niszcząc wszystkie religie. Te, które istniały jeszcze w chwili naszego przybycia, były już w agonii. W powszechnym przekonaniu nauka mogła wyjaśnić wszystko i nie istniały żadne siły, do których nie mogła przyłożyć swej miary, ani wydarzenia, których rozum nie jest w stanie pojąć. Pochodzenie i początki wszechświata mogły pozostawać niewiadomą, lecz wszystko to, co zdarzyło się potem, podlegało prawom fizyki. Ale wasi mistycy, chociaż pogubili się w swoich złudzeniach, dostrzegli część prawdy. Istnieją siły umysłu i poza nim, których nauka z całym swym aparatem badawczym nie była w stanie zgłębić. Przez wszystkie wieki notowano niezliczone dziwne zjawiska – telekinezę, telepatię, prekognicję – które potrafiliście nazwać, ale których nie umieliście wyjaśnić. Początkowo nauka ignorowała je, potem przeczyła ich istnieniu wbrew dowodom zebranych przez pięć tysięcy lat. Jednak one istnieją i jeśli jakakolwiek teoria dotycząca wszechświata ma być kompletna, musi je uwzględniać. W pierwszej połowie dwudziestego wieku kilku waszych naukowców

zaczęło badać te zjawiska. Nie zdawali sobie sprawy, że majstrują przy zamku puszek Pandory. Siły, jakie mogli w ten sposób wyzwolić, przewyższały wszelkie zagrożenia ze strony arsenałów atomowych. Albowiem fizycy mogli jedynie spopielić Ziemię, parapsychologowie zaś mogli płomień zniszczenia roznieść na gwiazdy. Nie można było do tego dopuścić. Nie potrafię w pełni wyjaśnić istoty zagrożenia, jakie sobą przedstawialiście. Dla nas nie byliście groźni, może więc dlatego nie rozumiemy tego niebezpieczeństwa. Powiedzmy, że stalibyście się czymś w rodzaju telepatycznego nowotworu, złowrogą umysłowością, która swoim nieuniknionym rozkładem zatrułaby inne, większe umysły. I tak przybyliśmy, *zostaliśmy przysłani*, na Ziemię. Przerwaliśmy wasz rozwój na wszystkich płaszczyznach kulturalnych, ale co najważniejsze, położyliśmy kres wszystkim poważnym badaniom nad zjawiskami nadprzyrodzonymi. Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że kontrast między poziomem naszych cywilizacji zahamował również wszystkie wasze osiągnięcia twórcze. Lecz to był efekt uboczny i nie miał żadnego znaczenia. A teraz muszę wam powiedzieć coś, co może uznacie za zdumiewające i niewiarygodne. Nie dysponujemy wszystkimi tymi możliwościami, tą uśpioną mocą. Nawet jej nie rozumiemy. Nasze mózgi niepomierne przewyższają wasze, lecz w ludzkich umysłach jest coś, co zawsze nam umykało. Prowadzimy badania nad tym od chwili, gdy przybyliśmy na Ziemię. Wiele się dowiedzieliśmy i dowiemy się jeszcze więcej, ale wątpię, byśmy kiedykolwiek odkryli całą prawdę. Nasze rasy mają wiele wspólnego – oto powód, dla którego właśnie nam powierzono to zadanie. Lecz pod pewnymi względami stanowimy końcowe stadia dwóch różnych ewolucji. My osiągnęliśmy kres naszych możliwości. Podobnie, w obecnej postaci, jest z wami. Jednak wy możecie przejść na wyższy poziom i na tym polega różnica między nami. Nasz potencjał jest już na wyczerpaniu, podczas gdy wasz pozostaje nietknięty. W sposób, jakiego nie pojmujemy, wiąże się to z siłami, o których wspomniałem – potęgami budzącymi się w waszym świecie. Zatrzymaliśmy wasz zegar, daliśmy wam czas na opanowanie tych sił, skierowanie ich w kanały, które dla nich przygotowano. Wszystko to, co zrobiliśmy dla waszej planety, podnosząc

poziom życia, przynosząc pokój i sprawiedliwość, zrobilibyśmy i tak, skoro zmuszono nas, żebyśmy wmieszali się w nie swoje sprawy. A wszystkie te ogromne zmiany odwróciły uwagę ludzi od prawdy i w ten sposób pomogły nam osiągnąć cel. Jesteśmy waszymi strażnikami... i nikim więcej. Często musieliście się zastanawiać, jaka jest pozycja mojej rasy w hierarchii wszechświata. Tak jak my górujemy nad wami, tak nad sobą mamy kogoś, kto posługuje się nami do osiągnięcia swoich celów. Nigdy nie udało nam się odkryć, kim oni są, i nie ośmielamy się sprzeciwiać ich poleceniom. Wielokrotnie nakazywano nam udać się do jakiegoś świata, którego cywilizacja dopiero rozkwitała, i poprowadzić go drogą, którą my nigdy nie podążymy... drogą, którą wy idziecie teraz. Wiele razy obserwowaliśmy proces, który kazano nam pielęgnować, i żywiliśmy nadzieję, iż nauczymy się uwalniać od naszych ograniczeń. Jednak dostrzegamy jedynie ogólny charakter zjawiska. Nazwaliście nas Zwierzchnikami, nie zdając sobie sprawy z ironicznego wydźwięku tej nazwy. Powiedzmy więc, że nad nami jest *Nadzwierzchnik* używający nas tak, jak garncarz używa swego koła. A wasza rasa jest gliną formowaną na tym kole. Wierzmy, chociaż jest to tylko teoria, że *Nadzwierzchnik* próbuje rozrosnąć się, aby zwiększyć swoją potęgę i swoją świadomość wszechświata. Teraz musi już być sumą wielu ras, od dawna wolną od tyranii materii. Zdaje sobie sprawę z istnienia każdego rozumu, gdziekolwiek by się on znajdował. Kiedy pojął, że jesteście prawie gotowi, przysłał nas, byśmy przygotowali was do przemiany, która jest już teraz bardzo bliska. Wszystkie poprzednie zmiany waszej rasy trwały całe wieki. Ale ta jest przemianą intelektu, nie ciała. W skali ewolucji będzie to kataklizm trwający mgnienie oka. On już się zaczął. Musicie spojrzeć prawdzie w oczy: jesteście ostatnim pokoleniem *homo sapiens*. O naturze tej przemiany możemy powiedzieć bardzo niewiele. Nie mamy pojęcia, jak przebiega ani co wywołuje impuls, którego używa *Nadzwierzchnik*, gdy uzna, że nadszedł już czas. Zauważyliśmy tylko, że proces zaczyna się od pojedynczego osobnika – zawsze jest nim dziecko – i rozprzestrzenia się łańcuchowo jak kryształ rosnący w nasyconym roztworze. Dorośli pozostają nietknięci, ponieważ ich umysły zastygły w niemożliwej do

zmienienia formie. Za parę lat ten proces się zakończy i rasa ludzka ulegnie podziałowi. Nie ma już powrotu ani przyszłości dla świata, jaki znacie. Wszystkie nadzieje i marzenia waszej rasy okażą się płonne. Z was zrodzili się wasi spadkobiercy i następcy, a waszą tragedią jest to, że nigdy ich nie pojmiecie, nigdy nawet nie zdołacie porozumieć się z ich umysłami. Zresztą w rzeczywistości oni nie będą posiadali takich umysłów, do jakich przywykliście. Będą jedną całością, tak jak wy jesteście sumą miliardów komórek waszego ciała. Dojdziecie do wniosku, że nie są już ludźmi, i będziecie mieli rację. Powiedziałem wam to wszystko, abyście wiedzieli, czego oczekiwać. Za kilka godzin nadejdzie krytyczna chwila. Moim zadaniem i obowiązkiem jest chronić tych, których kazano mi strzec. Mimo budzącej się potęgi mogą zostać zniszczeni przez otaczające ich masy... tak, nawet przez własnych rodziców, kiedy ci pojmą, co w istocie się stało. Muszę zabrać ich stąd i odizolować, a zrobię to dla waszego i ich dobra. Nie będę was winił, jeśli spróbujecie mi przeszkodzić, chociaż to nic nie da. Budzi się potęga większa od mojej, a ja jestem tylko jednym z jej narzędzi. A potem... Co mam zrobić z tymi, którzy pozostaną przy życiu, kiedy dopełni się wasze przeznaczenie? Najprostsze, a może i najbardziej miłosierne rozwiązanie to zabić was, jak dobija się śmiertelnie rannego konia. Jednak nie mogę tego zrobić. Sami wybierzecie swoją przyszłość na lata, które wam pozostały. Mam nadzieję, że ludzkość odejdzie w pokój, ze świadomością, że nie istniała nadaremnie. To, co daliście światu, może być wam całkowicie obce, może nie dzielić waszych pragnień i nadziei, może uznać wasze największe osiągnięcia za dziecinadę... a jednak jest to coś wspaniałego i pozostanie waszym dziełem. Kiedy nasza rasa zostanie zapomniana, część waszej nadal będzie istniała. Nie przeklinajcie więc nas za to, co musieliśmy wam uczynić. I pamiętajcie: zawsze będziemy wam zazdrościć.

Rozdział 21

Wcześniej Jean płakała, teraz już nie. Gdy statek powoli nadleciał nad bliźniacze szczyty Sparty, wyspa kąpała się w promieniach bezdusznego słońca. Nie tak dawno temu na tej skalistej wysepce jej syn cudem uszedł śmierci, cudem, który teraz rozumiała aż za dobrze. Czasami zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby Zwierzchnicy powstrzymali się od interwencji i pozostawili go samemu sobie. Śmierć była czymś, czemu umiałaby stawić czoło, bo robiła to już wcześniej. Taki był naturalny bieg rzeczy. Jednak to było dziwniejsze niż śmierć i bardziej nieodwołalne. Dotychczas ludzie umierali, ale ludzkość trwała.

Dzieci nie wydawały dźwięków i nie poruszały się. Stały w niewielkich grupkach na piasku, nie okazując sobie większego zainteresowania niż domom, które opuszczały na zawsze. Niektóre miały na rękach dzieci zbyt małe, aby chodzić, lub niechcące przyzywać sił czyniących chodzenie zbędnym. „Bo przecież – pomyślał George – jeśli potrafią przenosić w czasie i przestrzeni materię nieożywioną, to tym bardziej mogą robić to z własnymi ciałami. Po co w ogóle Zwierzchnicy zabierają je na statki?”

Ale nie miało to większego znaczenia. Odchodziły i wybrały taki właśnie sposób. Nagle George zrozumiał, z czym kojarzyła mu się oglądana scena. Kiedyś, dawno temu, widział starą dwudziestowieczną kronikę filmową przedstawiającą podobny exodus. Musiał to być początek pierwszej, a może drugiej wojny światowej. Długie sznury pociągów pełnych dzieci opuszczających zagrożone miasta i rodziców, których wiele z nich miało już nigdy nie ujrzeć. Niektóre płakały, inne były zaskoczone tym, co się działo, i nerwowo ścisnęły w rączkach swoje małe bagaże, ale większość patrzyła w przyszłość, czekając na wielką przegodę.

A jednak w tej analogii krył się jakiś fałsz. Historia nie powtarza się. Czymkolwiek były istoty, które odchodziły, z pewnością nie były już

dziećmi. I tym razem nie będzie powrotów.

Statek wylądował na brzegu i osiadł głęboko w miękkim piasku. Rząd wielkich, wygiętych płyt jednocześnie odchylił się w górę i na plażę opuściły się trapy podobne do metalowych języków. Rozproszone, niewypowiedziane samotne postacie zaczęły podchodzić i tworzyć tłum, który poruszał się jak zwykły tłum złożony z ludzi.

Samotne? George zastanawiał się, dlaczego przyszło mu do głowy to właśnie określenie. Ale zaraz zrozumiał – było to jedyne uczucie, jakiego tamci nie mogli zaznać. Samotny może być tylko pojedynczy osobnik, tylko człowiek. Kiedy opadną ostatnie bariery, samotność zniknie wraz z osobowością. Niezliczone pojedyncze krople deszczu wpadną do oceanu.

Poczuł, jak Jean w gwałtownym przyplywie emocji coraz mocniej ściska jego dłoń.

– Spójrz – szepnęła. – Widzę Jeffa. Przy tych drugich drzwiach.

Patrzyli z daleka i trudno było mieć pewność. Nielatwo było coś dostrzec przez mgłę zasnuwającą oczy. Niemniej to był Jeff – George nie miał wątpliwości. Rozpoznał syna, który jedną nogą wszedł już na trap.

Jeff odwrócił się i spojrzał za siebie. Jego twarz, widziana z tej odległości, stanowiła jedynie jasną plamkę i nie sposób było stwierdzić, czy pojawił się na niej choćby cień rozpoznania lub pamięci o tym, co pozostawiał za sobą. George nie miał się nigdy dowiedzieć, czy Jeff odwrócił się zupełnie przypadkowo i czy w tych ostatnich sekundach, kiedy był jeszcze ich synem, wiedział, że patrzają, jak wkracza do świata, do którego oni nie mieli wstępu.

Wielkie drzwi zaczęły się zamykać. Wtedy Fey podniosła pysk i zaskowyczała cicho i rozpaczliwie. Spojrzała swymi pięknymi, przejrzystymi ślepiami na George'a, a ten zrozumiał, że zwierzę straciło swego pana. Teraz już nie miał rywala.

Przed tymi, którzy pozostali, otwierało się wiele dróg, lecz wszystkie prowadziły do jednego nieuniknionego końca. Byli tacy, którzy powiadali:

„Świat nadal jest piękny. Pewnego dnia będziemy musieli go opuścić, ale nie ma powodu, aby to przyspieszać”.

Jednak ci, którzy więcej uwagi poświęcali przyszłości niż przeszłości, stracili wszystko, co nadawało życiu sens, i nie chcieli pozostać. Odchodzili samotnie lub z przyjaciółmi, zależnie od usposobienia.

Tak stało się z Atenami. Wyspa narodziła się w płomieniach i wybrano ogień, aby towarzyszył jej śmierci. Ci, którzy chcieli ją opuścić, uczynili to, ale większość mieszkańców pozostała, aby spotkać koniec wśród strzaskanych szczątków swoich marzeń.

Nikt nie miał wiedzieć, kiedy nadejdzie czas. Mimo to Jean obudziła się w środku nocy i przez chwilę patrzyła na upiorny odbłask na suficie. Potem wyciągnęła rękę i ujęła dłoń George'a. Zazwyczaj spał głęboko, ale tym razem obudził się natychmiast. Nie mówili nic, bo nie istniały słowa, które by mogły wyrazić, co czuli.

Jean nie bała się już niczego, nawet nie była smutna. Dotarła do spokojnej przystani i była ponad emocjami. Lecz pozostała jej do zrobienia jeszcze jedna rzecz i wiedziała, że ma na to niewiele czasu.

Nadal nie mówiąc słowa, George poszedł za żoną przez pogrążony w ciszy dom. Przecięli smugę księżycowego światła padającego przez okno w dachu i cicho jak rzucane przezeń cienie weszli do pustego pokoju dzieciennego.

Nic się tu nie zmieniło. Świejące wzory, które George tak pracowicie wymalował na ścianach, lśniły jak dawniej. Grzechotka należąca kiedyś do Jennifer Anne leżała tam, gdzie dziewczynka ją porzuciła, kiedy jej umysł zwrócił się ku niezgłębionym przestrzeniom, które teraz zamieszkiwał.

„Zostawiła swoje zabawki – stwierdził George – ale nasze odejdą razem z nami”. Pomyślał o dzieciach faraonów sprzed pięciu tysięcy lat zabierających ze sobą do grobu lalki i paciorki. Tak stanie się i teraz. „Nikt oprócz nas – powiedział sobie – nie potrzebuje naszych skarbów. Zabierzemy je ze sobą i nie rozstaniemy się z nimi”.

Jean powoli odwróciła się ku niemu i oparła głowę na jego ramieniu. Objął ją i dawna miłość powróciła jak słabe, ale wyraźne echo donośnego okrzyku wysłanego ku odległym wzgórzom. Było za późno, aby powiedzieć jej to, co chciał wyrazić, a żal, jaki odczuwał, był spowodowany raczej minioną obojętnością niż drobnymi zradami.

Jean powiedziała łagodnie: „Żegnaj, mój kochany!” i objęła go. George nie zdążył już odpowiedzieć, lecz nawet w tym ostatnim momencie poczuł przelotne zdziwienie na myśl o tym, skąd wiedziała, że to właśnie ta chwila.

Daleko w głębi skał atomy uranu pobiegły ku sobie, próbując połączyć się w związek, którego nigdy nie dano im utworzyć.

I wyspa wstała na spotkanie świtu.

Rozdział 22

Statek Zwierzchników kończył swój długi, lśniący jak meteor szlak, który zaczynał się w sercu gwiazdozbioru Carina. Straszliwie wydłużone hamowanie rozpoczął już przy zewnętrznych planetach, lecz jeszcze mijając Marsa, leciał z prędkością bliską prędkości światła. Ogromne pole siłowe otaczające Słońce powoli pochłaniało jego pęd, a miliony kilometrów za nim płomienie dysz gwiazdowego silnika malowały niebiosa.

Jan Rodricks, starszy o sześć miesięcy, wracał do domu, który opuścił osiemdziesiąt lat temu.

Tym razem nie był już pasażerem na gapę kryjącym się w sekretnej komorze. Stał obok trzech pilotów („Dlaczego – zastanawiał się – potrzeba aż tylu?”) i patrzył, jak na wielkim ekranie dominującym nad całym pomieszczeniem pojawiają się i znikają jakieś wzory. Kolory i kształty nic mu nie mówiły; przypuszczał, że to informacje, jakie na statkach konstruowanych przez człowieka pojawiałyby się na skalach liczników i przyrządów pomiarowych. Jednak chwilami ekran ukazywał otaczające ich pola gwiazd i Jan miał nadzieję, że niebawem ujrzy na nim Ziemię.

Rad wracał do domu, mimo trudu włożonego w ucieczkę. W ciągu tych paru miesięcy dojrzał wewnątrz. Widział tak wiele i podróżował tak daleko, że tęsknił za ojczystym światem. Teraz rozumiał, dlaczego Zwierzchnicy zatrzasnęli przed Ziemią drzwi do gwiazd. Ludzkość ma jeszcze przed sobą długą drogę, zanim będzie mogła odegrać jakąkolwiek rolę w cywilizacji, którą dano mu ujrzeć.

Może być i tak – chociaż nigdy by się z tym nie pogodził – że ludzkość na zawsze pozostanie tylko podrzędnym gatunkiem zamkniętym w zapomnianym rezerwacie, w którym Zwierzchnikom wyznaczono rolę strażników. Może to właśnie miał na myśli Vindarten, dając mu tuż przed odlotem dwuznaczne ostrzeżenie:

– W czasie, jaki minął na pańskiej planecie – powiedział Zwierzchnik – wiele mogło się wydarzyć. Może pan nie poznać swego świata.

„Może i tak” – pomyślał Jan. Osiemdziesiąt lat to szmat czasu i choć był młody i potrafił się przystosować, niełatwo mu przyjdzie zrozumieć wszystkie zmiany, które zaszły w tym okresie. Jednego był pewien: ludzie zechcą wysłuchać jego opowieści i dowiedzieć się czegoś o cywilizacji Zwierzchników.

Traktowali go dobrze, zresztą przypuszczał, że tak właśnie będzie. O podróży w tamtą stronę nie wiedział nic. Kiedy przestał działać zastrzyk, a on opuścił kryjówkę, statek wchodził już do systemu słonecznego Zwierzchników. Jan wyszedł ze swego niezwykłego schowka i stwierdził z ulgą, że nie potrzebuje maski tlenowej. Powietrze było gęste i ciężkie, ale mógł nim oddychać. Znajdował się w ogromnej, oświetlonej na czerwono ładowni między niezliczonymi pakunkami i całym tym kramem, jakiego można oczekiwać na pokładzie statku oceanicznego czy kosmicznego. Zanim dotarł do kabiny pilotów i przedstawił się załodze, minęła prawie godzina.

Zaskoczył go brak reakcji z ich strony. Wiedział, że Zwierzchnicy rzadko okazują uczucia, ale coś przecież musieli czuć. A oni po prostu zajmowali się swoimi sprawami, obserwując wielki ekran i naciskając niezliczone przyciski na pulpitach sterowniczych. Wtedy zrozumiał, że łądują, bo od czasu do czasu na ekranie pojawiał się obraz planety – za każdym razem większy. Jednak Jan nie odczuwał ruchu czy hamowania, tylko stabilną grawitację, którą oceniał na jedną piątą ziemskiej. Ogromne siły poruszające statkiem musiały być kompensowane z wyjątkową precyzją.

Nagle trzej Zwierzchnicy jednocześnie podnieśli się i Jan zrozumiał, że podróż dobiegła końca. Nie słyszał, by rozmawiali ze sobą, i do niego też żaden się nie odezwał, kiedy więc jeden z nich gestem kazał mu iść za nimi, pojawił coś, o czym powinien pomyśleć wcześniej. Przecież na tym końcu niesamowicie długiej linii zaopatrzeniowej Karellella mogło nie być nikogo, kto znałby choć słowo po angielsku.

Spoglądali na niego bacznie, gdy ogromne drzwi otworzyły się przed jego złaknionymi wrażeń oczyma. Oto szczytowy moment jego życia – miał zostać pierwszym człowiekiem, który ujrzał świat w promieniach obcego słońca. Blask NGS 549672 zalał statek i oto przed Janem leżała planeta Zwierzchników.

Czego oczekiwał? Nie był pewien. Ogromne budowle, miasta z wieżowcami, których dachy giną w chmurach, maszyny przekraczające wszelkie wyobrażenie – to by go nie zdziwiło. Lecz ujrzał jedynie monotonną równinę rozpościerającą się aż po nienaturalnie bliski horyzont, a na niej tylko trzy inne statki Zwierzchników, kilka kilometrów dalej.

Przez chwilę czuł ogromne rozczarowanie. Potem wzruszył ramionami, pomyślawszy rozsądnie, iż należało oczekiwać, że port kosmiczny będzie się znajdował w takim odległym i niezamieszkanym zakątku planety.

Było zimno, choć nie tak bardzo, aby mu to doskwierało. Światło wielkiego, czerwonego słońca wiszącego nad horyzontem było zupełnie wystarczające dla ludzkich oczu, lecz Jan przelotnie pomyślał, ile czasu upłynie, nim zatęskni za zielenią i błękitem. I wtedy zobaczył ogromny, cieniutki jak opłatek sierp księżycy wspinający się na niebo obok słońca. Długo patrzył, zanim dotarło do niego, że podróż jeszcze się nie skończyła. To tam znajdował się świat Zwierzchników. Miejsce, w którym był teraz, musiało być bazą satelitarną, z której startowały gwiazdoloty.

Zabrali go na pokład statku nie większego od zwykłego ziemskiego samolotu. Czując się jak Pigmej, wdrapał się na jeden z wielkich foteli i próbował obejrzeć przez panoramiczne okno zbliżającą się planetę.

Podróż trwała tak krótko, że ledwie zdążył dostrzec kilka szczegółów na globie, który szybko powiększał się w oczach. Nawet tak blisko domu Zwierzchnicy używali czegoś w rodzaju gwiazdnego silnika, już po paru minutach bowiem opadali przez grubą, pełną chmur atmosferę. Kiedy otworzyły się drzwi, przeszli do wysokiego, zamkniętego pomieszczenia.

Dopiero po dwóch dniach Jan opuścił ten budynek. Był niezaplanowaną przesyłką i nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić. Co

gorsza, żaden z tutejszych Zwierzchników nie znał angielskiego. Porozumiewanie się było praktycznie niemożliwe i Jan z goryczą zdał sobie sprawę z tego, że kontakt z obcą rasą nie jest rzeczą tak prostą, jak opisywano to w powieściach. Język gestów okazał się całkowicie nieprzydatny, ponieważ ruchy rąk i mimikę kształtowały nastroje, które nie były wspólne Zwierzchnikom i ludziom.

„Byłoby jeszcze gorzej – myślał Jan – gdyby jedyni Zwierzchnicy mówiący moim językiem pozostali na Ziemi”. Mógł tylko czekać i liczyć na to, że sytuacja się zmieni. Na pewno przybędą jacyś naukowcy, może eksperci specjalizujący się w kontaktach z innymi rasami, i zajmą się nim. A może był tak mało ważną postacią, że nikt nie chciał zawracać sobie nim głowy?

Nie był w stanie wydostać się z budynku, ponieważ wielkie drzwi nie miały żadnych przycisków. Kiedy podchodził do nich któryś ze Zwierzchników, po prostu otwierały się. Jan próbował tego samego: machał przedmiotami wysoko w powietrzu, aby przeciąć ewentualny promień kontrolny, robił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy – bez skutku. Zdał sobie sprawę z tego, że jest równie bezradny, jak byłby człowiek z epoki kamiennej zagubiony we współczesnym budynku. Raz próbował wyjść z jakimś Zwierzchnikiem, ale łagodnie, choć stanowczo dano mu do zrozumienia, że powinien zostać. Ponieważ bardzo zależało mu na tym, by nie irytować gospodarzy, nie upierał się.

Ale zanim popadł w rozpacz, przybył Vindarten. Zwierzchnik mówił bardzo złą angielszczyzną i o wiele za szybko, ale z godziny na godzinę robił postępy. Po kilku dniach mogli bez problemu rozmawiać o wszystkim, co nie wymagało specjalistycznego słownictwa.

Kiedy Vindarten zajął się Janem, kłopoty Ziemianina skończyły się i o nic nie musiał się martwić. Nie mógł jednak robić tego, co chciał, gdyż większość czasu spędzał z naukowcami Zwierzchników, poddając się niezrozumiałym testom na skomplikowanych przyrządach. Te maszyny bardzo mu się nie podobały, a po kolejnej sesji, z jakimś urządzeniem hipnotyzującym, przez kilka godzin okropnie bolała go głowa. Chętnie godził się na współpracę, ale nie był pewien, czy badający go są świadomi

jego ograniczeń psychicznych i fizycznych. Na przykład dość długo trwało, nim zdołał ich przekonać, że w regularnych odstępach potrzebuje snu.

W przerwach między eksperymentami miewał okazję popatrzeć na miasto i zaczął rozumieć, jak trudna, a zarazem niebezpieczna byłaby przechadzka samopas. Ulice właściwie nie istniały i wydawało się, że to samo dotyczy naziemnego transportu. To była planeta istot latających, nieobawiających się grawitacji. Nie było żadnych zabezpieczeń przed upadkiem w kilkusetmetrową przepaść, a jedyne wyjścia z pomieszczeń często znajdowały się wysoko w ścianie. Jan zaczął zdawać sobie sprawę z tego, o czym zaświadczało setki dowodów, a mianowicie z faktu, że psychika rasy wyposażonej w skrzydła musi różnić się zasadniczo od psychiki istot przykutych do ziemi. Przelatujący między wieżami miasta Zwierzchnicy, poruszający się jak wielkie ptaki potężnymi uderzeniami skrzydeł, stanowili niezwykły widok. Wiązał się z tym pewien problem naukowy. Planeta była dużo większa od Ziemi, a mimo to grawitację miała niewielką. Jan zastanawiał się też, dlaczego posiada tak gęstą atmosferę. Zapytał o to Vindartena i dowiedział się – czego właściwie się spodziewał – że nie jest to rodzinna planeta Zwierzchników. Pochodzili z dużo mniejszego świata, a potem podbili ten, po czym zmienili nie tylko atmosferę, ale i grawitację.

Architektura Zwierzchników była posępna i funkcjonalna. Jan nie widział żadnych ozdób, niczego, co nie służyłoby wygodzie i użyteczności, nawet jeśli te wygoda i użyteczność przekraczały jego zdolność pojmowania. Gdyby to oblane czerwienią miasto i jego mieszkańców ujrzał człowiek ze średniowiecza, z pewnością uwierzyłby, że znalazł się w piekle. Nawet Jan, mimo całej swej ciekawości i naukowego obiektywizmu, czasami był bliski szaleństwa. Brak jakiegokolwiek punktu odniesienia mógł rozstroić najchłodniejszy i najbardziej zrównoważony umysł.

Wielu rzeczy nie rozumiał, a Vindarten nie mógł albo nie chciał ich wyjaśnić. Czym były te błyskające światła i zmienne kształty przemykające w powietrzu tak szybko, że nie był nawet pewny, czy istniały naprawdę?

Mogły być czymś wstrząsającym i budzącym grozę... albo widokiem tak zwyczajnym jak neony Broadwayu.

Jan wyczuwał również, iż świat Zwierzchników jest pełen niesłyszalnych dla niego dźwięków. Od czasu do czasu odbierał ciąg rytmicznych odgłosów przebiegających skalę totalną od końca do końca, by zniknąć wśród najwyższych lub najniższych tonów. Vindarten zdawał się nie pojmować tego, co Jan rozumie przez muzykę, i przybyszowi z Ziemi nie udało się rozwikłać tej zagadki.

Miasto nie było zbyt duże, na pewno dużo mniejsze od Londynu czy Nowego Jorku w pełni ich rozkwitu. Zgodnie z tym, co mówił Vindarten, na planecie było kilka tysięcy takich miast, a każde z nich zbudowano w określonym celu. Na Ziemi najbliższym odpowiednikiem tego konkretnego były miasteczka uniwersyteckie, z tą różnicą, że tutaj specjalizacja zaszła o wiele dalej. Jan niebawem odkrył, że to miasto zajmowało się badaniami nad obcymi kulturami.

Podczas jednej z pierwszych wycieczek Vindarten zabrał go do muzeum. Wizyta w miejscu, którego rolę pojmował, dodała Janowi bardzo mu teraz potrzebnej otuchy. Gdyby nie rozmach, z jakim zostało wybudowane, muzeum mogłoby znajdować się gdzieś na Ziemi. Dotarcie do niego zajęło sporo czasu, mimo iż korzystali z wielkiej platformy opadającej jak tłok w cylindrze niewiadomej długości. Jan nie dostrzegł żadnych urządzeń sterujących, a wrażenie przyspieszania na początku i hamowania na końcu podróży było mocno odczuwalne. Przypuszczalnie Zwierzchnicy nie zawracali sobie głowy urządzeniami kompensującymi do użytku domowego. Rodricks zastanawiał się, czy całe wnętrze planety jest pocięte siecią korytarzy i dlaczego jej mieszkańcy ograniczyli rozmiary miast na powierzchni, powiększając je w głąb. Była to kolejna z zagadek, których nigdy nie rozwiązał.

Na badaniu zawartości tych ogromnych komnat można było strawić życie. Znajdowały się tu łupy z wielu planet oraz osiągnięcia większej liczby cywilizacji i kultur, niż Jan potrafił objąć umysłem. Jednak nie dano mu dość czasu, by mógł wszystko obejrzeć. Vindarten ostrożnie ustawił go na czymś, co wydawało się pasem ornamentowanej posadzki. Rodricks

zdążył tylko pomyśleć, że przecież na tej planecie nie uznaje się żadnych ornamentów, i w tej samej chwili niewidzialna siła objęła go łagodnie i popchnęła naprzód. Z szybkością dwudziestu czy trzydziestu kilometrów na godzinę jechał obok wielkich ekranów ukazujących niewyobrażalne światy.

Zwierzchnicy rozwiązyali problem znużenia muzealnego. Nikt nie musiał chodzić wzdłuż eksponatów.

Przejechali mniej więcej kilkanaście kilometrów, gdy przewodnik Jana ponownie objął go i potężnie bijąc skrzydłami, uniósł poza zasięg popychającej ich siły. Przed nimi leżała ogromna, ledwie do połowy wypełniona sala zalana światłem, jakiego Jan nie widział od opuszczenia Ziemi. Światło było na tyle słabe, że nie raziło wrażliwych oczu Zwierzchników, ale nie można się było pomylić – to był blask Słońca. Jan nigdy nie uwierzyłby, że coś tak zwykłego może obudzić w jego sercu tak wielką tęsknotę.

W sali mieściła się ekspozycja Ziemi. Przez kilka metrów jechali wzdłuż pięknego modelu Paryża, potem obok dzieł sztuki rozmieszczonych zupełnie przypadkowo, chociaż nieraz dzieliło je kilkanaście stuleci – obok nowoczesnych kalkulatorów i toporów z paleolitu, obok odbiorników telewizyjnych i turbiny parowej Herona z Aleksandrii. A potem otworzyły się przed nimi wielkie drzwi i znaleźli się w biurze kustosa Ziemi.

„Czy ten Zwierzchnik po raz pierwszy widzi człowieka? – zastanawiał się Jan. – Czy kiedykolwiek odwiedził Ziemię, czy też jest ona jedynie jedną z wielu oddanych jego pieczy planet, których położenia nawet nie zna?” Z pewnością nie znał angielskiego i Vindarten musiał podjąć się roli tłumacza.

Jan spędził kilka godzin, mówiąc do urządzenia zapisującego dźwięk, podczas gdy Zwierzchnicy pokazywali mu różne przedmioty. Ku swemu zawstydzeniu wielu z nich nie potrafił zidentyfikować. Jego nieznamość własnej rasy i jej osiągnięć okazała się ogromna. Zastanawiał się, czy Zwierzchnicy, mimo ich niezwykłych zdolności umysłowych, są w stanie pojąć całą złożoność kultury człowieka.

Vindarten wyprowadził go z muzeum inną drogą. Raz jeszcze bez wysiłku sunęli wysoko sklepionym korytarzem, ale teraz mijali twory natury, nie umysłu.

Jan pomyślał, że Sullivan oddałby życie, aby znaleźć się tu i zobaczyć cuda, jakie stworzyła ewolucja na setkach światów. Przypomniał sobie jednak, że Sullivan prawdopodobnie już nie żyje.

A potem niespodziewanie znaleźli się na galerii, wysoko nad olbrzymią komnatą mającą ze sto metrów średnicy. Jak zwykle nie było balustrady i Jan przez chwilę wahał się, czy podejść do brzegu. Ale Vindarten stał na samej krawędzi, patrząc spokojnie w dół, więc ostrożnie przylączył się do niego.

Podłoga znajdowała się dwadzieścia metrów niżej. Później Jan był pewien, że przewodnik wcale nie zamierzał go nastraszyć i reakcja Ziemianina zupełnie go zaskoczyła. Rodricks wrzasnął bowiem okropnie i odskoczył w tył, instynktownie usiłując ukryć się przed tym, co znajdowało się na dole. Dopiero gdy stłumione echo jego krzyku zamarło w gęstej atmosferze, zmusił się, by znów podejść do krawędzi.

Oczywiście było martwe i nie patrzyło na niego, jak wydawało mu się w pierwszej chwili. Wypełniało niemal całą okrągłą przestrzeń sali, a w jego głębi lśniło i wirowało rubinowe światło.

To było gigantyczne oko.

– Dlaczego narobiłeś tyle hałasu? – spytał Vindarten.

– Przestraszyłem się – wyznał Jan z zakłopotaniem.

– Ale dlaczego? Chyba nie wyobrażasz sobie, że może ci tu grozić jakieś niebezpieczeństwo?

Jan przez chwilę zastanawiał się, czy potrafi wyjaśnić, na czym polega odruch bezwarunkowy, ale postanowił nie próbować.

– Wszystko, co jest zupełnie nieoczekiwane, jest również przerażające. Dopóki nie przeanalizuje się nowej sytuacji, bezpieczniej jest oczekiwać najgorszego.

Serce waliło mu jeszcze jak młot, gdy ponownie spojrzął w dół na monstualne oko. Oczywiście mógł to być model powiększony do

niezwykłych rozmiarów, tak jak mikroby i owady w ziemskich muzeach. Jednak pytając o to, Jan z zapierającą dech w piersi pewnością wiedział, że oko nie jest większe niż u żywego organizmu.

Vindarten nie powiedział mu wiele; rzecz nie leżała w polu jego zainteresowań, a nie był szczególnie ciekawski. Na podstawie otrzymanego opisu Jan stworzył obraz jednookiej bestii żyjącej wśród ławic asteroid jakiegoś odległego słońca, której rozwój nie był skrępowany więzami grawitacji, a życie i możliwości zdobycia pożywienia zależały od zasięgu i zdolności postrzegania tego jedyne oka.

Wydawało się, że nie ma rzeczy, której nie mogła stworzyć przyparta do muru staruszka Natura, i Jan poczuł irracjonalną przyjemność, odkrywając coś, czemu nawet Zwierzchnicy nie próbowali sprostać. Z Ziemi zabrali dorodnego wieloryba, ale z tego zrobili tylko częściowy model.

A pewnego razu pojechał w górę i trwało to niezmiernie długo, aż ściany windy z opalizujących stały się kryształowo przejrzyste. Wydawało mu się, że stoi bez żadnego punktu oparcia między najwyższymi szczytami miasta i nic nie chroni go przed upadkiem w przepaść. Ale nie kręciło mu się w głowie bardziej niż pasażerowi samolotu, ponieważ tak samo nie odczuwał kontaktu z odległym gruntem.

Znajdował się nad chmurami, dzieląc niebo z paroma kolumnami z metalu i kamienia. Pod nim falowało leniwie różowoczerwone morze obłoków. Opodal posępnego słońca odnalazł na niebie dwa blade, niewielkie księżyce. Tuż przy środku nadętego czerwonego dysku widniała mała, idealnie okrągła plamka czerni. Mogła to być plama na słońcu lub jeszcze jeden księżyc.

Jan powoli powiódł spojrzeniem po linii horyzontu. Pokrywa chmur rozciągała się równomiernie aż po krańce tego ogromnego świata, lecz z jednej strony, w odległości, której nie potrafił określić, dostrzegł plamistą wstęgę czegoś, co mogło być wieżami innego miasta. Patrzył na nie dłuższą chwilę, a potem znów zajął się obserwacją.

Kiedy obrócił się w prawo, ujrzał górę. Nie znajdowała się na horyzoncie, ale *poza nim* – wznoszący się zza skraju świata pojedynczy, poszarpany szczyt, którego niższe partie były ukryte niczym masyw góry lodowej skryty w wodzie. Próbował oszacować jej wielkość, ale wyobraźnia go zawiodła. Nawet w świecie o tak niskiej grawitacji niełatwo było uwierzyć, że może istnieć taka góra. Zastanawiał się, czy Zwierzchnicy uprawiają sport na jej zboczach lub krążą jak orły wokół tego potężnego masywu.

I wtedy góra powoli zaczęła się zmieniać. Z początku była ciemna, niemal złowieszczo czerwona, z kilkoma niewyraźnymi plamami w pobliżu wierzchołka, których nie potrafił zidentyfikować. Próbował skupić na nich wzrok, gdy nagle uświadomił sobie, że się poruszają.

W pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Potem zmusił się, by przypomnieć sobie, że wszystkie dotychczasowe poglądy były tu bezwartościowe – nie mógł pozwolić, aby umysł odrzucił choć jedno przesłanie dostarczane przez zmysły. Nie powinien starać się rozumieć, lecz skupić się wyłącznie na obserwacji. Zrozumienie, jeśli w ogóle nastąpi, przyjdzie później.

Góra – wciąż myślał o niej w tych kategoriach, bo nie miał innego określenia – wydawała się żywą istotą. Rodricks przypomniał sobie gigantyczne oko w muzeum, ale nie, to było absolutnie nieporównywalne. To, co widział, nie było formą organicznego życia, a nawet, jak podejrzewał, nie była to materia, jaką znał.

Ponura purpura rozjarzyła się wściekłą czerwienią. Pojawiły się w niej również pasma intensywnej żółci, tak że przez chwilę Jan sądził, że widzi wulkan wylewający strumienie lawy na leżące niżej tereny. Lecz spostrzegł, że te strumienie poruszają się ku górze.

Teraz jeszcze coś unosiło się z rubinowych obłoków u podnóża góry. Był to potężny pierścień, doskonale poziomy i doskonale okrągły... i była w nim cała barwa, jaką Jan zostawił daleko stąd, ponieważ całe niebo Ziemi nie miało piękniejszego błękitu. Nigdzie w świecie Zwierzchników nie widział takiego koloru i gardło ścisnęły mu tęsknota i samotność wywołane tym widokiem.

Pierścień powiększał się, w miarę jak przesunął się w górę. Teraz był już ponad szczytem i jego bliższa krawędź szybko zbliżała się do Jana. Ziemiańin pomyślał, że musi to być rodzaj wiru – pierścień dymu o średnicy wielu kilometrów. Jednak nie dostrzegł żadnych oznak ruchu obrotowego, czego należałoby się spodziewać w takim przypadku. Wydawało się, że ze wzrostem rozmiarów gęstość pierścienia wcale nie maleje.

Cień pierścienia przemknął nad nim dużo wcześniej, niż sam kształt majestatycznie przepłynął mu nad głową, wciąż unosząc się wyżej i wyżej. Jan patrzył, aż pierścień zmienił się w cieniutką nić błękitu, na której trudno było skupić wzrok z powodu intensywnej czerwieni nieba. Gdy w końcu zniknął, musiał mieć już średnicę wielu tysięcy kilometrów. I wciąż rósł.

Jan ponownie spojrział na górę. Teraz była złota i pozbawiona jakichkolwiek plam. Może była to jedynie gra wyobraźni – uwierzyłby już we wszystko – lecz wydawała się wyższa i węższa i wirowała jak trąba powietrzna. Dopiero wtedy, oszołomiony, przypomniał sobie o kamerze. Przyłożył ją do oka i skierował na to niesamowite, wstrząsające zjawisko.

Na linii jego wzroku szybko pojawił się Vindarten. Z nieodpartym spokojem wielkie dłonie zakryły soczewkę i zmusiły go do opuszczenia przyrządu. Jan nawet nie próbował się sprzeciwić – nie miałyby to sensu – ale nagle poczuł śmiertelny lęk przed tym czymś na krańcu świata i nie chciał mieć z tym już więcej do czynienia.

W czasie wszystkich jego wędrówek tylko ten jeden raz zdarzyło się, że nie pozwolono mu czegoś uwiecznić, lecz Vindarten nie udzielił mu żadnych wyjaśnień. Zamiast tego kazał Janowi szczegółowo opowiedzieć, co widział, i spędził dużo czasu, słuchając jego relacji.

Wtedy właśnie Jan zrozumiał, że oczy Vindartena widziały coś zupełnie innego, i dopiero wówczas pojął, że Zwierzchnicy też mieli swoich panów.

Teraz wracał do domu, zostawiwszy za sobą zachwyty, obawy i tajemnice. Był przekonany, że leci tym samym statkiem, chociaż z inną załogą. Mimo

iż Zwierzchnicy byli długowieczni, nie sądził, by chętnie odrywali się od domów na całe dziesięciolecia trwania międzygwiazdnych podróży.

Wynikający z teorii względności nierównomierny upływ czasu działał bowiem w obie strony. Podróżując tam i z powrotem, Zwierzchnicy zestarzeją się tylko o cztery miesiące, ale gdy wrócą, ich przyjaciele będą starsi o osiemdziesiąt lat.

Gdyby tylko chciał, niewątpliwie mógłby zostać tam na zawsze. Ale Vindarten ostrzegł go, że w ciągu kilku następnych lat nie będzie żadnego statku w kierunku Ziemi, i radził skorzystać z okazji. Może Zwierzchnicy pojęli, że w tym stosunkowo krótkim czasie umysł Jana osiągnął niemal kres swych możliwości. A może po prostu zaczął być kłopotliwym gościem i nie chcieli poświęcać mu więcej czasu.

Jednak obecnie nie miało to znaczenia, bo przed nim leżała Ziemia. Taką jak teraz widział ją już setki razy, ale zawsze za pośrednictwem mechanicznych oczu telewizyjnych kamer. W tej chwili natomiast sam znajdował się w kosmosie, odgrywając ostatni akt swoich marzeń, a Ziemia obracała się przed nim na swej odwiecznej orbicie.

Wielki, zielono-błękitny półksiężyc był w pierwszej kwadrze; ponad połowę jego tarczy krył mrok. Nie było też widać zbyt wiele chmur – ot, kilka pasm rozsianych wzdłuż linii pasatów. Lodowa czapa Arktyki lśniła jasno, ale przyćmiewał ją oślepiający odbłask Słońca na północnym Pacyfiku.

Można by pomyśleć, że to planeta wód – oglądana półkula była prawie pozbawiona lądów. Jedynym widocznym kontynentem pozostawała Australia – ciemniejsza plama w atmosferycznej mgłę na skraju globu.

Statek wlatywał w wielki stożek cienia Ziemi; lśniący półksiężyc skurczył się, zamienił w cienki łuk ognia i zniknął. Poniżej były mrok i ciemność. Świat spał.

Właśnie wtedy Jan zrozumiał, że coś jest nie tak. Tam w dole był teraz ład, ale gdzie podziały się błyszczące naszyjniki światła, lśniące iluminacje ludzkich miast? Na całej półkuli nie było ani jednej iskierki rozjaśniającej ciemność. Bez śladu przepadły miliony kilowatów, które

kiedyś beztrosko wysyłano ku gwiazdom. Równie dobrze mógł patrzeć na Ziemię taką, jaka była przed pojawieniem się człowieka.

Nie takiego powitania oczekiwał. Nie mógł nic zrobić, więc patrzył i czuł narastający lęk przed nieznanym. Na Ziemi coś się stało, coś niepojętego. Tymczasem statek opadał po wydłużonym, łagodnym łuku, który ponownie wyniósł go nad oświetloną półkulę.

Jan nie widział momentu lądowania, obraz Ziemi znikł bowiem nagle, zastąpiony nic mu niemówiącą płataniną linii i świateł. Kiedy wizja wróciła, byli już na powierzchni. Opodał widać było kilka wielkich budynków, wokół krzątały się maszyny, a w pobliżu stała czekająca na nich grupka Zwierzchników.

Usłyszał stłumiony ryk powietrza, gdy statek wyrównywał ciśnienie zewnętrzne i wewnętrzne, a potem odgłos otwieranych drzwi. Nie czekał dłużej, milczący giganci zaś patrzyli nań wyrozumiale, a może obojętnie, gdy wybiegał ze sterówki.

Był w domu, znów oglądał wszystko w świetle znajomego Słońca, oddychał powietrzem, które napełniło mu płuca, gdy po raz pierwszy w życiu nabrał tchu. Trap był już opuszczony, ale Jan musiał zaczekać jeszcze chwilę, aż jego oczy oswoją się z ostrym światłem.

W pewnym oddaleniu od reszty Zwierzchników, obok wielkiego transportera załadowanego skrzyniami stał Karellen. Jan nie zastanawiał się, w jaki sposób rozpoznał Kontrolera, nie zdziwiło go też, że tamten wcale się nie zmienił. To była bodaj jedyna rzecz, która okazała się zgodna z jego oczekiwaniami.

– Czekalem na pana – powiedział Karellen.

Rozdział 23

Dawniej – mówił Karellen – mogliśmy bezpiecznie chodzić między nimi.

Jednak już nas nie potrzebowali. Nasza praca zakończyła się, kiedy zgromadziliśmy ich razem i oddaliśmy im ten kontynent we władanie. Niech pan patrzy.

Ściana przed Janem zniknęła. Zamiast niej widział teraz z wysokości kilkuset metrów piękny, lesisty krajobraz. Złudzenie było tak doskonałe, że musiał zwalczyć chwilowy zawrót głowy.

– A to po pięciu latach, kiedy zaczęła się druga faza.

W dole poruszały się jakieś postacie i kamera spadła na nie jak drapieżny ptak.

– To pana przygnębi – powiedział Karellen. – Lecz proszę pamiętać, że dawne normy nie mają tu zastosowania. Nie patrzy pan na ludzkie dzieci.

Ale takie było pierwsze wrażenie Jana i żadne logiczne rozumowanie nie mogło tego zmienić. Równie dobrze mogły być dzikusami zajętyimi jakimś skomplikowanym rytualnym tańcem. Były nagie i brudne, o zmierzwionych włosach opadających na oczy. Na ile mógł to ocenić, miały od pięciu do piętnastu lat, ale wszystkie poruszały się z tą samą szybkością, precyzją i absolutną obojętnością na otoczenie.

Wtedy ujrzał ich rysy. Z trudem przełknął ślinę, zmuszając się, by nie odwrócić oczu. Ich twarze były bardziej puste niż twarze trupów, ponieważ nawet twarz nieboszczyka ma jakąś historię wyrytą na niej dłutem czasu i opowiadaną, gdy znieruchomieją usta. Te nie wyrażały więcej emocji niż rysy gada albo owada. Nawet Zwierzchnicy byli bliżsi ludziom niż one.

– Szuka pan czegoś, czego już nie ma – powiedział Karellen. – Proszę pamiętać, że oni nie mają własnej osobowości, tak jak nie mają jej

komórki pańskiego ciała. Jednak połączeni są czymś o wiele większym niż pan.

– Dlaczego tak się kręca?

– Nazwaliśmy to długim tańcem – odparł Karellen. – Wie pan, oni w ogóle nie śpią, a to trwało rok. Trzysta milionów poruszających się w określonym rytmie na całym kontynencie. Analizowaliśmy to niezliczone mnóstwo razy, lecz nie znaleźliśmy żadnego sensu, może dlatego, że widzimy tylko fizyczną stronę zjawiska, tę małą część, która odbywa się tu, na Ziemi. Możliwe też, że to, co nazywamy Nadzwierzchnikiem, nadal ich ćwiczy i ugniata w jedną jaźń, zanim ich wchłonie.

– A jak się odżywiali? I co się działo, kiedy natrafiali na przeszkody: drzewa, skały czy wodę?

– Woda nie jest przeszkodą, oni nie toną. Kiedy zderzali się z czymś, czasem doznawali obrażeń, ale nawet tego nie zauważali. Co do żywności... Cóż, mieli tu tyle owoców i zwierzyny, ile chcieli. Jednak teraz nie odczuwają już tej potrzeby, tak samo jak wielu innych. Przecież zasadniczo żywność jest źródłem energii, a oni nauczyli się pobierać ją z większych zasobów.

Obraz zamigotał, jakby przeleciał po nim podmuch gorącego powietrza. Kiedy ekran wrócił do normy, wszelki ruch na nim ustał.

– Proszę spojrzeć teraz – powiedział Karellen. – Trzy lata później.

Małe figurki, które komuś nieznanemu prawdy wydałyby się wzruszająco bezbronne, stały w dziwacznych pozach na polanach i wśród drzew. Kamera szybko przesuwała się od jednej twarzy do drugiej i Jan pomyślał, że już zaczynały przybierać jednakową formę. Kiedyś widział fotografię zrobioną przez nałożenie na siebie kilkudziesięciu negatywów, tak aby wyszła jedna „przeciętna” twarz. Rezultatem była pusta, pozbawiona charakteru maska – taka jak te, które widział teraz.

Zdawali się pogrążeni we śnie lub w transie. Wszyscy mieli mocno zaciśnięte powieki i nie wykazywali większego zainteresowania otoczeniem niż drzewa, pod którymi stali. Jakie myśli, zastanawiał się Jan, krążyły w tej skomplikowanej sieci, w której ich mózgi nie były teraz

niczym więcej, ale i niczym mniej niż oddzielnymi supełkami jakiejś wielkiej tkaniny? Tkaniny, która, jak wiedział, spowijała już wiele światów i ras i wciąż się rozrastała.

Stało się to z szybkością, która oślepiła oczy i mąciła rozum. W jednej chwili Jan widział w dole piękną, kipiącą życiem krainę, w której nie było nic niezwykłego z wyjątkiem niezliczonych maleńkich postaci rozrzuconych – jednak nieprzypadkowo – po całym jej obszarze. A potem, w mgnieniu oka, wszystkie drzewa i trawy, wszystkie żywe istoty zamieszkujące tę ziemię zamigotały i zniknęły. Pozostały jedynie ciche jeziora, kręte rzeki, pofalowane brązowe wzgórza odarte z dywanu zieleni oraz milczące, obojętne na wszystko figurki, które spowodowały całe to zniszczenie.

– Dlaczego to zrobili? – jęknął Jan.

– Może przeszkadzała im obecność innych umysłów, nawet tak prymitywnych jak u zwierząt i roślin. Jesteśmy przekonani, iż pewnego dnia stwierdzą, że świat materialny również im przeszkadza. A kto wie, co stanie się wtedy? Teraz rozumie pan, dlaczego wycofaliśmy się po wykonaniu naszego zadania? Nadal próbujemy ich badać, ale nigdy nie wchodzimy na ich ziemię ani nie wysyłamy tam naszych urządzeń. Ośmielamy się jedynie obserwować ich z kosmosu.

– Ale to stało się wiele lat temu – powiedział Jan. – A co się działo potem?

– Niewiele. Przez cały ten czas w ogóle nie poruszali się, nie reagowali na pory dnia i roku. Nadal próbują swoich sił: niektóre rzeki zmieniły koryta, a jedna nawet płynie pod górę. Jednak nie zrobili niczego, co miałoby jakikolwiek sens.

– I całkowicie was ignorowali?

– Tak, chociaż akurat to wcale nas nie dziwi. Istota, której są częścią, wie o nas wszystko. Kiedy zechce, abyśmy opuścili to miejsce, albo gdy znajdzie dla nas nowe zadanie gdzie indziej, wyrazi swoje życzenie w sposób niebudzący wątpliwości. Do tego czasu pozostaniemy tutaj, aby nasi naukowcy mogli zebrać tyle informacji, ile zdołają.

„A więc taki – pomyślał Jan z rezygnacją wypraną z wszelkiego żalu – był koniec człowieka”. To był koniec, jakiego nie przewidział żaden prorok, koniec wymykający się zarówno pesymistycznej, jak i optymistycznej ocenie.

A jednak miało to swój sens i subtelną nieuchronność wielkiego dzieła sztuki. Jan widział wszechświat i jego straszliwy bezmiar i wiedział, że nie jest to miejsce, w którym człowiek czułby się u siebie. W końcu zrozumiał, jak bezsensowne były marzenia, które wabiły go ku gwiazdom.

Droga do gwiazd rozchodziła się bowiem w dwie strony i na końcu obu tych szlaków ludzkie nadzieje czy obawy nie znaczyły nic.

Końcem jednej ścieżki byli Zwierzchnicy. Każdy z nich zachował swoją indywidualność, swoje niezależne ego, każdy posiadał własną świadomość i słowo „ja” w ich języku nie było pustym dźwiękiem. Wiedzieli, czym są emocje, i niektórzy dzielili z ludźmi. Ale teraz Jan pojmował, że wpadli w pułapkę, w ślepy zaułek. Ich umysły były potężniejsze – może setki razy – od ludzkich, lecz w ostatecznym rozrachunku nie miało to żadnego znaczenia. Wobec Galaktyki liczącej sto miliardów gwiazd i kosmosu liczącego sto miliardów galaktyk musieli być równie bezsilni i bezradni.

A koniec drugiej ścieżki? To Nadzwierzchnik – cokolwiek to oznaczało – pozostający w stosunku do człowieka tym samym, czym człowiek był w stosunku do ameby. Potencjalnie nieskończony i nieśmiertelny, od jak dawna wchłaniał rasę po rasie, rozprzestrzeniając się wśród gwiazd? Czy także miał pragnienia, cele, które niejasno wyczuwał, obawiając się, że nigdy ich nie osiągnie? Teraz wchłonął wszystko, czego kiedykolwiek dokonała rasa ludzka. Nie była to tragedia, lecz spełnienie. Miliardy ulotnych iskier świadomości składające się na ludzkość nie będą już migotać niczym świetliki w ciemności. Jednak nie błyskały na próżno.

Jan wiedział, że ostatni akt dopiero nastąpi. Mogło to stać się jutro, a mogło i za sto lat. Nawet Zwierzchnicy nie wiedzieli tego na pewno.

Teraz pojmował ich zadanie, to, co uczynili z człowiekiem i dlaczego tak długo zwlekali z odlotem. Odczuwał wobec nich wielką pokorę

i podziw dla ich nieugiętej cierpliwości, która kazała im czekać tu tak długo.

Nigdy nie dowiedział się wszystkiego o dziwnej symbiozie Nadzwierzchnika z jego sługami. Jeśli prawdą było to, co mówił Rashaverak, Zwierzchnicy nie pamiętali czasów, gdy nie mieli pana, chociaż ten zaczął się nimi posługiwać dopiero wtedy, gdy osiągnęli odpowiedni poziom rozwoju i mogli podróżować w kosmosie, wypełniając jego polecenia.

– Ale do czego jesteście mu potrzebni? – dociekał Jan. – Przecież posiadając tak straszliwą władzę, na pewno może robić wszystko, co zechce.

– Nie – odparł Rashaverak. – On także ma swoje ograniczenia. Wiemy, że kiedyś próbował działać wprost na umysły innych ras i wpływać na kierunek ich rozwoju. Nigdy się to nie udało. Może szok był zbyt wielki. My jesteśmy jego pośrednikami i strażnikami. Albo, gdyby użyć jednej z waszych metafor, uprawiamy pole, aż plon dojrzeje. On zbiera plon, a my ruszamy do następnej pracy. Jesteście piątą rasą, której towarzyszymy we wniebowstąpieniu. Za każdym razem dowiadujemy się czegoś nowego.

– I nie macie nic przeciw temu, że jesteście narzędziami Nadzwierzchnika?

– Taka relacja ma swoje zalety, a ponadto nikt rozumny nie sprzeciwia się temu, co nieuniknione.

Taka propozycja, stwierdził ponuro Jan, nigdy nie została by zaakceptowana przez ludzkość. Są wymykające się logice rzeczy, których Zwierzchnicy nigdy nie rozumieją.

– Wydaje się dziwne – powiedział – że Nadzwierzchnik wybrał was, byście dla niego pracowali, mimo iż nie wykazujecie żadnych zdolności parapsychicznych, jakie drzemały w człowieku. Jak on się z wami komunikuje i jak oznajmia wam swoje życzenia?

– To jedyne pytanie, na które nie mogę odpowiedzieć, i nie mogę nawet podać powodów, dla których muszę to przed panem ukryć. Może kiedyś pozna pan część prawdy.

Jan zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale wiedział, że to bezcelowe. Musi zmienić temat i mieć nadzieję, że później uda mu się czegoś dowiedzieć.

– Zatem proszę mi odpowiedzieć na inne pytanie – rzekł. – Bo jest coś jeszcze, czego nigdy nie wyjaśniliście. Kiedy wasza rasa po raz pierwszy dotarła na Ziemię w przeszłości, co poszło źle? Dlaczego staliście się dla nas symbolem strachu i zła?

Rashaverak uśmiechnął się. Nie robił tego tak dobrze jak Karellen, ale i tak wypadło niezle.

– Nikt się tego nie domyślił, a teraz widzi pan, dlaczego nie mogliśmy tego wyjaśnić. Tylko jedno wydarzenie mogło wyrzucić taki wpływ na ludzkość. I wydarzenie to nie miało miejsca u zarania dziejów, lecz *u ich kresu*.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – wyszeptał Jan.

– Kiedy nasze statki pojawiły się na waszym niebie sto pięćdziesiąt lat temu, było to pierwsze spotkanie naszych ras, choć oczywiście już wcześniej obserwowaliśmy was z daleka. A jednak rozpoznaliście nas i baliście się, a my wiedzieliśmy, że tak będzie. To nie były wspomnienia w ścisłym znaczeniu tego słowa. Miał pan już dowód na to, że czas jest czymś daleko bardziej skomplikowanym, niż wyobrażali sobie wasi naukowcy. Wspomnienia te pochodziły nie z przeszłości, ale z *przyszłości* i dotyczyły tych ostatnich lat, gdy wasza rasa zrozumiała, że wszystko się skończyło. Zrobiliśmy, co się dało, ale nie był to spokojny koniec. A ponieważ byliśmy jego świadkami, obwiniano nas o zagładę waszej rasy. Tak było, nawet dziesięć tysięcy lat temu! Zupełnie jakby zniekształcone echo niesło się w zamkniętym kręgu czasu z przyszłości w przeszłość. Niech pan to nazwie nie wspomnieniem, lecz przeczuciem.

Trudno było to pojąć i Jan przez moment w milczeniu borykał się z myślami. Jednak powinien być przygotowany na coś takiego; miał już przecież dowód, że przyczyna i skutek mogą się zamienić miejscami.

Musiało istnieć coś takiego jak zbiorowa pamięć niezależna od czasu. Dla niej przeszłość i przyszłość były jednym. Oto dlaczego już przed

tysiącami lat ludzie dostrzegali wizerunki Zwierzchników, mimo iż zasnuła ich mgła strachu i przerażenia.

– Teraz rozumiem – powiedział ostatni człowiek.

Ostatni z ludzi! Jan odkrył, że niełatwo myśleć o sobie w ten sposób. Kiedy wyruszył w kosmos, pogodził się z możliwością zostania wiecznym wygnańcem i nie doskwierała mu samotność. Być może w miarę upływu lat tęsknota za widokiem ludzkiej twarzy będzie w nim rosła i załamała go, ale na razie towarzystwo Zwierzchników sprawiało, że nie czuł się zupełnie osamotniony.

Jeszcze dziesięć lat temu na Ziemi znajdowali się ludzie, ale były to istoty zdegenerowane i Jan nic nie stracił, nie spotykając ich. Z powodów, których Zwierzchnicy nie potrafili wyjaśnić, a które – jak Jan podejrzewał – były głównie psychologiczne, w miejsce dzieci, które odeszły, nie narodziły się nowe. Gatunek homo sapiens wymarł.

Być może, zagubiony w jednym z nietkniętych jeszcze miast, leżał rękopis jakiegoś współczesnego Gibbona opisujący ostatnie dni rasy ludzkiej. Jeśli nawet tak było, Jan nie był pewien, czy chciałby go przeczytać. Rashaverak powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Ci, którzy nie zginęli z własnej ręki, szukali zapomnienia w coraz bardziej gorączkowej aktywności, w dzikich i samobójczych sportach często nieróżniących się od pomniejszych wojen. Kiedy liczebność populacji gwałtownie spadła, postarzałe resztki zebrały się jak pobita armia zwierająca szyki w ostatnim odwrócie.

Końcowy akt, tuż przed opadnięciem kurtyny, musiały rozjaśniać błyski heroizmu i poświęcenia powtarzające się wśród powszechnego zdziczenia i samolubstwa. Jan nigdy nie dowiedział się, czy końcowi towarzyszyła rozpacz czy rezygnacja.

Tyle było rzeczy, którymi mógł się zająć. Baza Zwierzchników znajdowała się kilometr od opuszczonej willi i Jan przez długie miesiące doprowadzał budynek do użytku za pomocą narzędzi, które znalazł w oddalonym o jakieś trzydzieści kilometrów miasteczku. Poleciał tam

z Rashaverakiem, którego przyjaźń, jak podejrzewał, nie wypływała wyłącznie z altruistycznych pobudek. Psycholog Zwierzchników nadal badał ostatniego przedstawiciela gatunku homo sapiens.

Miasto musiało zostać ewakuowane, zanim nastąpił koniec, ponieważ budynki i wiele urzędzeń użyteczności publicznej było jeszcze w dobrym stanie. Uruchomienie generatorów nie wymagało wielkiego wysiłku i szerokie ulice jeszcze raz rozbrzłyby iluzją życia. Jan przez jakiś czas zastanawiał się nad realizacją tego pomysłu, ale potem zrezygnował, uznając go za nazbyt ponury. Jedyne, czego nie chciał, to rozpamiętywania przeszłości.

Miał wszystko, czego potrzebował, aby urządzić się na resztę życia, ale najbardziej pragnął mieć pianino elektryczne i transkrypcje niektórych dzieł Bacha. Dawniej nigdy nie mógł znaleźć dość czasu na muzykę, a teraz nareszcie miał go pod dostatkiem. Kiedy sam nie grał, słuchał nagrań wielkich symfonii i koncertów, tak że w domu bez przerwy rozbrzmiewała muzyka. Stała się ona jego bronią i talizmanem przeciwko samotności, która pewnego dnia go pokona.

Często wyprawiał się na długie spacery po wzgórzach, rozmyślając o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu tych kilku miesięcy, od kiedy ostatni raz widział Ziemię. Żegnając się z Sullivanem osiemdziesiąt ziemskich lat temu, nie przypuszczał, że ostatnie pokolenie ludzi jest już w łonach matek.

Ależ był z niego głupiec! A jednak nie był pewien, czy żałuje tego, co zrobił. Gdyby pozostał na Ziemi, byłby świadkiem wydarzeń tych ostatnich lat, nad którymi czas zaciągnął już swoją zasłonę. Zamiast tego przeskoczył nad nimi w przyszłość i poznał odpowiedzi na pytania, których nikt inny nie pozna. Jego ciekawość została zaspokojona prawie do końca i tylko czasami zastanawiał się, na co czekają Zwierzchnicy i co się stanie, kiedy ich cierpliwość zostanie ostatecznie nagrodzona.

Lecz większość czasu spędzał nad klawiaturą. Cechowała go spokojna rezygnacja, jaka zazwyczaj staje się udziałem człowieka pod koniec długiego i burzliwego życia. Może sam siebie oszukiwał, może był to jakiś litościwy wybieg umysłu, ale teraz wydawało mu się, że zawsze pragnął

tak żyć. Jego skrywane ambicje mogły się wreszcie ujawnić w całej okazałości.

Jan zawsze był dobrym pianistą, a teraz był najlepszym na świecie.

Rozdział 24

To Rashaverak przywiózł Janowi te wieści, ale on już wcześniej domyślił się wszystkiego. Nad ranem obudził go koszmarny sen i nie udało mu się znów zasnąć. Nie mógł przypomnieć sobie, co mu się śniło, i było to bardzo dziwne, bo uważał, że każdy sen można odtworzyć, jeśli tylko człowiek wystarczająco mocno się na nim skupi zaraz po przebudzeniu. Jednak tym razem pamiętał tylko, że był ponownie małym chłopcem i stał na jakiejś rozległej, pustej równinie, słuchając potężnego głosu wzywającego go w nieznanym języku.

Ten sen popsuł mu humor; zastanawiał się, czy nie jest to pierwszy atak samotności na jego umysł. Zaniepokojony wyszedł z domu, aby pospacerować po zapuszczonym trawniku.

Księżyc w pełni skąpał krajobraz w tak jasnym złotym blasku, że wszystko widać było jak na dłoni. Lśniący walec statku Karellena spoczywał za budynkami bazy Zwierzchników, przytłaczając je swoim ogromem i redukując do ludzkich proporcji. Jan patrzył na gwiazdolit, usiłując przypomnieć sobie, jakie uczucia budził w nim niegdyś ten kolos. Swego czasu był dlań nieosiągalnym marzeniem, symbolem czegoś, czego nie spodziewał się osiągnąć. A teraz nie znaczył już nic.

Jakże było cicho i spokojnie! Zwierzchnicy oczywiście działali jak zawsze, ale w tej chwili żadnego nie było widać. Jan czuł się tak, jakby był na Ziemi zupełnie sam, co też właściwie było prawdą. Spojrzał na Księżyc, szukając znajomego widoku, na którym mógłby przez chwilę skupić myśli.

Były tam te stare, dobrze znane morza. Poleciał w kosmos na odległość czterdziestu lat świetlnych, ale nigdy nie wędrował po tamtych milczących, pylistych równinach odległych o niespełna dwie sekundy świetlne. Przez chwilę zabawiał się, próbując odnaleźć krater Tycho.

Kiedy go wreszcie znalazł, zdumiało go, że ten punkt znajduje się dalej od środkowego południka, niż tego oczekiwał. I dopiero wtedy zauważył, że ciemny owal Mare Crisium zniknął zupełnie.

Oblicze, które satelita kierował ku Ziemi, nie było tym, którym od niepamiętnych czasów patrzył na świat. Księżyc zaczął obracać się inaczej wokół swojej osi.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Po drugiej stronie globu, na Ziemi, którą tak gwałtownie odarli z wszelkiego życia, oni budzili się ze swego długiego transu. Tak jak budzące się dziecko wyciąga ręce na powitanie dnia, tak oni napinali mięśnie i próbowali swoich nowo odkrytych sił...

- Pańskie domysły są słuszne - powiedział Rashaverak. - Dłuższe pozostawanie tutaj nie jest już dla nas bezpieczne. Może nadal będą nas ignorowali, ale wolimy nie ryzykować. Odlatujemy, jak tylko załadujemy nasze wyposażenie, co prawdopodobnie zajmie nie więcej niż dwie lub trzy godziny.

Spojrzał w niebo, jakby obawiał się, że zaraz ujrzy jakiś nowy cud. Jednak wokół panowały cisza i spokój, księżyc świecił i tylko z zachodu wiatr gnał wysoko kilka chmur.

- To, że bawią się Księżycem, nie ma zbyt wielkiego znaczenia - dodał - ale jeśli zechcą igrzać ze Słońcem? Oczywiście zostawimy tu nasze przyrządy, tak że będziemy wiedzieli, co się stanie.

- Ja zostaję - rzekł gwałtownie Jan. - Dość już napatrzyłem się na wszechświat. Jedyne, co mnie jeszcze interesuje, to los mojej planety! - Ziemia pod ich stopami lekko zadrżała. - Spodziewałem się tego - mówił dalej. - Jeżeli zmienili moment obrotowy Księżyca, prędkość kątowna też musi się zmienić. A więc Ziemia zwalnia swój obrót. Nie wiem, co interesuje mnie bardziej: *jak* to zrobili czy *dla czego*.

- Nadal się bawią - powiedział Rashaverak. - Czy jest jakaś logika w tym, co robi dziecko? A pod wieloma względami to jestestwo, którym stała się pańska rasa, pozostaje dzieckiem. Jeszcze nie jest gotowe

połączyć się z Nadzwierzchnikiem. Jednak już niedługo to się zmieni, a wtedy będzie pan miał całą Ziemię dla siebie...

Nie dokończył zdania i Jan zrobił to za niego.

– Jeśli, oczywiście, pozostanie jeszcze jakaś Ziemia.

– Zdaje pan sobie sprawę z niebezpieczeństwa, a mimo to chce pan zostać?

– Tak. Przez ostatnie pięć, a może sześć lat byłem w domu. Cokolwiek się stanie, nie będę się skarżył.

– Mieliśmy nadzieję – powiedział powoli Rashaverak – że zechce pan tu pozostać. Jest coś, co mógłby pan dla nas zrobić...

Błysk gwiazdnego silnika przygasł i znikł gdzieś za orbitą Marsa. Jan pomyślał, że udało mu się przebyć tę drogę jako jedynemu z miliardów ludzi, jacy kiedykolwiek żyli i umarli na Ziemi. I że nikt już nie poleciał tam po nim.

Świat należał do niego. Wszystkie dobra materialne, jakich ktokolwiek mógłby sobie życzyć, były jego. Jednak już go to nie interesowało. Nie obawiał się samotności na opuszczonej planecie ani obecności tego, co wciąż jeszcze było tutaj, szykując się do drogi w poszukiwaniu swego nieznanego dziedzictwa. Zresztą Jan nie spodziewał się, by on i jego problemy przetrwały długo w nieuniknionym huraganie tego exodusu.

I tak powinno być. Zrobił już wszystko, czego chciał dokonać, i przedłużanie bezsensownej egzystencji na opustoszałym globie byłoby nieznośnym brzemieniem. Mógłby odlecieć ze Zwierzchnikami, ale po co? Jak nikt inny na świecie wiedział, że Karellen mówił prawdę, gdy stwierdził: „Gwiazdy nie są dla człowieka”.

Pozostawiając noc za plecami, odwrócił się i przekroczył ogromne drzwi bazy Zwierzchników. Jej rozmiary nie robiły na nim wrażenia; ogrom nie wywierał już żadnego wpływu na jego umysł. Światelka jarzyły się czerwono zasilane energią, której mogło starczyć jeszcze na wieki. Obok, porzucone przez odlatujących Zwierzchników, stały maszyny,

kórych tajemnic już nigdy nie zgłębi. Przeszedł obok nich i niezdarnie wspinał się po wielkich schodach do sterowni.

W pomieszczeniu nadal unosił się duch Zwierzchników; ich maszyny pracowały, wykonując rozkazy panów. „Co można jeszcze dodać – zastanawiał się Jan – do informacji, jakie przesyłają w kosmos?”

Wdrapał się na wysoki fotel i usadowił najwygodniej, jak potrafił. Mikrofon, już włączony, czekał na jego słowa, a coś, co było odpowiednikiem kamery telewizyjnej, z całą pewnością śledziło jego gesty, chociaż nie mógł zlokalizować tego urządzenia.

Za tablicą kontrolną i jej nic mu niemówiącymi wskaźnikami otwierało się na gwiazdzistą noc szerokie okno. Widział przez nie dolinę śpiącą w blasku pyzatego księżyca i odległy łańcuch gór. Wzdłuż doliny wiała się rzeka, lśniąc na zakrętach, tam gdzie srebrne promienie odbijały się od wzburzonego nurtu. Było tak spokojnie. Może świat przed narodzinami człowieka wyglądał tak jak teraz – przed jego końcem.

Tam, miliony kilometrów dalej w kosmosie, czekał Karellen. Dziwnie było pomyśleć, że statek Zwierzchników oddala się od Ziemi prawie tak szybko jak sygnał, który pomknie jego śladem. Prawie, ale niezupełnie. Pościg potrwa długo, ale jego słowa dotrą do Kontrolera i zwrócą zaciągnięty dług.

Jan zastanawiał się, ile z tego wszystkiego stanowi część planu Karellena, a ile jest mistrzowską improwizacją. Czyżby Zwierzchnik celowo pozwolił mu ruszyć w przestrzeń przed blisko wiekiem, aby mógł wrócić i odegrać obecną rolę? Nie, to zdawało się zbyt nieprawdopodobne. Jednak teraz Jan był pewien, że Karellen prowadzi jakąś własną, skomplikowaną grę. Służąc swemu panu, jednocześnie badał go wszelkimi dostępnymi środkami i Jan podejrzewał, że nie powodowała nim jedynie ciekawość. Może Zwierzchnicy marzyli, że pewnego dnia uda im się wyzwolić z tej dziwnej zależności, jeśli dowiedzą się wystarczająco wiele o potędze, której służą.

Janowi trudno było uwierzyć, że to, co teraz robi, może przyczynić się do powiększenia tej wiedzy.

- Powie nam pan, co pan zobaczy - rzekł Rashaverak. - Ten obraz przekażą nam też nasze kamery. Ale wiadomość, jaka dotrze do pańskiego mózgu, może być zupełnie inna, a to może nam się bardzo przydać.

No cóż, spróbuje sprawić się jak najlepiej.

- Nadal nic do przekazania - zaczął. - Kilka minut temu widziałem, jak znikł na niebie ślad waszego statku. Księżyc przeszedł już pełnię i prawie połowa jego niegdyś zawsze widocznej strony odwróciła się od Ziemi, ale przypuszczam, że już to wiecie.

Urwał, czując się trochę głupio. W tym, co robił, było coś niestosownego, nawet lekko absurdalnego. Oto nadchodził kres historii człowieka, a on zachowywał się niczym sprawozdawca radiowy na wyścigach ciężarówek lub na meczu bokserskim. Po chwili wzruszył ramionami i przestał o tym myśleć. Podejrzał, że wielkim chwilom często towarzyszył fałszywy patos, a już na pewno wyczuwał go teraz.

- W ciągu ostatniej godziny nastąpiły trzy lekkie wstrząsy - kontynuował. - Ich kontrola nad momentem obrotowym Ziemi jest naprawdę niezwykła, chociaż nie całkowita. Wie pan co, Karellen, trudno powiedzieć coś, o czym nie poinformowałyby już was wasze instrumenty. Łatwiej by mi było, gdyby powiedział mi pan, czego mniej więcej mam się spodziewać, i uprzedził mnie, jak długo jeszcze mam czekać. Jeśli nic się nie stanie, zgłoszę się za sześć godzin, tak jak się u... Hej! Musieli czekać, aż się stąd wyniesiecie. Coś zaczyna się dziać. Gwiazdy przygasają. Wygląda to tak, jakby całe niebo szybko przesłaniała wielka chmura. Ale to nie jest prawdziwa chmura. Wydaje się, że ma jakąś strukturę... Dostrzegam niewyraźną sieć linii i pasów, które wciąż zmieniając położenie, pozostają jednak nieruchome względem siebie. Jest prawie tak, jakby gwiazdy ugrzęzły w upiornej pajęczej sieci. Ta sieć zaczyna teraz płonąć, pulsować światłem, jak gdyby była żywą istotą. I przypuszczam, że tak jest. A może to coś w takim samym stopniu przewyższa życie, co świat nieorganiczny? Blask zdaje się przemieszczać na jedną część nieba... Poczekajcie chwilę, to przejdę do drugiego okna. Tak, powinienem się domyślić. To wielka płonąca kolumna, jak ogniste drzewo, unosząca się nad zachodnim horyzontem. To bardzo daleko stąd, po drugiej stronie

globu. Wiem, skąd się wzięła: oni wreszcie wyruszyli, by stać się częścią Nadzwierchnika. Ich nowicjat dobiegł końca i pozostawiają za sobą resztki cielesnej powłoki. W miarę jak ogień wznosi się coraz wyżej, świetlista sieć staje się wyraźniejsza i jaśniejsza. W niektórych miejscach wydaje się już ciałem stałym, chociaż nadal słabo prześwitują przez nią gwiazdy. Teraz już wiem. To nie jest dokładnie to samo, ale to, co widziałem wznoszące się nad waszym światem, było bardzo do tego podobne. Czy była to część Nadzwierchnika? Przypuszczam, że ukrywaliście przede mną prawdę, aby nie narzucać mi pewnych idei... abym mógł być bezstronnym obserwatorem. Chciałbym teraz zobaczyć, co pokazują wam kamery, bym mógł porównać to z obrazem, jaki postrzegam swoimi zmysłami! Czy tak właśnie przemawia to do was, Karellenie? Kolorami i kształtami takimi jak te? Pamiętam ekrany kontrolne na waszym statku i te wzory, które po nich przelatywały, przemawiając w jakiejś wizualnej mowie zrozumiałej dla waszych oczu. Teraz wygląda to dokładnie tak jak welony zorzy tańczące i lśniące na tle gwiazd. No cóż, jestem pewien, że to właśnie to: ogromna zorza polarna. Cały krajobraz zalało światło... Jest jaśniej niż w dzień: czerwień, złoto i zieleń ścigają się po niebie... Tego nie da się opisać słowami... To niesprawiedliwe, że tylko ja mogę to oglądać... Nie wiedziałem, że istnieją takie barwy! Burza cichnie, ale wielka, świetlista sieć pozostaje na swoim miejscu. Myślę, że zorza polarna była jedynie ubocznym efektem nieznanych energii wyzwalamych się tam, na granicy kosmosu... Chwileczkę, zauważyłem coś jeszcze. *Stają się lżejszy*. Co to znaczy? Upuściłem ołówek, spada powoli. Coś stało się z grawitacją. Nadchodzi silny wiatr, widzę gałęzie drzew rozrzucone po całej dolinie. No tak, ucieka atmosfera. Kamienie i konary unoszą się w niebo, jakby cała Ziemia chciała iść *za nimi* w kosmos. Teraz piętrzy się tam czarna chmura wzniesionego tym podmuchem kurzu i trudno coś zobaczyć. Może za chwilę opadnie. Tak, teraz już lepiej. Wszystko, co było ruchome, poleciało. Chmura pyłu zniknęła. Zastanawiam się, jak długo wytrzyma wasza budowla. Coraz trudniej oddychać, będę mówił wolniej. Znow widzę wyraźnie. Ta wielka, płonąca kolumna wciąż tam jest, ale już się

zweża i zmniejsza, wygląda jak trąba powietrzna tuż przed tym, zanim rozwieje się w chmurach. I... Och, to trudno opisać, ale właśnie poczułem przepływającą przeze mnie falę emocji. Nie były to radość ani smutek, lecz wrażenie spełnienia, dokonania. A może tylko tak mi się zdawało? Może to przyszło z zewnątrz? Nie wiem. A teraz, i to nie może być wytwór wyobraźni, świat stał się pusty. Zupełnie pusty. Jakbym słuchał radia, które nagle zamilkło. A niebo jest znowu czyste, mglista sieć zniknęła. Do jakiego świata uda się teraz, Karellenie? I czy znowu tam będziesz, aby mi służyć? Dziwne, nic wokół mnie się nie zmieniło. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że...

Jan urwał. Przez chwilę gorączkowo szukał właściwych słów, a potem zamknął oczy i wziął się w garść. Teraz nie było czasu na strach czy panikę. Miał zadanie do wykonania, obowiązek względem człowieka i wobec Karellena.

Zaczął mówić – z początku powoli, potem coraz szybciej, jak człowiek budzący się ze snu.

– Budynki dookoła mnie, ziemia, góry, wszystko jest jak ze szkła. *Widzę przez nie na wylot*. Ziemia się rozpuszcza, prawie straciłem wagę. Mieliście rację: przestali bawić się zabawkami. Pozostało jeszcze kilka sekund. Góry znikają jak pasma dymu. Żegnajcie, Karellenie i Rashaveraku... żal mi was. Choć nie rozumiałem nic, widziałem, czym stała się moja rasa. Wszystko, co kiedykolwiek osiągnęliśmy, odeszło między gwiazdy. Może to właśnie chciały wyrazić dawne religie? Jednak myliły się wszystkie: wtedy uważano, że człowiek jest tak ważny, a przecież byliśmy tylko jedną z wielu ras... czy zdajecie sobie sprawę z ilu? A teraz staliśmy się tym, czym wy nigdy nie będziecie. Kolej na rzekę. Na niebie nic się nie zmienia. Ledwie mogę oddychać. Dziwnie widzieć, że księżyc wciąż jeszcze tam świeci. Cieszę się, że go zostawili, ale teraz będzie samotny... Światło! Światło *pode mną*, wewnątrz Ziemi, świecące do góry, przez skały, ziemię, przez wszystko, coraz jaśniejsze, jaśniejsze, oślepiające...

W bezgłośnym rozbłysku skorupa ziemską uwolniła nagromadzoną energię. Przez moment fale grawitacyjne przecinały się i odbijały po

całym Układzie Słonecznym, nieco wpływając nawet na orbity planet. Potem jednak pozostałe dzieci Słońca podążyły dalej swymi odwiecznymi szlakami, podobnie jak korki unoszące się na powierzchni spokojnego jeziora poruszone kręgami od rzuconego w wodę kamienia po ich przejściu pływają niewzruszenie dalej.

Z Ziemi nie pozostało nic. *Oni* wyssali jej substancję do ostatniego atomu. Żywiła ich, dostarczając energii podczas raptownej i niepojętej metamorfozy, jak substancje zapasowe w ziarnie pszenicy karmią nową roślinkę, gdy wspina się ona ku słońcu.

Sześć miliardów kilometrów za orbitą Plutona Karellen siedział przed pociemniałym nagle ekranem. Zapis był zakończony, misja wykonana. Wracał do domu, do świata, który opuścił tak dawno temu. Przygniatał go ciężar stuleci i smutek, którego nie mogła rozproszyć żadna logiczna argumentacja. Nie opłakiwał człowieka – żałował własnej rasy, której nieprzewyciężone moce broniły dostępu do wielkości.

Mimo wszystkich osiągnięć, rozmyślał, mimo panowania w materialnym wszechświecie jego lud pozostanie zaledwie plemieniem, które cały swój byt wiodło na płaskiej, pylistej równinie. Daleko za nią były góry, w których mieszkaly piękno i moc, gdzie grom przetaczał się nad lodowcami, a powietrze było ostre i czyste. Tam wciąż jeszcze lśniło słońce zdobiące szczyty splendorem, podczas gdy niziny tonęły już w mroku. A oni mogli tylko patrzeć i podziwiać – nigdy nie osiągną tych wyżyn.

A jednak Karellen wiedział i to, że będą trwać aż do końca i nie zlorzecząc losowi, przyjmą, cokolwiek im przyniesie. Będą służyć Nadzwierzchnikowi, ponieważ nie mają wyboru, lecz nawet na tej służbie pozostaną sobą.

Wielki ekran kontrolny rozbłysnął na moment ponurym rubinowym światłem. Karellen odruchowo przeczytał wiadomość, którą niosły zmieniające się wzory. Statek opuszczał granice Układu Słonecznego. Energia napędzająca gwiazdny silnik szybko wyczerpywała się, ale wykonali swoje zadanie.

Podniósł rękę i obraz na ekranie zmienił się raz jeszcze. W jego środku płonęła jasna pojedyncza gwiazda. Z tej odległości nikt nie odgadłby, że Słońce w ogóle ma jakieś planety i że jedna z nich właśnie zniknęła. Przez długą chwilę Karellen spoglądał w tę szybko powiększającą się przepaść, a w jego potężnym, skomplikowanym mózgu kłębiło się wiele wspomnień. W milczeniu uczcił pamięć ludzi, których znał, zarówno tych, którzy mu pomagali, jak i tych utrudniających mu wykonanie zadania.

Nikt nie ośmielił się mu przeszkodzić i przerwać tych rozmyślań. W końcu odwrócił się plecami do znikającego Słońca.